BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH
№ 218.

JADWIGA I JAGIEŁŁO

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

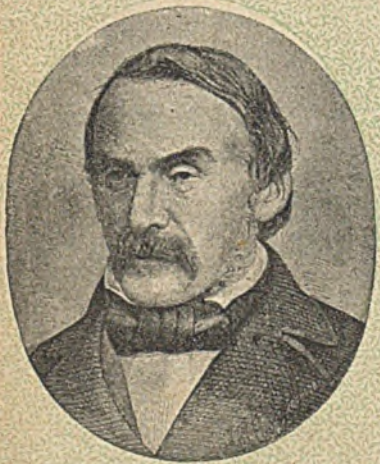

napisał

Karol Szajnocha.

Część II.

Dubl. do I 4646 S
I 5031 2 Vno/59 2R
17.10.56

Cena 40 kop.
W pren. 30½ kop.

WARSZAWA
Redakcya i Administracya
47. Nowy Świat 47.

1902.

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

w objętości jednego tomu.

WARUNKI PRENUMERATY

w **WARSZAWIE:**		Z przesyłką pocztową:	
Rocznie . . (52 tomy)	rs. 10	Rocznie . . (52 tomy)	rs. 12
Półrocznie (26 tomów)	„ 5	Półrocznie (26 tomów)	„ 6
Kwartalnie (13 tomów)	„ 2 kop. 50	Kwartalnie (13 tomów)	„ 3
Za odnoszenie do domu 15 kop. kw.			

Cena każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop.

DOPŁATA ZA OPRAWĘ:

Rocznie . . (za 52 tomy)	. .	rs. 6	kop. —
Półrocznie. (za 26 tomów)	. . .	„ 3	„ —
Kwartalnie (za 13 tomów)	. .	„ 1	„ 50

Za zmianę adresu na prowincyi dopłaca się 20 kop.

REDAKTOR I WYDAWCA

Franc. Jul. Granowski.

Redakcya i Administracya: Warszawa, Nowy-Świat 47.—Telefonu 1670.
we Lwowie Plac Maryacki l. 4.

Drukarnia A. T. Jezierskiego, Nowy-Świat 47.

BIBLIOTEKA NARODOWA

JADWIGA I JAGIEŁŁO.

Sól. 114. 119/2.

Karol Szajnocha.

JADWIGA I JAGIEŁŁO

1374—1413

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

Część II.

WARSZAWA
DRUKARNIA
A. T. JEZIERSKIEO
47. Nowy-Świat 47.

Gim Nauczycielskie BIBLIOTEKA liwice
4(438).03 : 929 - 055 P[3]
4/13/14
SN 1805
Politechnika Śląska BIBLIOTEKA Kolegium Pedagogiczne

Дозволено Цензурою.
Варшава 17 Января 1902 года.

BIBLIOTEKA NARODOWA
WYDANO Z DUBLETÓW
Biblioteki Narodowej
A956D976/34a

VI. KRZYŻACY.

Dawne stosunki z Polską. — Kazimierz W. i zakon.—Niebezpieczeństwo dla Polski.—Ludwik przyjacielem zakonu.—Stosunek do Litwy.—Pozór ciągłej wojny krzyżowej. — Pobożna życzliwość Europy. — Napływ gości rycerskich.—Stół honorowy.—Spółbraterstwo zakonne.—Posiadłości krzyżackie w różnych krajach. — Państwo Krzyżackie. — Organizacya wewnętrzna. — Rachunkowość. — Zdzierstwo. — Powszechna niedola kraju. — Lichwa krzyżacka. — Biuralizm. — Szpiegostwo. — Charakter Krzyżaków.— Pokora.—Dobroduszność. — Pobożne stosunki z kobietami. — Przekupstwo. — Dary. — Powszechne natręctwo o dary i pożyczki. — Pycha. — Prośba Zygmunta o zjazd.—Takaż prośba Jagiełły.—Litwa.

Zajęci sprawami wewnątrz kraju i w południowej stronie węgierskiej, nie mieliśmy sposobności spojrzeć na północ ku Krzyżakom. Padał przecież ztamtąd tak groźny cień na Polskę, że żaden obraz jej dziejów owoczesnych nie może obejść się bez bliższego poznania tej wiszącej nad nią chmury północnej. Wprawdzie od lat czterdziestu spoczywał oręż wojny między Polską a zakonem niemieckim, lecz wątpliwy ten pokój okupywała Polska ciężkim warunkiem pokory i uniżenia. Ostatnie bowiem zetknięcie się narodu z Krzyżakami przechyliło szalę szczęścia przeważnie na stronę mnichów orężnych.

Ze względu na zachodzące od półtora wieku między Polską a zakonem styczności, rozpada się ca-

ła dotychczasowa historya pobytu Krzyżaków nad Baltykiem w kilka wyraźnie odróżnionych okresów. Przed laty stu pięćdziesięciu przez samychże Polaków w ziemię pruską wszczepieni, używali Krzyżacy w pierwszym pięćdziesięcioletnim przeciągu hojnej pracy polskiej, gotowej w każdym razie do utwierdzenia ich stopy na nowem stanowisku. W drugim półwieku obrócił się utwierdzony już w Prusiech zakon przeciw własnej piastunce, Polsce, i wydarł jej za burzliwych dni Łokietkowych Pomorze, Dobrzyń, Kujawy, najpiękniejszą cząstkę ówczesnej korony polskiej, drogę do morza. Teraźniejsze trzecie półwiecze upływało dla zakonu niemieckiego w pokoju szczęśliwego zagospodarowywania się i kwitnięcia na nowo - nabytej grzędzie, dla Polski w pokoju smutnego leczenia się z krwawych ciosów krzyżackich.

Dopiero w tym ostatnim okresie poczytali wielcy mistrzowie zakonu wydarte Polsce Pomorze za główne pole potęgi swojej w przyszłości, i opuściwszy dotychczasową gospodę w Wenecyi, przesiedlili się stanowczo nad Baltyk do wspaniale zbudowanego grodu w Malborgu. Dopieroż teraz w całej już ziemi pruskiej wszechwładni, zaborem ziemi pomorskiej nad wszystkich sąsiednich książąt potężni, zaczęli oni poglądać spokojnem okiem na Litwę, jako na pewną niebawem zdobycz, na Polskę zaś jako na łatwy po Litwie przydatek łupu. Miałać wtedy i Polska swego organizatora, swego odnowiciela, Kazimierza Wielkiego — ależ i ten Kazimierz jakże ostrożnie musiał poczynać sobie z Krzyżactwem! Tylko bolesną ofiarą nieodżałowanego Pomorza powiodło mu się odzyskać utracone w ostatnich latach Łokietkowych Kujawy. Całemu narodowi tkwiła jeszcze w nazbyt żywej pamięci tą stratą Kujaw oznaczona wojna z zakonem, opłakiwana długo na pogorzeliskach zburzonego podówczas od Niemców pruskich Gniezna, Brześcia, Sieradza, Wrocławia i stu innych miast i przysiołków.

Toż gwałtownem podówczas żądaniem rozsądku było nie ściągać lekkomyślnie tej gromowej chmury znowuż na Polskę. Kierował się mądry Kazimierz w całem panowaniu swojem tą gorzką myślą. Uwidomiła się ona osobliwie w smutnej scenie na onej krzyżackiemi namiotami zasianej łące polskiej u miasta Inowrocławia, gdzie król Kazimierz r. 1343 pocałunkiem pokoju i przysięgą na królewską koronę zawierał z W. mistrzem Ludolfem pokój kaliski, poddający Pomorze Krzyżakowi. Mimo tak drogi okup, należało wówczas pieścić ten pokój, jako rzecz nader pożądaną i lubą. Z jakąż więc powolnością udaje się arcybiskup gnieźnieński do namiotu W. mistrza i, przedkładając mu do przejrzenia świeżo spisany traktat pokoju, przyrzeka w imieniu Kazimierza jak najprędszą zmianę lub poprawkę wszystkiego, coby mistrz W. bądź to w wysłowieniu, bądź w pieczęciach znalazł do poprawienia. Z jakąż cierpliwością musiał król Kazimierz patrzeć później na komturów krzyżackich, którzy po zawarciu pokoju objeżdżali jedno miasto polskie po drugiem, aby otrzymać od nich spółporęczycielskie przyzwolenie na ten z powszechną w narodzie niechęcią widziany układ.

Skoro później zdarzył się jakikolwiek powód do niebezpiecznej wojny z zakonem, zaraz Kazimierz skwapliwą gotowością do wszelkiej zgody usuwał walkę przedwczesną. „Albowiem potęga Krzyżaków— upewnia nas jeden z naocznych świadków owego czasu—była wtedy większą od potęgi króla Kaźmierza... i mogli byli Krzyżacy opanować daleko więcej ziem polskich, i zająć całą połowę królestwa, i przyprawić o zgubę tron królewski i państwo polskie.” Toż samo powtarzają świadkowie drugi i trzeci, biskup kujawski Jan, herbu Wieniawa, i stu pięćdziesięcioletni mieszczanin poznański, Mikołaj Szatkowski, zeznający obaj przed sądem papieskim o Krzyżakach: „Król Kazimierz widział się pod tę porę w niebezpieczeństwie ostatecznej zagłady, gdyż bracia Krzyżaccy

mieli dość siły, aby pół królestwa zagarnąć, a król nie zdołałby był stawić oporu. I było to powszechnie wiadomą naówczas rzeczą." — Nie inaczej wyraża się przed tym samym sądem jeden z dalszych świadków przesłuchiwanych: „Król obawiał się zupełnego obalenia państwa i zatraty korony, gdyż bracia Krzyżaccy mawiali królowi w oczy: Jeśli naruszysz spokój, tedy aż do Krakowa mieczami naszemi ścigać cię będziemy." Takież zeznanie czyni nawet sławny w późniejszych czasach biskup krakowski, Zbigniew z Oleśnicy, teraz dopiero protonotaryusz apostolski: „Król Kazimierz o wiele słabszym był od braci zakonu niemieckiego i wołał z tej przyczyny zgodę mieć z nimi i odzyskać zagarnione przez zakon ziemie... niż wojować z nimi orężem i wszystko stracić i narazić tron swój na ostatnie niebezpieczeństwo, a królestwo na rozproszenie. Jakoż takie, a nie inne zdanie panowało o tem w całej Koronie polskiej." Ztąd płoche, acz z pozoru patryotyczne poduszczanie do wojny z Krzyżakami uchodziło w oczach wielkiego króla za „zdradę kraju." — „Chciano mię namówić do wojny z wami — odzywa się sam Kazimierz do W. mistrza Winryka w Malborgu—udając, jakobyście mieli niedostatek żywności. I omal nie popadłem w sidła tej zdrady. Ale teraz przekonawszy się o waszych dostatkach, poznałem zdrajców i nie chcę wojny z wami." Daremnie więc gminni owego czasu poeci przyśpiewywali Kazimierzowi Wielkiemu: „Nie daj, królu Kazimierzu, nie daj Niemcom pruskim miru, póki nie odzyszczesz Gdańska..." Poetom słuszna było cucić w narodzie pamięć Pomorza utraconego; dzisiejszym przyganiaczom Kazimierza W. łatwo zarzucać mu gnuśność w niedopełnieniu tego upomnienia poetycznego; za dni swoich miał nabywca Rusi Czerwonej wszelką przyczynę nie pokuszać się o odzyskanie ziemi Pomorskiej.

Po śmierci Kazimierza ten sam pokój z zakonem, którego ostatni Piast przestrzegał dla miłości

kraju własnego, trwał za Ludwika dla miłości Krzyżaków. Gdyż jako miłośnikowi Niemców, jako potomkowi zachodnio-europejskich królów, byli zachodnio-rycerscy Niemcy krzyżowi, jak już raz nadmieniono, nierównie bliżsi i droższi Ludwikowi, niż nieokrzesani Polacy. Oprócz powinowactwa ogólnych wyobrażeń, łączyła Ludwika z zakonem osobista oddawna przyjaźń, bratała go pamięć związków młodzieńczych. Toć za przykładem i w towarzystwie innych książąt europejskich, jak np. rakuzkich Habsburgów, czeskich Luksemburczyków, wojował Ludwik za młodu osobiście pod sztandarami zakonu. Pstre chorągwie krzyżackie wraz z „białym płaszczem" zakonnym przypominały mu później najromantyczniejszą epokę życia. Bezsilność Polski podawała mu tem dogodniejszą sposobność do świadczenia kosztem kraju mnogich łask zakonowi. Jakoż nie skąpił mu takowych król Lois. W pierwszych wprawdzie chwilach swego wyboru na króla polskiego, jeszcze za życia Kazimierza W., dopóki wypadało okazywać jeszcze wdzięczną życzliwość narodowi, trzymał Ludwik z wujem Kazimierzem przeciw Krzyżakom. Wszelako po śmierci wuja, zamiast zaprzysiężonego odzyskania uronionych ziem koronnych, uwolnił on panowanie Krzyżaków nad Pomorzem od ostatniego śladu dawnej zwierzchności polskiej, istniejącego jeszcze w pewnym względzie do śmierci Kazimierza. Zwłaszcza krzyżackiemu handlowi w Polsce dozwolił Ludwik szerokich swobód, krzywdzących niemało kupiectwo polskie, osobliwie krakowskie. Dlatego chwalą sobie Krzyżacy czasy panowania Ludwika w Polsce, jako błogie lata zakonu. „O, gdyby król Ludwik żył jeszcze dziś!—wzdychają po jego śmierci. — Wiedzielibyśmy wtedy z pewnością, że się nam krzywda nie stanie. Gdyż był to król sprawiedliwy i miłośnik słuszności, a w każdej chwili nasz łaskawy pan i obrońca nasz, ile razy potrzebowaliśmy jego łaski; przeco też modli-

my się do Pana Boga we dnie i w nocy za jego duszę."

Tak pomyślne od lat 40 okoliczności posłużyły Krzyżakom do wzrośnięcia w niezwykłą na one czasy potęgę. Podczas gdy Polska za Ludwika doznawała ze wszech miar poniżenia, zakon niemiecki zakwitał w pełni sił swoich. Lata panującego teraz W. mistrza Winryka de Kniprode (1351—1382) poczytują się powszechnie u Krzyżaków i u Polaków za złoty wiek zakonu. I tenże właśnie nadmiar fortuny światowej zdemoralizował Krzyżaków. On to rozwinął w zakonie tę pełną jadu obłudę, którą Krzyżacy dwójnasób niebezpiecznymi stali się państwom sąsiednim, zwłaszcza polskiemu. Aby jednak ocenić należycie grożące ztąd Polsce niebezpieczeństwo, trzeba znać dostatecznie wewnętrzną treść tej wielkości, w jaką dojrzeli teraz nasi Krzyżacy. Była to prawie bezprzykładna w dziejach potęga, gdyż nigdzie zresztą nie zdarza się nam widzieć tak osobliwego w jednym ręku skojarzenia środków duchownych i świeckich, jak w tym zakonie krzyżackim, łączącym w sobie charakter kwestującego mnicha z charakterem plądrującego knechta. To nienaturalne zespolenie niezmiernie podówczas skażonego żywiołu duchownego z podobnie już zdemoralizowanym rycerskim, tylko zewnętrznemi jeszcze szklącym się pozorami, zapłodnione trzecim srogim żywiołem, t. j. narodowością zakonu, wydało w końcu instytucyę potworną, która stugłową zmorą nad ówczesną ciężyła Polską.

Piękny w swoim pierwotnym na ziemi świętej zawiązku, rycerski i szlachetny póki ubogi, stał się zakon krzyżacki do razu potęgą niemoralną, gdy okoliczności przywiodły go do tryumfów światowych, a przez te tryumfy do uległięcia pokusie panowania świeckiego. Z jednej strony doznany już przed osiedleniem się nad Baltykiem przestrach ostatecznego upadku, z drugiej widok nader srogiego losu, jakiemu pokrewny zakon Templaryuszów uległ ofiarą wyuzda-

nej wówczas chciwości ludzkiej, rozwinęły w Krzyżakach myśl nieszukania innego celu, jak tylko imponującej potęgi świeckiej, którąby im naprzeciw wszelkim nieprzyjaciołom dostatecznym była puklerzem. Z duchownego ich charakteru pozostała im tylko większa, niż zwykle u ówczesnych mocarzy, subtelność środków, jakiemi dążono do swego celu. W tym względzie, występując częściej jako ludzie duchowni, niż rycerscy, wojując w późniejszych czasach raczej słowem, niż mieczem, raczej głową, niż pięścią, umieli Krzyżacy korzystać nader zręcznie ze swojej roli kapłańskiej, a jako władcy świeccy pozostawili po sobie przykład pierwszej wzorowo urządzonej, wszelkie gałęzie życia towarzyskiego osnuwającej, aż do przesady biuralizmu posuniętej administracyi. I tem właśnie byli oni, jak obaczymy, najniebezpieczniejszymi ówczesnym państwom świeckim, byli najbardziej groźnymi sąsiedniej Polsce.

Właściwym celem istnienia zakonu nad Bałtykiem była Litwa, głównym czynności jego przedmiotem wojna z pogaństwem litewskiem. Czując to dobrze, cenili sobie Krzyżacy Litwę pogańską, jako podwalinę swojego bytu. Jednak dlategoż samego musieli oni tę podwalinę utrzymywać w stanie niezmiennym, w stanie pogańskim, t. j. wojując Litwę, musieli ciągle wojować, aby nigdy nie zawojować. W ten sposób fałsz w samym zarodzie egzystencyi zakonu wyradzał z siebie fałsz całego życia dalszego. A ten obłudny stosunek do Litwy był tak dalece jawnym, że własne Krzyżaków świadectwa niewątpliwość jego stwierdzają. Do bardzo późnych czasów nie chce zakon zrzec się swoich uroszczeń nie do nawrócenia nawróconego już wtedy kraju, lecz do panowania nad całą Litwą. Z takąż samą obojętnością dla religii chrześcijańskiej, która w razie ustalenia się na Litwie kończyła wszelką wojnę krzyżową, przyznają sami Krzyżacy, że im nie chodzi o sprawę chrześcijaństwa, lecz jedynie o wojnę, t. j. o ciągłe na Litwie pogań-

stwo. Świadectwem tego słowa naczelnika zakonu w liście do króla niemieckiego, Wacława: „Jeśli zaprzestaniemy wojnę z Litwą, przepadł nasz zakon, który tylko dla wojny jest założony." Ale ponieważ ta wojna nie miała być nigdy stanowczą, przeto gdy Kazimierz W. wzywa Krzyżaków do łatwego w spółce podbicia Litwy, Krzyżacy nie tylko w zamiar króla nie wchodzą, nie tylko uproszonym przez Kazimierza papieskim napomnieniom do wojny wzbraniają posłuszeństwo, lecz owszem, sami tajnem z Litwą wiążą się porozumieniem i przeszkodę upadkowi jej stawią. Skoro zaś który z pogańskich książąt litewskich przyjęciem chrztu św. okaże wstrętną Krzyżakom nadzieję nawrócenia całej Litwy, zaraz Krzyżacy lament podnoszą, jako „lękać się trzeba, aby ztąd wielkie dla całego chrześcijaństwa i zakonu nie wyniknęło nieszczęście, ponieważ chrzest książąt litewskich nie ma żadnej chrześcijańskiej gruntowności i szczerego zamiaru." Przeto należy — wmawiali Krzyżacy bez przestanku w ówczesnych książąt europejskich — nie ustawać w wojnie z nieśmiertelnem, według ich zdania i życzenia, pogaństwem, a sami w duchu szeptali: należy wojować zwolna, aby nie zmusić naprawdę do chrześcijaństwa.

Toczono tedy wojnę tylko o tyle, o ile tego potrzeba zakonu wymagała. Pragnęli zaś wojny Krzyżacy głównie z dwóch przyczyn. Naprzód, aby się w oczach świata otoczyć blaskiem zasługi ciągłych z poganami zapasów, powtóre, aby tym religijnym urokiem zwabiać sobie nieustanną ze wszystkich krajów pomoc rycerską, która, czy to w istotnej wojnie z Litwą, czy, jak często się działo, w jakiejkolwiek wojnie z chrześcijanami, zwłaszcza z Polską, oszczędzałaby zakonowi kosztów zwyczajnego zaciągania rot zbrojnych. Stało się też z obudwóch względów zadość Krzyżakom. Łatwowierna Europa od lat 150 już to przez samych Krzyżaków, już przez powracających z ziemi pruskiej pielgrzymów przesadnemi wieściami

o nieustannej tam walce z litewskiem „saraceństwem" straszona, nawykła w braci krzyżackiej, albo, jak się powszechnie wyrażano, w „panach pruskich", szanować męczeńskich obrońców wiary, którym słusznie należy się wszelka cześć, wszelkie współczucie, wszelka jałmużna modłów i złota. Toż czego zwyczajnie nikt wyprosić sobie nie zdołał, otrzymywali Krzyżacy z łatwością darem życzliwym. Okazywało się to najbardziej w hojnem zewsząd obsyłaniu ich najdroższemi kosztownościami owego czasu, t. j. relikwiami świętemi, jako najskuteczniejszą ochroną od niebezpieczeństw wojennych. Dla podsycania wiary w ciągłe zagrożenie zakonu niebezpieczeństwem tego rodzaju upraszali Krzyżacy tak żałośnie o podobne jałmużny i tyle gotowości znachodzili wszędzie do udzielenia im onych w największej liczbie, iż te, zaledwie zrozumiałe dziś środki do działania na opinię publiczną, stały się rycerskim mnichom pruskim bardzo pomocną dźwignią ku rozszerzeniu swoich wpływów za granicą i władzy w domu.

Gdy W. mistrz niedawno do biskupa i kapituły w Paderbornie przesłał imieniem zakonu podobnąż prośbę o cząstkę relikwii z leżących w tamecznym kościele zwłok św. Liboryusza, patrona miejscowego, biskup i kapituła paderbornska odpowiadają Krzyżakom: „Lubo wielu książąt, arcybiskupów, biskupów, prałatów i innych zacnych osób błagało nas oddawna o dar podobny, nikomu przecież nie daliśmy ani kawałka. Wam jednakże, którzy bez przerwy z największem wytężeniem walczycie z Saracenami o wiarę chrześcijańską, wam dwie cząstki prawdziwych relikwiów przesyłamy." — „Gdzie jest teraz brat Gunter de Hohensztejn?" — zapytał cesarz, Karol IV, jednego z biskupów pruskich w gościnie u dworu cesarskiego. „Jest obecnie w Brandenburgu komturem" — odpowie biskup. A cesarz na to: „Podczas mojej wyprawy w Prusiech wyświadczył mi Gunter tak wiele i tak znamienitych przysług i uprzejmości, że wiecznie po-

mny tego, radbym mu teraz okazał łaskę nawzajem." Wtedy rzecze biskup krzyżacki: „Nie mógłbyś mu cesarz jegomość większej wyrządzić łaski, jak gdybyś udzielił cząstki relikwii św. Katarzyny." Cesarz zamyślił się i nadmienił, że cząstka, będąca w jego posiadaniu, jest bardzo małą. „Nic to—ozwie się Krzyżak. — Zasługi św. Katarzyny już ją pomnożą." Ściągało się to do pospolitego podówczas wyobrażenia, iż cudotwórcze relikwie, choćby najhojniej cząstkami udzielane, same cudownie pomnażają się, co też rzeczywiście dało powód tak wielostronnemu jednocześnie istnieniu jednej i tej samej świętości, np. głowy św. Jana Chrzciciela, św. Benedykta, Maryi Magdaleny, Łazarza i tylu innych. Zagadnięty tak cesarz był bardzo pilnym zbieraczem i właścicielem relikwij, pomiędzy któremi celowały mianowicie: darowany od naszego króla Ludwika obrus, na którym wieczerza Pańska odprawiała się, dalej kawałek powrozu, którym Chrystus przy biczowaniu do słupa był przywiązany, kawałek welonu Matki Boskiej, kilka włosów z jej głowy, kawałek jej gromnicy, kawałek różdżki palmowej, niesionej przed jej trumną, wreszcie szczątek z jej koszuli i szaty. Nie umiał tedy odmówić pobożnej prośbie biskupa, i czegoby każdemu innemu był pożałował, to Krzyżakowi użyczył.

Francuski król Karol V przesyła Krzyżakom bez prośby dar oprawnego w złoto krucyfiksu z drzewa krzyża Chrystusowego. Inni książęta ubiegali się z równą skwapliwością w ofiarowaniu braciom zakonu niemieckiego niezmiernych zapasów tej relikwiowej broni przeciw pogaństwu. A Krzyżacy przyjmują wszystkie nadsyłki z niewymowną wdzięcznością, z procesyami, z głośnem na cały świat nabożeństwem. Główny klasztor krzyżacki w Oliwie pod Gdańskiem słynął wtedy jako skarbiec najrzadszych świętości tego rodzaju, pomiędzy któremi świeciły najbardziej strzępki z sukni Najświętszej Panny, ząb Maryi Ma-

gdaleny, szczątki ognistego krza Mojżeszowego i tym podobne. Na cześć owej cesarskiej cząsteczki z relikwii św. Katarzyny, złożonej następnemi laty w stołecznym grodzie krzyżackim, Marienburgu, odbywało się tamże w dzień św. Filipa i Jakóba nader uroczyste nabożeństwo, udarowane przez papieży osobnym odpustem dla wszystkich napływających wtedy pielgrzymów. Udawana zaś podobnemi prośbami i obrzędami intencya chronienia zakonu cudotwórczą pomocą od niebezpieczeństw pogaństwa, przyczyniała się wielce do utrzymywania świata w ustawicznej obawie o losy zagrożonego ciągle zakonu, w potrzebnem dla niego wyobrażeniu o jego bezustannej walce z pogaństwem, a zwłaszcza w sercu wszystkich kobiet ówczesnych gorejącem spółczuciu dla zakonu.

Wszakże jeszcze skuteczniejszą pomoc niosło mu nieprzerwane nadpływanie pobożnego ze wszystkich krajów rycerstwa. Wprawiało ono Krzyżaków niekiedy w istny kłopot co do zatrudnienia tak wielkiej liczby gości orężnych. Obecnie podejmowali Krzyżacy zwyczajnie tylko dwie kilku lub kilkunastodniowe wyprawy co roku w ziemie litewskie, obierając ku temu porę dwóch głównych podówczas świąt Matki Boskiej, t. j. Oczyszczenia w miesiącu lutym i Wniebowzięcia w połowie sierpnia. Nieco późniejszemi zaś czasy, z powodu coraz tłumniejszego napływu pielgrzymów i ochotników rycerskich, domagających się usilnie pochodu w ziemię pogańską, musiano czynić niekiedy siedem wypraw w jednym roku. Dostarczały Prusom tych ochotników wszystkie stany, wszystkie narody. Znany nam cesarz Karol IV, nasz król węgierski i polski Ludwik, czeski król Jan Luksemburczyk, król angielski Henryk IV, panujący książęta rakuzcy: Albrecht i Leopold, książęta szczecińscy, cyllejscy, bawarscy, juliaccy, pfalccy, geldryjscy, szlązcy, najznakomitsi panowie Francyi i Anglii, owszem dalekiego nawet Neapolu magnaci, wszyscy poczytywali sobie za religijną zasługę i wiel-

ki zaszczyt służyć w jednej lub kilku wyprawach krzyżowych pod rozkazami zakonu. Po każdym z takich monarszych lub książęcych gości pozostawała w Prusiech zazwyczaj jakaś wiekopomna pamiątka, nowa twierdza, miasto nowe, jak np. po bawarskim księgu Henryku Bajernburgu, gród Bawarski, po czeskim królu Przemyślu Ottokarze miasto królewskie, Królewiec, *Königsberg*. Nadto każdy rycerski pobyt w Prusiech zawiązywał zwyczajnie nierozerwane odtąd związki z zakonem. Dopomagały Krzyżakom do skojarzenia tych węzłów osobliwie dwa środki. Jednym było moralne, ni to pochrzestne powinowactwo, zachodzące między zakonem a wszystkimi na ziemi pogańskiej przez Krzyżaków pasowanymi, lub zaszczytem tak zwanego stołu honorowego udostojnionymi rycerzami zagranicznymi. Za drugi środek służyło Krzyżakom przypuszczanie nader wielkiej liczby królów, książąt i panów, nawet kobiet ukoronowanych, lub z innego względu wielowładnych do niższych, świeckich stopni zakonu, czyli do tak zwanego spółbraterstwa i spółsiostrzeństwa. Dziś zaledwie zrozumieć możemy ważność tych środków; wszakże w wieku naszej powieści były one niemałą podpomogą wpływu i potęgi Krzyżaków.

Przyodzianie pasem rycerskim, czyli wyświęcenie na rycerza należało do najpamiętniejszych chwil życia męzkiego. Miejsce obrzędu nadawało mu większą albo mniejszą powagę. Podczas gdy rycerz, pasowany zwykłym sposobem przy jakiejkolwiek uroczystości dworskiej trącił pospolitością, towarzysz jego, mogący powiedzieć o sobie, iż jak często się działo, otrzymał pas rycerski na pobojowisku w obliczu szeregów nieprzyjacielskich, do razu cześć i pierwszeństwo zyskiwał. Ale za najznakomitszą widownię pasowania uchodziła ziemia pogańska, za najuroczystszą chwilę przedchwila do boju z Saracenami. Przy teraźniejszem zaniechaniu wypraw do ziemi świętej były tylko południowe strony Hiszpanii arabskiej

i nadbałtycka Litwa temi szczęśliwemi dla rycerza krajami, w których jeszcze kwitło pogaństwo. A ponieważ znaczna odległość utrudniała przeprawę do Hiszpanii, więc wszystko, co w średniej lub północnej Europie szukało zaszczytów rycerskich, sławy i przygód, cisnęło się tłumnie do Prus. Tam pod przewodnictwem zakonu w zbrojną do Litwy wycieczkę wyruszywszy, badano pilnie pograniczną miejscowość leśną dla przekonania się, czy drużyny krzyżowe stanęły już istotnie w ziemi pogańskiej. Jeśli tak było, tedy w obliczu pierwszego lepszego grodziska litewskiego, na gruzach pierwszej lepszej spalonej zagrody pogańskiej, pełniono na karku mnogich przyklękających książąt i grafów sławną ceremonię chrztu rycerskiego. Każdemu z takich nowych rycerzy zostawały Prusy na całe życie ziemią pochrzestną, zakon niemiecki ojcem chrzestnym, a ile razy Krzyżacy z jaką prośbą lub sprawą zgłoszą się do jednego z tych pochrześników, każdy z nich, czy to np. który z pasowanych w Prusiech książąt rakuzkich, czy pfalcgraf Ruprecht, czy angielski król Henryk powtarza słowa, wyrzeczone przez tegoż króla Henryka: „Toć ja piastunkiem Prus!" — i, jak ów cesarz Karol, nie żałuje Krzyżakom największych łask.

Widząc, ile uroku wywiera udzielanie w Prusiech chrztu rycerskiego, wymyślili Krzyżacy później drugą, jeszcze świetniejszą uroczystość. Był nią tak zwany stół honorowy, zastawiany przez Krzyżaków w czasie wyprawy wojennej w ziemi pogańskiej. Jak opięcie pasem rycerskim rozpoczynało, tak honorowe zaprosiny do tegoż stołu wieńczyły ostatnim zaszczytem zawód rycerski. Z tego względu przypominał ten czestny stół krzyżacki starodawne podanie o okrągłym stole króla Artusa. Zajęcie miejsca u tegoż stołu podnosiło umieszczonego tam przez Krzyżaków rycerza niejako do godności ucztujących przy stole

Karola W. paladynów dwunastu, ideałów rycerstwa. Ztąd dostąpienie miejsca u stołu honorowego poczytywali sobie starzy, głośni w świecie rycerze za najpiękniejszy dank życia. Nie uśmiechał się im zaszczyt podobny gdzieindziej, w żadnym innym pod słońcem kraju, u żadnego innego dworu. Bo przemyślni Krzyżacy wyrobili sobie u papieżów i cesarzów „prerogatywę i przywilej" wyłącznego udzielania honoru podobnej uczty rycerskiej. Skoro tedy Krzyżacy rozesłanemi po dworach królewskich i książęcych listami oznajmili blizkie zastawienie stołu czestnego, wybierał się do Prus każdy sławny wojownik, ciągnął tam każdy stary bohater, wiedziony życzeniem ostatniej palmy rycerstwa.

Ze wszystkich stron świata nadpływali godni i niegodni współzawodnicy. Książęta prowadzili z sobą tłumy krajowej szlachty, aby jak najliczniejszych sławy swojej mieć świadków. Ubodzy rycerze sprzedawali ojczyste posiadłości, ostatek mienia swojego, niekiedy nawet w ogromne brnęli długi, aby tylko zebrać środki do tej podróży. Stanąwszy na miejscu, musiano często przez długie tygodnie i miesiące żyć w Prusiech o własnym koszcie, wypróżniać trzos z pieniędzy, zostawiać niemałe skarby w kraju, oczekując wyprawy przeciw poganom, a z nią chwili uroczystości. Wreszcie siadło wojsko krzyżowe na koń. Pod Królewcem, albo na pograniczu litewskiem w pobliżu Kowna, na dolinie między lasami, u stóp jakiejś zburzonej twierdzy pogańskiej, pod kosztownym namiotem stanął stół honorowy. Mały on, bo tylko dziesięciu lub dwunastu rycerzy ma przy nim zasiąść, lecz wysokie podniesienie i nadzwyczajnie bogata zastawa dostatecznie go odznaczają. Przed ucztą sąd honorowy, złożony z najznakomitszego rycerstwa rozstrzyga, którzy z przybyłych spółzawodników mają otrzymać miejsce. Z uroczystą powagą roztrząsają sędziowie żywot i czyny każdego, a jakież to zasługi odnoszą nakoniec tryumf? Oto pierwsze miejsce

u stołu honorowego zostaje przysądzone jakiemuś rycerzowi rakuzkiemu, panu Konradowi von Richartsdorff, ponieważ wbrew powszechnemu zwyczajowi odbył pielgrzymkę do ziemi świętej konno lądem, dokoła morza Czarnego. Przyczem w towarzystwie wielu innych rycerzów zapuścił się był tenże rycerz Konrad w jaskiniową głąb jakiejś góry, i przebył tam dzień cały i noc całą. „Wszyscy jego towarzysze—opowiada kronika — zginęli tam śmiercią tajemniczą, a on sam jeden powrócił. Ale póki życia nie chciał nikomu powiedzieć, co tam we wnętrzu góry widział lub słyszał."

Tego rodzaju zasługi zdobiły także resztę współbiesiadników. Przy odgłosie trąb przywoływani przez heroldów, zasiadali nowi paladynowie do wielkiej uczty. Trwała ona czasem od dziewiątej godziny z rana aż pod wieczór. Najsłynniejsi urzędnicy zakonu usługiwali. Godny obrzędu przepych świecił na stole. Wszystkie naczynia do jedzenia i picia były ze złota i srebra. W kosztownych puharach pieniły się najprzedniejsze gatunki win. Po każdym wychyleniu kubka chował rycerz wypróżnione naczynie złote, jako dar honorowy do leżącej obok siebie torby podróżnej. Stosy złotych i srebrnych czar przechodziły tym sposobem z kredensu krzyżackiego do kieszeni rycerskiej. Niekiedy zamiast wina błyszczały w podanej czarze — dukaty. Chował rycerz i tę pamiątkę honorową do sakwy. Toż ogromne, milionowe niekiedy sumy płynęły na takie uczty. Jakkolwiek drogie, atoli wynagradzały się one Krzyżakom z lichwą niezmierną. Wielkość wydatków na uczty honorowe dowodzi tylko ogromu wielorakich dochodów z nich.

Takiemże samem źródłem bogactw i wpływu służyło zakonowi przypuszczanie do tak zwanego spółbraterstwa. Nie zniewalając do żadnej duchownej reformy ciągłego życia świeckiego, przynosiła ta godność wiele honorowych cacek i przyjemności współ-

braciom, wiele realnych korzyści zakonowi. Spółbracia mieli wielce uszczęśliwiającą podówczas wolność przywdziewania w dnie pobożne stroju barwy duchownej i duchownego kroju, mogli, ku jeszcze większemu zadowoleniu prostaczej owego czasu próżności, nosić na piersiach krzyż zakonny, i cieszyli się zresztą nadzieją, że im Krzyżacy po śmierci pozwolą we wszystkich kościołach zakonnych sprawić sobie swym własnym kosztem sute nabożeństwo żałobne. Zato Krzyżacy otrzymywali od nich obowiązek zapisania zakonowi już to całego majątku, już to przynajmniej połowy. Nadto nie trudno pojąć, że tacy spółbracia, zostając zawsze w stosunku duchownej podrzędności względem zakonu, jeśli nie sług powolnych, tedy przynajmniej usłużnych w każdym razie protektorów i obrońców pełnili obowiązek. Stanie nam zaś jasno przed oczami wielkość uzyskanego tem wszędy wpływu, potęga wynikających ztąd w każdej sprawie pomocnych stosunków i koneksyj z każdym dworem i krajem, gdy zwrócimy uwagę na wszechstronność i znakomitość tych węzłów spółbraterstwa. W jednym i tym samym czasie należeli w ten sposób do zakonu teutońskiego król rzymski, Zygmunt, duński król Waldemar, aragoński król Alfons V, rakuzki książę Albrecht, pfalcgraf Ruprecht, „najbliższy po królu" książę neapolitański, Romandello Ursini. A po iluż innych nie pozostało wcale żadnego śladu! Nawet panie ukoronowane, jak np. małżonkę onego rzymskiego i niemieckiego króla, Barbarę, liczył zakon jako spółsiostry do swoich protektorek, które u swoich mężów, braci, poddanych, nieskończenie użytecznemi wspierały go przysługami.

Oprócz takich związków wszechstronnych, posiadali Krzyżacy jeszcze znaczne ziemie i majętności w różnych krajach europejskich, zwłaszcza w państwach niemieckich, mianowicie w księztwie rakuzkiem, w Czechach, w Węgrzech i indziej. Zarządzająca niemi rzesza komturów, podległa osobnemu mi-

strzowi Niemieckiemu, słuchała wespół z mistrzem inflanckim rozkazów W. mistrza nad Wisłą. Za pomocą tych szerokich odrośli i opisanych tu związków wikłał zakon niemiecki całą prawie Europę w swą sprawę. Każdy jego spór z Polską przygniatał ją nieprzyjaźnią wszystkich pobratanych z zakonem państw i narodów. Każde odniesione przez Polskę nad zakonem zwycięztwo starają się mnodzy królowie europejscy, jak ów niomiecki król Karol IV, angielski Henryk, osłabić i udaremnić natychmiast, już to bezpośrednio samym Polakom grożąc, już to pośrednio w umyśle papieża wrogie Polsce budząc usposobienie, przeciwne narodowi, uzyskując odeń wyroki. Z całym prawie zachodem ciągłą połączeni korespondencyą, kusili się, owszem, Krzyżacy rozgałęzić stosunki swoje po tak dalekiej przestrzeni świata. jakiej wówczas, z wyjątkiem stolicy apostolskiej, żaden dwór królewski nie obejmował związkami swemi. Toć czasy obecnego kwitnięcia zakonu przekazały nam ślady jego korespondencyi z najodleglejszemi stronami wschodu, z królami Cypru i Armenii, z mirzą Miranszachem, synem Tamerlanowym, wreszcie z samym Tamerlanem, proszonym przez zakon o zawiązanie stosunków handlowych z Krzyżakami.

Na tak szerokiej podstawie oparty, tak wszechstronną życzliwością i usługą świata ubezpieczony, mógł zakon niemiecki spokojnie organizować się w domu. Dopełnili Krzyżacy tego wewnętrznego zadania z niezwykłą w onej epoce dokładnością. Jako gospodarze swojego państwa, przewyższali oni nieskończenie wszystkich książąt ówczesnych. Organizacya polityczna Prus wypływała z klasztornej organizacyi zakonu, podobnej do urządzenia wszystkich towarzystw zakonnych. Dożywotni mistrz W., otoczony gronem najwyższych dostojników zakonnych, rządził całym krajem za pomocą wielu podwładnych powiatowych rządców, komturów i fogtów, zawsze

Krzyżaków. Zwoływani często na zjazdy i obrady kapitulne, posiadali i wykonywali ci urzędnicy zakonni zwierzchniczą władzę nad ludnością swoich powiatów w łagodniejszy i wyrozumialszy sposób nad pokrewnym sobie ludem świeżo ukolonizowanych wiejskich i miejskich osad niemieckich, w surowy i samowolny nad ludnością krajową, nad drobną szlachtą i gminem pruskim i polskim. W tej mierze budowa polityczna nie odznaczała się kunsztownością. Zato jednak ścisłość administracyi, rygor egzekucyi wszelkich rozporządzeń rządowych, zmyślność w wynachodzeniu nowych źródeł dochodu, policyjna baczność na zachowanie się ludu — do najwyższego posunęły się stopnia. I byłoby nawet trudno pojąć uderzającą pod tym względem wyższość rządów krzyżackich nad wszystkiemi rządami ówczesnemi, gdybyśmy nie przypomnieli, iż to były rządy duchowne. Jedno tylko duchowieństwo, zwłaszcza duchowieństwo zakonne, posiadało wówczas świadomość środków umysłowych.

Podczas gdy rządy świeckie znały tylko pojęcie gwałtu lub prawa, stan duchowny uzdolniał do wykształcenia w sobie pojęć różnorakiego p r z e m y s ł u. On też jeden, umiejąc pisać i czytać, miał wszystkie czynności spotężać kontrolą pisma, miał rejestrować, rachować, kombinować. Sam obcy temu wszystkiemu, żywioł ś w i e c k o - r y c e r s k i nie zdołałby żadną miarą wytłómaczyć nam dostatecznie tej administracyjnej skrzętności i przysporzonej tem siły i potęgi wewnętrznej, jakiemi państwo krzyżackie celowało nad wszystkiemi świeckiemi państwami onego czasu. Przyczyniał się do jego nienaturalnego wzrostu i wybujania nawet ówczesny brak oświaty, przyczyniała się prostaczość ówczesna, rozwijająca w charakterach nadzwyczaj żywą chciwość, która przy danem raz usposobieniu do systematyczniejszego gospodarstwa rządowego wyradzała z siebie dalej niespodziewaną subtelność w sztuce uzamożniania się. Nakoniec nie bez tego, aby i żywioł właściwej zakonowi narodo-

wości, tak rozmiłowanej w drobiazgowych czynnościach biuralizmu, manipulacyi, kancelaryjnej pedanteryi, a pełnej zarozumienia o swojej nad innemi, zwłaszcza pokonanemi narodowościami wyższości, nie przyłożył się wielce do tem jaskrawszego wykształcenia w braci krzyżackiej odpowiednich temu nałogów i skłonności. Należyte zaś uwzględnienie wszelkich wykazanych tu wpływów i żywiołów pozwala mu dojrzeć w państwie i w charakterze Krzyżaków jednę z najciekawszych osobliwości historycznych.

Państwo zakonu stało na jaknajściślejszej rachunkowej kontroli każdego kroku. Ogromne pliki aktów z jedynej kilkudziesięcioletniej epoki kwitnięcia zakonu w archiwie krzyżackim zgromadzone, stanowią dziś najgłówniejsze źródło obyczajowej strony dziejów krzyżackich. Nie uszedł ich baczności żaden szeląg dany trębaczom miejskim w napitek za przygrywanie W. mistrzowi podczas przeprawiania się czółnem przez Wisłę. Nie uszedł wpisania żaden łót pieprzu i imbieru w kuchni W. mistrza, żaden kawałek deski nad łożem W. mistrza dla złożenia na nim rynsztunku. Nie zapomniano wreszcie o żadnym łokciu płótna niebieskiego, przeznaczonego na podszewkę do kaftanów dla młodych książąt litewskich, a kupionego, jak księga rachunkowa starannie wyszczególnia, „przez pana Piotra, dzwonnika, gdy stary szatny umarł." Tak ściśle rejestrowanie każdego wydanego halerza ustępowało chyba tylko ścisłości, z jaką każdy z a k o n o w i przynależny szeląg egzekwowano. Praktykowana przytem surowość gniotła tem dotkliwiej, ile że w żadnym innym kraju nie podnoszono miary należytości i obowiązków publicznych tak wysoko, jak w Prusiech. Wszelkie np. czynsze włościańskie były tu nierównie większe, niż w Polsce, liczba udzielanych zwykle nowoosiedlającym się kmieciom lat uwolnienia od danin, w Polsce niekiedy do 20 lat przedłużana, tu albo najczęściej bywała za-

dna, albo w dowód osobliwszej łaski ledwie do 3, 4 lat trwała.

A te daniny kmiece w Prusiech jakże rozliczne i uciążliwe! „Bywały nie rzadkie przykłady — mówi dzisiejszy historyk i obrońca zakonu — że od jednej włoki płacono rocznie 2, albo 3 grzywny szelągów" — znaczną na one czasy sumę, gdy sobie przypomnimy, że za całe małointratne wsie nie dawano czasem więcej nad 4 grzywny i postaw sukna. „Nadto składano w dani 4 kapłony, albo 8 kur i funt pieprzu." Z czem wespół szła gdzieindziej do komory krzyżackiej z każdego morgu obfita ilość gęsi, kaczek, lnu, konopi, szafranu i tym podobnych artykułów. Wiążącego się z temiż daninami obowiązku niektórych robót publicznych przestrzegała tak ściśle zwierzchność krzyżacka, że jeśli np. chłopi wyłomali się niekiedy od służby szarwarkowej, musiało ich na rozkaz krzyżacki zastępować w niej duchowieństwo miejscowe. Wtedy dla okazania całemu światu ciemięztwa krzyżackiego, wychodzili plebani do roboty zimowej około łomania lodów w świątecznym stroju kapłańskim, w albie, w ornacie, z kielichem w lewej, siekierą w prawej ręce. Podobne obejście się ze stanem duchownym może nam dać wyobrażenie o innych stanów ucisku. Mieszczaństwo użalało się najwięcej na monopolistyczne przywłaszczenie sobie przez Krzyżaków handlu gdańskiego. Wszystek handel zbożowy, najważniejsze w tych stronach źródło zamożności kupieckiej, zostawał wyłącznie w ręku krzyżackiem. Również i w handlu wszelkiemi innemi towarami musiało kupiectwo miejskie nieraz wieloletnią ponosić przerwę, podczas gdy zakon własnemi okrętami nieprzestannie zyskowny po zachodnio-europejskich portach prowadził handel. Inflanckiemu zaś ramieniu zakonu krzyżackiego, braciom Mieczowym, zarzuca arcybiskup rygajski w liście do papieża Klemensa V, iż „lubo uchodzić chcą za rycerzów, przecież wbrew przyzwoitości rycerskiej, parają się wszelkiego rodza-

ju handlem, owszem, jako prości przekupnie, praktykują najpodlejszy sposób kupiectwa, sprzedając owoce, kapustę, rzepę, czosnek i tym podobne towary."

Jakoż biadali mieszczanie gorzko z tego względu na swoich „panów niemieckich", i już w najświetniejszych czasach zakonu, kiedy jeszcze Polska nie mogła sprostać jego potędze, widzieli się w potrzebie myśleć o zrzuceniu nazbyt ciężkiego jarzma. Toczyły się w tej myśli tajne pomiędzy miastami hanzeatyckiemi narady, układano już plany, lecz wczesne ostrzeżenie zakonu przez jednego z zagranicznych przyjaciół „tajnych" uprzedziło wybuch powstania. Najsroższa jednak niedola ciężyła na wszelkiem niekrzyżackiem duchowieństwie. Uważając siebie samych za najgodniejszych kapłanów, nie dopuszczali Krzyżacy w ziemiach swoich rozszerzania się duchowieństwu świeckiemu lub też jakimkolwiek innym zakonom. W drugiej stolicy krzyżackiej, w Królewcu, nie było ani jednego klasztoru. Te, które w miastach pomorskich istniały z polskich jeszcze fundacyi, utrzymywano w niesłychanej na one czasy nędzy. Gdy Wielki mistrz krzyżacki dla ubłagania pomyślności w wojnie z Koroną polską, założonemu przez Polaka, a z czasem podupadłemu klasztorowi Kartuzów w Gdańsku naznaczył jałmużnę stu grzywien pruskich, dziękują mu biedni Kartuzi ze łzami w oczach: „Bogu tylko wiadomo, jaki niedostatek cierpiemy. Z otrzymanej teraz jałmużny będziemy mogli przez niejaki czas kruszyć sobie co piątku bułeczkę do ciepłej wody, zamiast czego musieliśmy dotąd na razowym przestawać chlebie".

Nie lepiej działo się duchowieństwu wiejskiemu. Hojnie od dawnych książąt polskich wyposażone, postradało ono pod panowaniem krzyżackiem wszelkie swobody i znaczenie. Wzbroniono wszelkim zakładom duchownym wzbogacać się posiadłościami ziemskiemi, a jeśli jakie dobra testamentowym przypadły im zapisem, musieli księża pod karą konfiskaty po-

zbywać się takowych. Walną intratę kościoła, dziesięcinę, opłacaną niegdyś na Pomorzu zwyczajem polskim w snopie, zamienili Krzyżacy omierzłym duchowieństwu zwyczajem krajów niemieckich w kuso oszacowaną dziesięcinę pieniężną. Czyniła ona tym sposobem zaledwie dwudziestą część dawnej dziesięciny snopowej—„przez co dawne dochody kościelne w ziemiach krzyżackich — użala się polski kapłan i dziejopis owej epoki — zupełnie uschły i do wieczystej przywiedzione zostały nikłości". Wysuszając zaś źródła bogactw kościelnych, nie śpieszyli Krzyżacy czynić z własnej kieszeni wydatków w rzeczach duchownych. Ztąd głośna z cnót i świątobliwości pruska pustelnica, Dorotea, przez cały kraj jako święta po śmierci czczona, nie doczekała się papieskiej kanonizacyi, ponieważ Krzyżacy nie chcieli podejmować potrzebnych ku temu kosztów.

Milszą od podobnych starań była Krzyżakom szeroko rozgałęziona lichwa. Pomimo bezustannych usiłowań stolicy apostolskiej o zniesienie jej w całym świecie zachodnim, wzbogacała ona Krzyżaków, jako główna gałąź ich przemysłu i gospodarstwa. Praktykował ją zakon zwyczajnie pod płaszczykiem tak zwanego kupna czynszów, t. j. pozornego zakupna i odprzedaży kawałka ziemi lub domu za pewną kwotę, którą dłużnik potem wypłacał rocznym czynszem, obliczonym na stopę lichwy. Oprócz tego samiż Wielcy mistrzowie trudnili się często lichwą, pożyczając znaczne sumy na f a n t y. Niekiedy dawało to zakonowi powód do gorszących z dłużnikami swoimi sporów, w których Wielki mistrz krzyżacki nieraz arcynieprzystojnie dla swojej rycerskiej i książęcej godności swarzy się ząb za ząb o niewypłacenie procentów lub należnego kapitału. Zachodzi taka sprzeczka np. z rajcami sąsiedniego miasteczka Słupska, których Wielcy mistrzowie łają, jako „powinni się wstydzić, że przy obradach swych siedzą dokoła pieczęci (tej głównej świętości) zacnego miasta, a nie

dotrzymują wiary w płaceniu długów, jako niegodziwi łotrowie, których wszelkie pisma i obietnice są kłamstwem". Ciągłe jednak ćwiczenie się w tego rodzaju komtuarowych spekulacyach, rejestrowych rachunkach, kancelaryjnych korespondencyach, naprowadziło Niemców krzyżackich wcześnie na niektóre wykwintności i wymysły nierównie późniejszej cywilizacyi. I tak np., zadziwia biuralizm krzyżacki, usposobiony w każdej chwili do spisywania protokółu, wybadywania świadków, podejmowania szerokich procederów kancelaryjnych. Ztąd, gdy jednego razu w czasach pokoju mieli Krzyżacy przerwać rozpoczętą przez Polaków na pograniczu budowę zamku, zjeżdża na miejsce sporu naprzód liczna komisya krzyżacka, rozkłada się kancelarya pod gołem niebem, odbywa się protokularne przesłuchanie przytrzymanych nadzorców budowy, zażądane są do protokółu odpowiedzi na tysiączne uboczne zapytania, odprawieni zostają Polacy po instrukcyę do wyższej władzy polskiej — a potem dopiero następuje gwałtowne zburzenie zamku.

Pospolite później we wszystkich miastach strzelanie do kurka, połączone z zawiązywanem zwykle w tym celu bractwem strzeleckiem, winno swój początek we wschodnio - północnej Europie staranności Wielkich mistrzów zakonnych, dbałych w ten sposób o uzdolnienie mieszczan do wojennej obrony murów miejskich, a z niemi i potęgi krzyżackiej. Przy zbrojnych pochodach do Litwy zapisywano każdy las, każde bagno, każdy zasiek, każdy rów w drodze, z których to dat złożyły się pozostałe dotąd w archiwie pokrzyżackim topograficzne opisy wiodących do Litwy szlaków wojennych. W chęci ukrycia przed nieprzyjaciołmi tajemnic swojej korespondencyi, swoich planów wojennych, wymyślili Krzyżacy już w owym wieku osobne pismo tajemne. Do roznoszenia mnogich listów krzyżackich służyła należycie urządzona, acz tylko wyłącznemu użytkowi zakonu oddana po-

czta listowa, zatrudniająca mnóstwo tak zwanych *briefjungen*, o których księga wydatkowa nie zapomniała zapisać, że mieli czerwono-niebieskie kurty, a szaraczkowe rajtuzy. Rozwożone tą pocztą listy, zawierające często tylko ogólne wiadomości o najnowszych w świecie zdarzeniach, przeznaczone do zabawienia dostojnych łaskawców i łaskawczyń zakonu, były w onym czasie rodzajem gazet. Dowiadywał się z nich np. bawarski książę Fryderyk, „najukochańszy w świecie pan i dobrodziej zakonu" (jak nadpis listu opiewał) o najświeższych nowinach polskich. Donoszono w nich sławnej królowej duńskiej, Małgorzacie, ciekawe wieści o Litwie, a polskim i litewskim książętom o dalekich krajach zamorskich. Dogadzaniu zaś cudzej ciekawości podobnemi nowinami o obcych stronach towarzyszyła dokładna policyjna świadomość wszystkiego, co się we własnych działo granicach.

Policya krzyżacka wymagała już wówczas od gospodarza domu każdego w mieście, aby przybyłych do siebie gości zamiejskich meldował natychmiast u burmistrza, który miał prawo dozwolić przybyszowi pobytu, lub w razie jakiegokolwiek podejrzenia wziąć go pod areszt. Lecz wszelka jawna policya była niczem w porównaniu z tajną policyą Krzyżaków. Kwitnące w całym ówczesnym świecie szpiegostwo znalazło w zakonie szkołę najwyższego wydoskonalenia. Umieli Krzyżacy rozniecić je po wszystkich krajach ówczesnych. Owi krzyżaccy listonosze byli oraz szpiegami. Tegoż samego obowiązku dopełniali zwyczajnie kupcy, nielitościwie nieraz prześladowani ztąd w obcych stronach. Jeszcze ważniejsze usługi tego rodzaju świadczyli zakonowi liczni po wszystkich krajach „spółbracia", urzędowi powiernicy i przestrzegacze Krzyżaków, zaszczyceni w tym celu przypuszczeniem do tak zwanej „tajemniczości zakonu". Cokolwiek taki zagraniczny „tajemnik" usłyszał przeciw Krzyżakom od przybyłych z ziemi

krzyżackiej księży lub mieszczan, cokolwiek w poufnej rozmowie mógł z nich wyłudzić, wszystko szło natychmiast tajemnem doniesieniem do wiedzy panów pruskich. Którędykolwiek takiemu doniesieniu droga wypadła, wszędzie zdarzał się jakiś nowy poufnik, który powziętą nowinę podawał zcicha dalej. W ten sposób przechodziła jedna i taż sama denuncyacya przez mnogie ręce, zanim się dostała do Malborga. I tak np., daleko nad Renem w Niemczech zwierzają kupcy gdańscy jakiemuś rycerzowi swoje nadzieje otrząśnięcia niebawem jarzma Krzyżaków. Nieumiejętność pisania zmusza rycerza do oznajmienia Krzyżakom tej ważnej wieści za pośrednictwem piśmiennego przyjaciela, tajnego rajcy książąt bawarskich. Rajca doręcza denuncyacyę poblizkiemu mistrzowi niemieckiemu, a dopiero od tego dostaje się ona listownie do kancelaryi Wielkiego mistrza nad Wisłą. I oto w tym podziśdzień dochowanym liście szpiegowskim wyczytujemy dosłownie, jako „jacyś dwaj kupcy z Gdańska, a jeden z nich był to wysoki, czarny mężczyzna, rozmawiali długo z rycerzem (od którego wiadomość pierwotnie wyszła), a rycerz podobnież z nimi, i gadano szeroko o tem, jako wiele miast pruskich nie sprzyja zakonowi, ponieważ zakon uciska je niezmiernie, i przeto ci dwaj mieszczanie wraz z mieszczanami innych miast pruskich ułożyli i t. d...“ Jakikolwiek skutek miało podobne donosicielstwo, zawsze mnogość uczestniczących w niem osób niemałym jest dowodem wspieranej wszędzie w ten sposób potęgi zakonu niemieckiego.

Jeśli zaś państwo zakonne wistocie niepoślednie z tego zausznictwa odnosiło korzyści, tedy charakter braci zakonnej, o którym teraz mówić przychodzi, wiązał się z niem nader blizkiem zaprawdę powinowactwem. Krążą zwykle najopaczniejsze wyobrażenia o charakterze Krzyżaków. Niemieccy wielbiciele zakonu bez względu na wszelkie okoliczności widzą w rycerzach pruskich tylko poświęcają-

cych się dla ludzkości apostołów oświaty i chrześcijaństwa. Polskie zdania, złudzone kilku przykładami żołnierskiej gwałtowności Krzyżaków, upatrują w nich daleko sroższych, niż słuszna, zbrojnych, orężnych gwałtowników. Świetność szerokiego panowania przyodziewa dzisiejszą ich pamięć urokiem majestatu, jakiego rzeczywistość nie znała. Dla uwydatnienia istotnej ich fizyonomii, musimy przypomnieć znów, iż ci apostołowie oświaty, ci zbrojni gwałtownicy, ci szerokowładni książęta, byli przedewszystkiem mnichami. Dzieliło się całe zgromadzenie na wiele stopni, pomiędzy któremi były dwa główne: t. j. braci wyświęconych, czyli rzeczywistych kapłanów w niewielkiej liczbie, i tak zwanych „braci-rycerskich", czyli laików. Ci ostatni stanowili ogół rycerstwa krzyżackiego, który znów przodkował kilku podrzędnym stopniom zakonnym, jak np. tak zwanym „spółbraciom", tudzież „braciom służebnym", mogącym wcale świeckie niekiedy prowadzić życie, a przeto tylko pośrednio należącym do zgromadzenia. Obadwa g ł ó w n e stopnie zachowywały ściśle strój i obyczaje zakonne. Zakonny też pozór dobroduszności, mnisza pokora, kwestarska umiejętność ujmowania sobie ludzi tu pochlebnem słówkiem, owdzie niewinnym żartem, gdzieindziej klasztornym upominkiem, najwłaściwiej charakteryzowały wszystkich członków zgromadzenia. Dopiero uwzględnienie osobliwszej sprzeczności między temi zewnętrznemi manierami, a istotną ambicyą i potęgą zakonu, podaje nam klucz do odgadnienia obłudnego charakteru Krzyżaków. O istocie zaś zachowywania tych mniszych manier ileż to nie przekonywa nas rysów!

Mimo rozpostartej po wszystkich krajach sieci swego majątkowego i duchownego zwierzchnictwa, mimo blizkiej nadziei przytarcia całej Kazimierzowej Polski swoją przemocą, stroi Krzyżak zawsze minę pokornego, spokojnego, niewinnego prostaczka. „Cóż pomogą wszelkie nasze rady i zamysły — pokorzy się

mistrz Wielki w liście do jednego z książąt sąsiednich — bez waszej pomocy wielowładnej! Choćbyśmy bez końca radzili tędy owędy, na nic się to wszystko nie przyda, bo zawsze się w końcu okaże, że wszelka pomyślność nasza i wszelka nasza przyszłość zależy naprzód od Boga, a potem zaraz od was i łaski waszej". W innym liście dochodzi ta pokora Wielkiego mistrza do tego stopnia, że sam wielbiciel i dziejopis zakonu uznając ją nazbyt przesadną, nie chce udzielić nam tego listu. Dopóki gra wojenna nie wróży pewnej wygranej, dopóty pokorny Krzyżak nie wykroczy żadną miarą z dalszej swej roli, t. j. roli miłośnika spokoju. Wtedy, choćby wszelkie okoliczności zachęcały do wojny, choćby lekkomyślność niektórych młodzików drwiła z Wielkiego mistrza, iż mu być raczej „opasłym opatem w klasztorze, niż mistrzem zakonu rycerskiego," za nic Krzyżak nie dobędzie oręża. Daremnie wtedy prześladowały go szyderstwa własnego trefnisia i codzienne z tegoż powodu paszkwile i karykatury, daremnie sam krotofilny biskup polski „Kropidło", czyli według niemieckiej eufonii, *Grapidla*, drażnił ucinkami jego cierpliwość; spokojny mistrz Wielki wolał znosić szyderstwa i łajania, i „dać się malować po ścianach", niż pomyślny spokój wątpliwej poświęcić wojnie. Nawet wśród wojny nie opuszczała Krzyżaka w razie potrzeby świątobliwa spokojność i cierpliwość, a gdy jeden z książąt litewskich obraził się raz miotanemi nań przez Krzyżaków oszczerstwy, uspokaja go mistrz krzyżacki uwagą: „Toć i my także stojąc obozem na wyspie, słyszeliśmy nieraz, jak panowie litewscy miotali na nas słowa, które doprawdy aż nazbyt nam ubliżały, a przecież nie bardzośmy to sobie do serca brali".

Tak świątobliwie pokorni i spokojni Krzyżacy, przybierali w razie niebezpieczeństwa cale ewangeliczną minę baranków. „Widzimy zaprawdę—skarży się W. komtur w liście do jednego z sąsiednich war-

togłowów rycerskich, roszczącego sobie jakieś pretensye do zakonu — widzimy jawnie, że wina, jaką nam zadajecie, podobna jest winie, jaką zadawał wilk osłowi; bo gdy wilk żadnej innej winy nie mógł zadać osłowi, tedy zadał mu winę, że gryzie trawę przy drodze". — Gdy bywało, w jakiej złowrogiej Krzyżakom sprawie, w jakiej kwestyi drażliwej, zażądano od nich porady, tulił się pokorny Krzyżak pod płaszczyk ubożuchności na duchu i odpisał kompromitującemu zakon korespondentowi, jako „mamy niestety zanadto mało rozumu, aby naszemu panu i łaskawcy pożyteczną w tej sprawie służyć radą. Bo tak my sami (mistrz W.), jako też wszyscy n a s i, jesteśmy nikczemni i prości ludzie i musielibyśmy mieć daleko więcej rozumu, niż go wistocie mamy, gdybyśmy w tak górnych sprawach mieli komuś doradzać". — Z tąż samą pokorą wymawiali się Krzyżacy niekiedy od również drażliwego obowiązku polubownych sędziów między stronami, z których żadnej nie chciano narazić sobie niepomyślnym wyrokiem, a którym przeto W. mistrz odpowiada z klasztorną uniżonością: „Jesteśmy doprawdy zanadto ograniczeni do tego... gdyż od dziecięcych lat naszych wychowaliśmy się tu w ziemi pruskiej i nie mieliśmy do czynienia w tak ważnych rzeczach. Przeto sprawy, które tak wysokiego potrzebują rozumu, są dla nas wcale niezwykłe".

A przyznając się snadno do ubóstwa umysłowego, upokarzał się Krzyżak również chętnie umyślnym pozorem wszelkich innych przywar klasztornych, jakim wistocie bynajmniej nie podlegał, mianowicie: pozorem wstydliwej nieśmiałości, nawet tchórzostwa. Ztąd, gdy w pewnej wstrętnej zakonowi sprawie król rzymski ofuknął Krzyżaków, że mu, jak należało, wcześniej wszystkiego nie oznajmili, tłumaczy się mistrz W. dziewiczo skromnemi słowy: „Nie donosiłem o tem waszej wielmożności, bo doprawdy cała ta rzecz była mi niewiadomą i, jak wasza wielmożność

wiesz, niedawno W. mistrzowstwa dostąpiłem. I dlatego ogarnął mnie tak wielki wstyd i zdjęła mnie tak wielka bojaźń, że nie śmiałem pisać o tem do waszej wielmożności". Mając bezpośrednie stosunki ze wszystkiemi prawie dworami europejskiemi, z najpotężniejszymi władcami i władczyniami świata, poufalili się W. mistrzowie w mniszej pokorze również chętnie z niższemi także klasami, z urzędnikami takich nawet książąt i królów, których oni sami przewyższali potęgą, mianowicie z wojewodami polskimi, z pospolitem szlachectwem polskiem. Natenczas, płaszcząc się przed tym lub owym księciem zepewnieniami, iż wszelkie jego życzenia są dla zakonu rozkazem, „który z jego ust milszym jest zakonowi, niźli z ust któregokolwiek z mocarzy świata", przypochlebiano się sługom tegoż książęcia jeszcze słodszemi wyrazami przyjaźni, nazywając ich w nadpisie listów krzyżackich nie inaczej, jak tylko „kochany przyjacielu!... poszczególnie kochany przyjacielu!... poszczególnie ze wszystkich najukochańszy przyjacielu!"

Z jakąż dopiero zręcznością umieli Krzyżacy przymilać się kobietom! Podwójny urok rycerstwa i kapłaństwa, otaczający kawalerów krzyżackich, przychylał im przemocnie serca wszystkich ówczesnych niewiast. Jakkolwiek ojcowie, mężowie albo bracia sporzyli i wojowali z zakonem, wszystkie córy, żony, siostry wiernie zawsze po stronie zakonu stoją. Zaczem gniewowi króla opiera się zwykle łagodny wpływ łaski królowej, o wrogich zakonowi planach książęcia ostrzega Krzyżaków współczucie księżny. Mamy nieskończenie wiele dowodów najprzyjaźniejszego porozumienia między zakonem a koronnemi onego czasu paniami. Głośna cesarzowa rzymska, Barbara, była nawet, jak wiemy, spółsiostrą zakonu niemieckiego. Ze sławną królową duńską Małgorzatą wiązała Krzyżaków nieprzerwana korespondencya przyjazna, darząca W. mistrzów przesyłanemi od królowej nader

„ładnemi pierścioneczkami", a królowę nawzajem częstemi od W. mistrzów przesyłkami ciekawych z różnych krajów nowinek. Podobnież związki zachodzą między Krzyżakami a księżną pomorską Adelajdą, W. księżną litewską Julianną, późniejszą W. księżną Anną, i mnogiemi innemi. W Polsce prawie każdą z małżonek królewskich, naszą Jadwigę, drugą żonę Jagiełły Annę, trzecią żonę Elżbietę, księżnę mazowiecką Aleksandrę, poznamy gorliwemi przyjaciółkami pobożnych zakonników krzyżackich, rycerzy Najświętszej Panny. Można z wszelką słusznością twierdzić, że to wszechstronne współczucie niewiast, nieustannie dla zakonu w każdej stronie i sprawie, w każdem sercu królewskiem, tysiącznemi środkami sztuki niewieściej czynne, podtrzymywało zakon w obecnej chwili potężniejszym od oręża krzyżackiego filarem.

Pojmując też całą wagę tego współczucia, skarbił je sobie zakon różnemi fortelami. Najpowabniejszym z nich było nabożeństwo zaduszne, odprawiane solennie w kościołach zakonnych po zgonie każdej znamienitszej łaskodawczyni. Za życia zaszczycano ją niekiedy miejscem u stołu honorowego, przyznając jej w ten sposób godność najcnotliwszej ze wszystkich dam chrześcijaństwa. Zresztą służyły do ujmowania serc żeńskich rozliczne upominki. Trudno uwierzyć, jak zmyślną umiejętność urozmaicania tych gościńców, nie tyle kosztownych, ile raczej sercu, albo jakiemuś osobliwemu gustowi miłych, posiadali Krzyżacy, jak dokładnego obeznania z poszczególnemi zamiłowania każdej koronnej pani dowodzą te klasztorne, niekiedy nadzwyczajnie drobiazgowe dary i upominki! Najczęściej, stosując się do ówczesnego zamiłowania pań w winie, pospolitym ich trunku, posyłano im po kilka beczek dobrego wina reńskiego. Czasem nadchodził od Krzyżaków rzadki w onych dniach specyał, cukier zamorski. Przy innej sposobności darzono delikatnie, w kuchni krzyżackiej usmażonemi konfiturami. Znachodzimy nawet wiadomość

o jakiemś darowanem brzękadle, zwanem „klawikord", które miało bawić księżne litewskie, z dawien dawna rozmiłowane w hucznym dźwięku instrumentów muzycznych. A w wypadkach cale sentymentalnego stosunku poleca testament W. mistrza, aby jego „psinę pobożną z srebrną obrączką na szyi" przesłano na pamiątkę małżonce króla polskiego.

W ogólności nadzwyczajna tamtoczesnych pokoleń tkliwość dla wszelkiego rodzaju zysków i wziątków pozwala Krzyżakom używać zwyczaju upominków za nader skuteczny sposób popierania spraw swoich. Pospolicie oszczędni w zawiadywaniu kasy zakonnej, nie szczędzili oni znacznych w tej mierze kosztów. Bardzo często bywały takie dary niewinnym na pozór środkiem przekupstwa, do którego prostacza interesowność onego czasu niejako zmuszała ludzi. W pewnych stosunkach należało zachowywać pozór przyjaznych upominków; nierzadko jednak wypadło jednać sobie przychylność brzęczącą gotowizną. W pierwszym razie otrzymywali sąsiedni królowie i książęta od zakonu podarki złocistej zbroi, kosztownych szub, rzadkich makat. Miłośnikom łowów dogadzano psami gończemi, lubownikom malowideł drogiemi obrazami, łakotnisiom nadsyłką marynaty z niezwykłych ryb, a niejednego arcybiskupa ujęto pysznym rumakiem. Najpowszedniejszą przesyłkę, której cały świat domagał się od Krzyżaków, stanowiły sokoły—sława ziem pruskich, obfitujących niegdyś w nadzwyczajnie liczne i cenne ptactwo tego rodzaju. Szły te, starannie w sokolarniach krzyżackich ułożone sokoły, białozory, jastrzębie, w suknem albo płótnem obitych klatkach, z obfitym zapasem drobiowego żeru na drogę, corocznemi dary do wszystkich dworów europejskich. Niezwykłej dobroci ptakom, przesyłanym niekiedy królom polskim, towarzyszył list polecający z szerokiem opisaniem, „jako sokół nadesłany odznacza się dziwnie i lotem swoim i pochwytywaniem zwierzyny, celując w tem wszystkie inne sokoły. Przeto tuszy

mistrz W., iż król jegomość będzie miał wielką z niego przyjemność i rozrywkę w swoich, oby jaknajweselszych polowaniach, ile że w całej ziemi pruskiej nie możnaby w obecnej chwili znaleźć wyborniejszego sokoła".

Weszło też coroczne rozsyłanie podarunkowych sokołów książętom państw niemieckich, Francyi, Anglii, Włoch, Węgier, w tak ścisły, nareszcie zwyczaj, że jeśli przypadkiem którego z podrzędnych panów niemieckich, jak np. znanych nam grafów cyllejskich, ominął kiedy upominek podobny, zgłaszały się zaraz w stolicy krzyżackiej żałosne od nich listy, wyrzucające Krzyżakom zaniedbanie zwykłej przesyłki. „A przecież — użala się graf cyllejski — nie tylko ojciec grafa, ale i wszyscy jego przodkowie, odkąd zakon w Styryi i Karyntyi ma posiadłości, otrzymywali odeń co roku sokoły w darze, przeto też byli zawsze wiernymi obrońcami zakonu". — Gdzie sokoły lub inne grzeczności nie starczyły, tam potrzeba było ubezpieczyć się złotem. Płynęło go najwięcej do stolicy papieskiej. „Bo u nas w Rzymie — pisze do W. mistrza przesiadujący stale u dworu papieskiego prokurator krzyżacki — kto ma, a daje, ten jeszcze więcej miewa i bierze... Zaczem powinien zakon pomyśleć wcześnie o przejednaniu sobie czterech kardynałów i innych tajnych przyjaciół, których nie można utrzymać bez częstych i wielkich dowodów czci. Zbliżając się najbardziej do kruszcu menniczego, składały się te „dowody" pospolicie z naczyń złotych i srebrnych, lub z innych podobnych kosztowności. W nagłych zaś sprawach z królami niemieckimi musiano bez ogródki wyliczyć pewną okrągłą sumę.

Mnogość i kosztowność tych darów rozgłosiła po całym świecie sławę bogactw krzyżackich. Nęciło to jeszcze potężniej wszystkie myśli, wszystkie kroki ówczesnego pokolenia, ówczesnej pożądliwości ku Prusom. Wespół z onym grafem cyllejskim, naprzykrzającym się zakonowi o sokoły, naprzykrzały mu się

roje książąt, panów i rycerstwa najrozmaitszem nagabywaniem o pożyczenie pieniędzy, o wzięcie od nich w zastaw włości szerokich, kupienie sobie od nich księztw całych. Dalszy ciąg naszej powieści okaże, jak uporczywie wielu znanych nam książąt dręczyło podobnem natręctwem panów pruskich, zaciągając, jak książę mazowiecki, Ziemowit, ustawiczne u nich pożyczki, albo jak projektowany gubernator Polski, Władysław Opolczyk, coraz nowe zastawiając im ziemie, albo wreszcie, jak sam teraźniejszy „pan Polski", margrabia Zygmunt, do kupna Nowej Marchii chcąc ich zniewolić. Bywali też Krzyżacy w niemałych nieraz kłopotach z przyczyny podobnego natręctwa, ale szczęśliwe te kłopoty, które tyloraką już liczbę sideł zakonu, pomnażały jeszcze dodatkiem pęt wierzycielskiej przewagi nad zadłużonymi książęty, czyniły całą prawie rzeszę sąsiednich książąt niemieckich zawisłą w ten sposób od zakonu. Jakoż sami Krzyżacy dawali radzi zachętę do tych kłopotów, popisując się często okazywaniem nagromadzonych w swoich zamkach dostatków. Czy to przed Kazimierzem W., czy przed jakimkolwiek innym gościem, stawiano z ochotą na widok znajdujące się w spichrzach krzyżackich bogate zapasy zboża, w oborach krzyżackich obfite trzody wszelkiego bydła, w krzyżackim wreszcie skarbcu dostatek złota. Owszem, w prostaczem uniesieniu pychy, nie mógł czasem mistrz W. przytłumić hardego wykrzyku, że ma całą „wieżę złota", która dopomoże zakonowi zawojować nie jedno, lecz dziesięć takich królestw, jak Polska.

Bogdaj więc tą stroną buty pieniężnej wysterczał róg pychy krzyżackiej, której ówczesna surowość umysłowa nie dopuściła wykorzenić zupełnie kłamanemu duchowi pokory klasztornej. Brakowałoby też w skreślonym tu obrazie braci krzyżackiej jednego dość jaskrawego rysu, gdybyśmy przepomnieli rys znamionującego całą ówczesną ludzkość, a zwłaszcza

Krzyżaków, prostactwa obyczajowego. Przy dość znacznem wyrafinowaniu wygód zmysłowych, razi osobliwie umysłowa nieokrzesaność. Krzyżacy jednakże nietylko w umysłowem, lecz oraz i w całem zmysłowem, całem zewnętrznem życiu okazują się iście klasztornie rubasznymi prostakami. Mimo praktykowanej przez dyplomacyę krzyżacką upominkowej względem pań koronnych sentymentalności, doznawała płeć biała w stolicy krzyżackiej, za przyzwoleniem onej bacznej policyi zakonnej, tak sromotnej zniewagi, jaka prawie nigdzie indziej nie hańbiła podówczas w uprawniony sposób niewiasty. Mimo niepospolite wykształcenie rozsądku i przebiegłości światowej, uciekali się W. mistrzowie niekiedy do porady wróżbitów. W chwilach wypoczynku sprawiał im najmilszą rozrywkę, drogo nieraz opłacany, widok uczonych pląsów niedźwiedzi, uciesznych skoków jeleni, albo popisów tłuszczy kuglarskiej, rozweselającej „panów pruskich" udawaniem głosu słowiczego, wywracanemi w powietrzu koziołkami i tym podobną rozkoszą tłumu.

Rubaszne figle niezliczonych wówczas w każdym kraju, u każdego dworu, w każdem mieście trefnisiów tak wdzięczną zyskiwały nagrodę, że oprócz nadwornych błaznów krzyżackich, cisnęły się jeszcze czeredy zagranicznych błaznów na dwór dostojników krzyżackich, przed oczy rozmiłowanego w ich karczemnym dowcipie mistrza W. Wychodzącemu ze stajni zakonnej W. mistrzowi krzyżackiemu zarzucali parobcy stajenni w żarcie sidła na nogi, aby wykupił się z niewoli. Na Wielkanoc zaś niemało bawiło tych „wielkich kniaziów niemieckich", jak mistrzów pruskich zwyczajnie nazywano na Rusi, gdy dziewki od krów w świątecznym stroju, z palmowemi rózgami w ręku, napadały ich po zwyczaju nad rankiem, jeszcze w łożu celi klasztornej, grożąc im chłostą, jeśli się nie uwolnią datkiem, zwanym *szmakostern*. To też co roku gra ten wydatek niepoślednią rolę w księdze rachunków

krzyżackich, wpisany tam, wraz z codziennym prawie podarkiem kilkunastu groszy dla tańcujących przed W. mistrzami dziewek wiejskich.

Taka prostaczość, taka poziomość umysłowa, nadymały Krzyżaków, mimo wszelkiej przybieranej czasem pokory, jaskrawem zarozumieniem o swojej potędze i zasłudze. Niekiedy przywdziewało to zarozumienie wyraz wspomnionej przed chwilą buty pieniężnej; najczęściej przecież widzimy je w postaci onego pokornie dumnego rachunku z Bogiem, jakim w Biblii Faryzeusz zamożny wylicza niebu swoje dobre uczynki. I owo, w zakończeniu charakterystyki niniejszej, usłyszymy jeszcze takąż głośną spowiedź pychy krzyżackiej, przechowaną dotąd w liście jednego z umierających mistrzów niemieckich. „Szanowaliśmy zawsze prawo i sprawiedliwość — pisze W. mistrz Konrad w imieniu zakonu swego — czciliśmy słuszność i równość, spokój i prawdę, i według wszelkich sił naszych wykonywaliśmy je gorliwie w państwach naszych... Wszystkie nasze miasta i gminy żyją według przepisów dobrej policyi; prałaci, szlachta i lud prosty mają spokój i sprawiedliwość; my nie gnębimy nikogo, nie nakładamy zbytnich ciężarów, nie pożądamy cudzej własności; owszem przy łasce Bożej wszyscy, nawet poganie i cudzoziemcy, pożywają owoce panującej u nas słuszności, równości, sprawiedliwości..." Tak prawi mistrz niemiecki. Atoli przeciw prawdzie tych słów możemy przytoczyć równie spółczesne, a nierównie świętsze świadectwo, pochodzące z ust jednej z najświętobliwszych osób XIV stulecia, św. Brygity. Owszem, jeśli ów głos mistrza W. przybrał wistocie kształt skierowanej ku niebu spowiedzi faryzejskiej, tedy w słowach św. Brygity, autorki sławnej księgi widzeń proroczych, znającej naocznie wszystkie sprawy krzyżackie, samoż niebo odpowiada Krzyżakom. W jednem z najsłynniejszych widzeń tej świętej objawia się jej syn Boży i takiemi o zakonie teutońskim

przemawia do niej słowy: „Zaiste pszczołami użyteczności mieli być owi Krzyżacy, których postawiłem na straży u granic ziem chrześcijańskich. Ale oto powstali przeciwko mnie. Bo nie dbają o dusze, nie litują się ciał tego ludu pruskiego, który z błędu nawrócił się ku wierze katolickiej i ku mnie. Gnębią go pracą niewolniczą, pozbawiają go swobód, nie uczą go przykazań wiary, odejmują mu sakramenta i wtrącają go w piekło, ku większej jeszcze kaźni, niż gdyby pozostał w pogaństwie. A jeśli wojnę toczą, tedy czynią to jedynie ku powiększeniu swej pychy i szerszemu rozpostarciu swojej chciwości. Dlatego przyjdzie czas, kiedy będą wyłamane im zęby i będzie ucięta im ręka prawa i prawa noga im ochromieje, aby żyli i uznali występki swoje".

I dziwnię prędko spełniło się groźne zakonowi proroctwo. Już we cztery lata po onej faryzejskiej spowiedzi W. mistrza spadła na Krzyżaków przepowiedziana widzeniem kara. Tak potężne i rządne w owej spowiedzi państwo zakonu rozchwiało się na zawsze od jednego ciosu dwóch wzgardzonych i ciężko dotąd od Krzyżactwa nękanych ludów. Bo jak w owym pysznym rachunku z Bogiem, tak i w całej potędze zakonu nie było rzetelności i prawdy. Nie było jej też w całym systemie rządów krzyżackich, ani w codziennych postępkach W. mistrzów. Nawet fałszerstwa niższego rzędu z wybiegami pospolitego kłamstwa zdarzają się dość często w codziennem życiu Krzyżaków. Znamy świadectwa i urzędowe pisma zakonu, podrabiane przez W. mistrzów w razie potrzeby. Najprzychylniejsi zakonowi pisarze widzą się czasem zmuszeni do wyznania, iż te a owe wyrazy W. mistrzów nie dadzą się pogodzić z rzeczywistością. „Jest to właściwie nieprawda — wymawia natenczas uczony ziomek swoich teutońskich rozkrzewicielów oświaty — którą mistrz W., że tak powiemy, chciał się wyratować z kłopotu". Najjaskrawszą atoli nieprawdą była wygłoszona w onej spowiedzi szczęśliwość i pomyśl-

ność powszechna, w jakiej pod rządami zakonu żyli wszyscy poddani. Już w cztery lata później przekonał się o tem ze zdumieniem świat cały, patrząc, jak za pierwszem hasłem do uwolnienia się od przemocy krzyżackiej, wszystek ogół mieszkańców opuścił tłumnie Krzyżaków, przeszedł z radością na stronę nieprzyjaciół. „Wówczas wszystka szlachta, i gmin, i mieszczanie — biada najświatlejszy z kronikarzów zakonnych — powstali na panów swoich, sprzeniewierzyli się im podobnież biskupi, prałaci, zakonnicy, zakonnice i ludzie wszelkiege stanu, którzy wszyscy przeszli na stronę króla polskiego i wzięli go sobie za pana. I stała się tak wielka zdrada w państwie zakonnem i tak nagła zmiana serc w całych Prusiech, jakiej nie było jeszcze przykładu w żadnym kraju..."

Nim jednak ta długo przewidywana kara spadła na karki Krzyżaków, dziwnie im do czasu Bóg błogosławił. Nim fałsz owej samochwalczej spowiedzi runął pod gromem sądu Bożego, niezwyczajna w rzeczy pomyślność towarzyszyła wszystkim krokom krzyżackim. W czasie oderwania się Szlązka od Polski ustalili Krzyżacy swoje panowanie w polskiej ziemi Pomorza, a podwójnie tak uszczuplone królestwo Łokietkowe, zdobywszy wszelkiej przewagi nad przemocniejszem teraz państwem krzyżackiem, zamieniło się nagle ze zwierzchnika i podpory zakonu w ofiarę prześladowań krzyżackich, w podobny, jak Litwa, cel pożądliwości zakonu. Widzieliśmy, jak niebezpiecznie oręż zagłady wisiał za dni Kazimierza nad Polską. Dla należytego zrozumienia stanu ówczesnej Polski, dla słusznego ocenienia dalszych wypadków powieści naszej, niech nam nie gasną nigdy w pamięci słowa onych naocznych świadków epoki Kazimierzowskiej, odsłaniające straszną przepaść pod stopami Polski ówczesnej. Wszelka gospodarność i mądrość wielkiego króla Kazimierza tyle tylko pomogła, acz pomogła tem nieskończenie, że Polska ocalała od tej przepaści. Rządy i czasy Ludwika nie przysporzyły

bynajmniej sił i krzepkości koronie polskiej. Jeszczeć wprawdzie zewnętrzny związek z potężniejszem państwem węgierskiem chronił ją nieco wtedy i ubezpieczał, lecz obecnie po śmierci króla Ludwika i ta jedyna usunęła się tarcza. Słabsze jeszcze, niż za dni Kazimierza, bo długim bezrządem rozchwiane, wewnętrznemi stronnictwami rozdarte, żadnem zewnętrznem przymierzem nie pokrzepione, weszło teraz królestwo Piastów na srodze niebezpieczną ścieżkę zawodu. Pod sterem niedojrzałego, cudzoziemczego przewodnika, jakiego los przeznaczał Polsce teraz w osobie margrabi Zygmunta Luksemburczyka, można było zaiste lękać się o jej przyszłość.

Owoż przewodnik ten zaledwie powitany w Polsce, nie miał w niej nic pilniejszego do przedsięwzięcia, jak pokłonić się zakonowi przyjacielskiem poselstwem, zapraszającem W. mistrza na zjazd i naradę poufną. Od dni kilkunastu siedział na stolicy krzyżackiej nowy mistrz W. Właśnie w tych dniach, gdy młody margrabia Zygmunt bawił niedawno w wielkopolskiej stolicy, wstąpił po śmierci panującego sławnie od lat trzydziestu Winryka de Kniprode na urząd Wielkich mistrzów zakonu Konrad Czolner de Rotenstein. Nowy tedy porządek rzeczy nastawał teraz Polsce i zakonowi. Nad czem jednak obaj nowi ich rządcy mieli naradzać się z sobą, nie wiemy bliżej. Najprawdopodobniej chodziło margrabiemu o zaciągnięcie u Krzyżaków pożyczki, za którą mógłby z pobliskiego pogranicza niemieckiego, z własnego w pobliżu margrabstwa brandenburskiego, sprowadzić jaką taką siłę orężną, potrzebną nieodbicie do uzyskania należytej powagi w Polsce. Bądź co bądź, niebłogą wróżbą świeciły narodowi te rychłe przyjaźne zmowy Luksemburczyka z przemocnymi wrogami kraju. Dla Krzyżaków zaś miały one tem fortunniejsze znaczenie, ile że w tym samym czasie, gdy poselstwo Zygmuntowe kołatało do bram krzy-

żackich, zapraszano tam nowego mistrza W. na inny, nierównie korzystniejszy Krzyżakom zjazd. Te dalsze zaprosiny powziął zakon od trzeciego nowego książęcia w kraju sąsiednim, od władcy pobliskiej Litwy, W. X. Jagiełły, także niedawno osiadłego na tronie, a jeszcze srożej, niż Polska, zagrożonego od zakonu, przygniecionego jarzmem krzyżackiem.

Nowy mistrz, Konrad, nie mógł podołać osobiście zaprosinom dwuznacznym. Zależało mu w tej chwili głównie na zaprosinach polskich. Co do widzenia się bowiem z Jagiełłą, był W. mistrz niewątpliwie pomyślnego sukcesu pewien. Postanowił więc udać się osobiście na stanowisko mniej pewne, na zjazd z Zygmuntem. Do Litwy zostali wyprawieni zastępcy, W. komtur zakonu, Rodger Elner, najwyższy marszałek zakonu, Konrad Wallenrod, mistrz inflancki, Wilhelm z Frymersheim, tudzież niektórzy inni dostojnicy zakonni. Jakoż wistocie, mimo nieobecności W. mistrza, okazały się układy litewskie nierównie pomyślniejszemi, niż polskie. Podczas gdy zjazd z Zygmuntem przeminął bez najmniejszego śladu następstw widomych, rokowania z W. X. Jagiełłą ucieszyły Krzyżaków aktem ostatecznego uklęknięcia Litwy przed krzyżem i potęgą zakonu. To zaś odsłania nam nową stronę przemożnej działalności Krzyżaków, stronę litewską, wymagającą bliższej uwagi.

W dotychczasowym obrazie zakonu mieliśmy przedewszystkiem na względzie wykazanie środków, jakiemi rozporządzali Krzyżacy. Potrzebne teraz rozpatrzenie się w praktycznem używaniu tych środków, nie objawiającem się nigdzie tak jaskrawo i zgubnie, jak w losach narodu litewskiego, kieruje uwagę naszą ku temu nowemu widnokręgowi Litwy, który zresztą z tylu innych jeszcze powodów nie obcy jest

dziejom naszym. Toć z tej litewskiej strony trapiła Polskę ustawiczna plaga napadów i łupieży, a toż pogaństwo litewskie, któremu od północy zakon niemiecki coraz głębiej wdzierał się we wnętrza, wisiało samo ku zachodowi chmurą ciągłego niebezpieczeństwa, ciągłego postrachu nad zagrożoną ze wszech stron Polską. Otóż, mając na oku ten podwójny stosunek Litwy do Polski, stosunek poniewolnego s p ó ł c z u c i a z powodu spólności jednego i tegoż samego wroga pruskiego—i stosunek krwawej n i e p r z y j a ź n i z powodu ciągłych pogańsko-niszczycielskich napadów Litwy na Polskę—spojrzyjmy także na jednoczesne rozwijanie się dziejów tegoż sąsiedniego narodu. Ułatwimy sobie tem zrozumienie dalszych wypadków, mianowicie jak szczęśliwie Opatrzność umiała w tej dwoistości stosunku znaleźć środek do organicznego związku i skojarzenia obudwóch zgodno-sprzecznych żywiołów Polski i Litwy.

VII. GEDYMINOWICE.

O g ó l n e u w a g i. — Władza książęca. — Wojenność. — Wpływ krzyżacki. — Gedymin i jego synowie. — O b r a z W. Ks. O l g i e r d a. — Wykształcenie. — Stosunki z zagranicą.—Dwór.—Rodzina.—Pogańskość.—Wyższość nad Kiejstutem.—Sława u Rusi.—O b r a z K i e j s t u t a. — Dwór. — Miękkość serca. — Rycerskość. — Awanturniczość. — Ludzkość. — Sława u Krzyżaków. — Myśliwski charakter wojen—Obrazowy sposób mówienia. — Pieśni. — P o z ó r p o t ę p i e n i a a z n a m i o n a u p a d k u.—Rozerwanie rodziny książęcej.—Demoralizacya kapłaństwa.—Pogłoski o chrzcie książąt. — Postępy Krzyżaków. — Odwetowe wyprawy do Krymu, Moskwy i Polski.—Obraz napadu na Łysą górę.—Krzyżacy w Wilnie. — Koniec Olgierda. — J a g i e ł ł o W. Książęciem.—Jego zmowy przeciwko Kiejstutowi.—Obję-

cie tronu przez Kiejstuta.—Ostatnie zabłyśnięcie pogaństwa pod Kiejstutem. — Odzyskanie Wilna przez Jagiełłę z Krzyżakami.—Kiejstut na Żmudzi.—Upadek Kiejstuta.—Przytłumienie narodowości pogańskiej. — Ucieczka Witolda do Krzyżaków. — Zajęcie zamków czerwono-ruskich.—Zjazd Jagiełły z Krzyżakami. — Zupełne ulegnięcie zakonowi. — Potęga teutonizmu.

W obecnym poglądzie na sprawy litewskie przed zjazdem Jagiełły z dostojnikami zakonu nie prowadzimy czytelnika jeszcze we wnętrza lasów litewskich. Ztąd obce nam teraz obrazy ziemi litewskiej, stosunków społecznych, zwyczajów ludu. Spojrzymy na nie, gdy nam z całą Polską pod znakiem krzyża iść wypadnie w te strony wschodu. Obecnie przedstawimy tylko zewnętrzne stosunki i czynności narodu.

Te zawierają się na Litwie w obrazie stosunków i czynności rodziny panującej. Nigdy bowiem nie objawia się tak jaskrawo sprzeczność między ludem a dworem panującym, jak w Litwie teraźniejszej. Życie dworu i rodu książęcego—to wszelki publiczny żywot Litwy. W rodzie książęcym skupia się wszelka wola narodu; samemu narodowi, nie mającemu żadnego doradczego udziału w sprawach krajowych, pozostawione tylko ślepe wykonywanie tej woli. W rodzie książęcym koncentruje się wszelka samowładza i potęga narodu, naród przestaje chętnie na bezwładnem służebnictwie i posłuszeństwie, a jeśli rozgniewany książę kazał komuś powiesić się, posłuszny Litwin spełniał z oryentalną rezygnacyą rozkaz książęcy. W rodzie książęcym spromienia się wszelki polor narodu, zdumiewający nieraz wykwintem ogłady swojej; naród tyle jedynie oświaty zna, ile jej zdołały wykształcić w nim starodawne tradycye i obrzędy religijne, ograniczające się na najpowszechniejszym obrębie życia sielskiego. W rodzie książęcym zgarnęło się wreszcie wszelkie bogactwo narodu, błyszczące kosztownością oryentalnego przepychu; naród leśnem żyje ubóstwem.

Ta patryarchalna prostota stosunków utrzymy-

wała Litwę w stanie długiej bezimienności w historyi. Dopiero nacisk wrogów zewnętrznych pobudził naród, pobudził przedewszystkiem książęcą rodzinę Litwy do głośniejszego życia. Pierwsze pojawienie się Krzyżaków u granic kraju wywołało pierwszą znamienitą postać dziejów litewskich króla Mendoga. Późniejsze podwojenie się i ukonstytuowanie potęgi zakonu przez zabór Pomorza i osiedlenie się W. mistrza w pruskim Malborgu, znalazło odgłos w wystąpieniu drugiego bohatera Litwy, Gedymina. Jakoż dopiero ten pogański teść Kazimierza W. uorganizował właściwie nowszą, historyczną Litwę. On to opanowaniem południowego Kijowa wskazał bolesnemu przygnębieniu narodu od krzyżackiej północy drogę równie srogiego odwetu ku południowi, w stronę Krymu i Moskwy. On to założeniem Trok, Wilna, pierwszy znamienitszemi mianami zapełnił leśną głąb Litwy. On wreszcie pozostawieniem licznej rodziny, kierowanej wyobrażeniami czci dla starszeństwa, dał początek owemu systematowi sukcesyjności dynastycznej, który dłużej wieku podtrzymywał i zawichrzał zarazem Litwę.

Atoli te wszystkie zasługi wewnętrznej organizacyi zdają się wagi podrzędnej. Wewnątrz pozostała znana Litwa moralnie i fizycznie nader wątłym tworem społecznym. Wszelkie siły jej żywotności wytężały się na zewnątrz. Główną zaś tych zewnętrznych stosunków formą była wojna. Krzepki odpór wrogowi we własnym progu, natarczywy napad wojenny w cudze granice, stanowią walną treść bohaterskiego zawodu władców litewskich. Będąc zrazu wynikiem pierwiastkowej nieokrzesaności narodu, stał się ten wojenny tryb życia później niezbędną koniecznością. Czyż z jednej strony dzielny odpór, stawiany obcym najeźdzcom kraju, jak np. Krzyżakom, z drugiej strony własne najazdy na ziemie okoliczne, otoczyły Litwę w końcu krwawą dokoła nieprzyjaźnią narodów. Od morza północnego wżerał się w Litwę

zakon niemiecki; od zachodu posuwała Polska, zwłaszcza po zajęciu Rusi Czerwonej i Wołynia, coraz dalej ku wschodowi szańce wojenne. Od południa groziła Orda, rozpościerająca postrach swojego panowania nad całem opustoszałem z tej przyczyny Podolem; od wschodu Moskwa.

Zaczem przystało Litwie mieć zawsze w trzy strony łuk napięty, a wiadomo, iż dogodniej uprzedzać wojnę, niż oczekiwać. Ztąd w czasie wzmożenia się Litwy za Gedymina i po nim przybrały dzieje litewskie nadzwyczajnie wojenny, nawet heroiczny charakter. Przyczyniło się do tego osobliwie jednoczesne po Gedyminie nastąpienie w dwóch dzielnicach litewskich dwóch walecznych Gedyminowiców, Olgierda i Kiejstuta. Pod ich bohaterskiem przewodnictwem, dzięki szczęśliwemu współdziałaniu wzmiankowanych powyżej okoliczności, mianowicie sprężystego samowładztwa książąt litewskich, tudzież wytężania sił narodowych na zewnątrz, wreszcie rozwiniętego wojnami rycerskiego w narodzie ducha, podniosła się Litwa do pewnego stopnia zbrojnej potęgi. Zaczął się ten bohaterski okres od Gedymina, a trwał przez lat kilkadziesiąt, aż do owych jednocześnie z Polski i z Litwy wzywających W. mistrza na dwa poufne zjazdy zaprosin. Było przecież w ówczesnym rozblasku Litwy daleko więcej lśniącego złudzenia sławy, niż ożywczego ciepła, w ówczesnym kwiecie dziejów litewskich daleko więcej woni niż ziarnia. Na wszelki wypadek piękne Litwa przedstawiała podówczas widowisko i godzi się poznać je bliżej. Ucieszymy się przy tem najprzód świetną stroną obrazu.

Po śmierci Gedymina w epoce zajęcia Rusi Czerwonej przez Kazimierza W., osiadł z woli ojcowskiej na tronie wielkoksiążęcym najmłodszy z synów Gedyminowych, przeszło 30-letni Jawnut, czyli Jawnuć. Dopomogły mu do tego już to względy umierającego ojca dla matki, owdowiałej Rusinki Ewy, już to częste u pierwiastkowych narodów obdarzanie

najmłodszego syna pierwszeństwem przed starszymi. Wszelako pomiędzy wszystkimi siedmiu Gedyminowicami miał W. Ks. Jawnut, gnuśny (jak go kroniki mienią) „prostak," najmniej ojcowskiego w sobie ducha. Trzej inni, jako to ustępujący wkrótce z widowni dziejów Mondwid, książę słonimski, zmarły po dobnież niebawem Narymund, książę na Pińsku, i Koryat na Nowogródku, podrzędną grają rolę. Głośniej od nich zasłynął piąty syn, Lubart, książę na Włodzimierzu wołyńskim. Ale właściwymi spadkobiercami sławy i dzielności ojcowskiej byli średni synowie, Olgierd, książę na Krewie, i Kiejstut, książę na Trokach, urodzeni z jednej matki, ruskiej księżniczki Olgi. W stronach bliższych wschodowi, zwłaszcza w czasach pogańskiego wielożeństwa u Litwy, pochodzenie od jednej i tejże samej matki wielką miewało wagę. Podczas gdy synowie różnych matek, bądź to z powodu nierównej ich dostojności, bądź wcześniejszego, a przeto godniejszego, lub późniejszego, a tem samem mniej zaszczytnego ich ślubu, często za obcych poczytywali się wzajem, dopiero jednej i tej samej matki synowie za właściwych mieli się braci. Takaż zupełna jedność krwi związała Olgierda z Kiejstutem węzłem najściślejszej miłości bratniej.

Wzmocniło go jeszcze podobnież szlachetne usposobienie obudwóch braci. Zarówno gorąco w narodowości swojej rozmiłowani, nie mogli oni znieść widoku niedołęztwa Jawnuta, tak nieodpowiedniego następstwu po wielkomyślnym ojcu, tak nieudolnego przeciw grożącym zewsząd niebezpieczeństwom. Rychła śmierć macierzy Jawnutowej, dotychczasowej mistrzyni syna, pogorszyła tem więcej sprawę W. księcia. Nie czekając tedy osobistego przyłożenia się starszego Brata Olgierda, napadł rączy Kiejstut znienacka wielkoksiążęcą stolicę Wilno, pojmał zbiegłego w lasy Jawutę, i wierny uszanowaniu dla starszeństwa Olgierdowego, skłonił tegoż brata do objęcia wielkoksiążęcej władzy. „Tyś starszy brat. Tobie godzi

się być W. książęciem w Wilnie — rzekł Kiejstut do Olgierda—a ja po wieki w jedności z tobą i w zgodzie." Formalny traktat wzajemnej pomocy, z przyznaniem zwierzchnictwa Olgierdowi, ze stosownym pomiędzy książąt podziałem ziem litewskich i przypuszczeniem obudwóch do równej połowy, zdobyć się później mających krain, utrwalił urzędownie stosunek panujących odtąd braci książęcych. Strącony Jawnut i piński książę Narymunt uciekli z kraju. Obok Olgierda i Kiejstuta zostali tylko dwaj starsi bracia Jawnut, Lubart na Włodzimierzu wołyńskim i Koryat w Nowogródku. Stało się to w 5 do 6 lat po zamianowaniu Ludwika następcą Kazimierza W. i zajęciu Lwowa przez tegoż.

Z nowym W. książęciem stanęła u steru Litwy daleko głębsza świadomość ówczesnej cywilizacyi europejskiej i chęć naśladowania takowej, niżby się tego ogólny stan kraju spodziewać kazał. Toć główną przyczyną gwałtownogo usunięcia Jawnuty wymienia kronika właśnie jego „prostactwo." Teraźniejszemu zaś następcy Jawnutowemu przyznają głosy ówczesne niezwykły rozum, czyli, według ich własnego wyrażenia się, nierównie więcej „umienia niż siły." Toż samo da się powiedzieć o młodszym bracie Kiejstucie, mistrzu wszelkich fortelów. Nadto łączyła się mądrość obudwóch z dziwnym polorem obyczajów, odróżniającym ich nieskończenie od reszty ludu i rodu.

Zdarzały się też młodym książętom litewskim liczne sposobności do nabycia światła i ogłady. Przysparzał ich niemało sam poblizki zakon niemiecki. Wojna z nadpływającą mu ciągle pomocą zbrojną, złożoną z doboru szlachectwa europejskiego, była ustawiczną szkołą rycerstwa. Rozmaite koleje wojny, podając raz Litwinów w niewolę chrześcijan, drugi raz rycerzy chrześcijańskich w niewolę Litwy, pozwalały uprowadzonym przez Krzyżaków Litwinom przypatry-

wać się trybowi i obyczajom ukształconego podówczas świata, albo niewoliły bawiących w Litwie jeńców rycerskich do służenia Litwinom za nauczycieli w sztuce i wyobrażeniach rycerskich. Jakoż sam panujący dziś W. książę miał sposobność wyuczyć się w ten sposób rycerskości zachodniej. Był mu nauczycielem ku temu młody rycerz niemiecki, który w jednej z wypraw krzyżowych do Litwy w ręce nieprzyjaciół popadłszy, żył przez lat dziewięć w niewoli na dworze Gedymina jako ochmistrz młodych W. książąt litewskich. Niekiedy uciekali sami rycerze zakonni z konwentów pruskich na dwór litewski, gdzie ich czekało gościnne zwykle przyjęcie z obowiązkiem tłómacza lub pisarza. Zresztą zachodziły oddawna różnorakie między Litwą a zachodem stosunki. Pominąwszy związki pokrewieństwa z książętami mazowieckimi przez dwie córki Gedymina, Maryę i Daniłłę, poślubione Bolesławowi mazowiecko - halickiemu i Wańkowi płockiemu, pominąwszy pokrewieństwo z dworem krakowskim przez trzecią córkę, Aldonę, poślubioną Kazimierzowi W., miewali W. książęta litewscy częste jeszcze styczności ze stolicą apostolską w Awinionie, z dworem cesarskim w Niemczech, nawet z Anglią.

Do Awinionu wysyłano z Litwy pisma ze skargami na Krzyżaków, do Anglii traktaty handlowe, do Niemiec nadreńskich posiłki zbrojne. W dalszym ciągu panowania zagaił W. Ks. Olgierd przyjazne układy z cesarzem Karolem IV-m, i sam książę Kiejstut zwiedził, jako naczelnik wyprawionego do cesarza poselstwa wiele krajów niemieckich. Powracające z Kiejstutem, jako też z onemi posiłkowemi rotami litewskiemi wiadomości o zagranicznych ludach i obyczajach, odnawiały w kraju dawny zasiew podobnych wieści, przybyłych niegdyś i przybywających ciągle z misyami chrześcijańskiemi. Wpływowi misyi franciszkańskich towarzyszył wpływ gęstego przechodu kupców zagranicznych przez Litwę. Ciągnąc od Bał-

tyku i Wrocławia ku Nowogrodowi wielkiemu i Kijowowi, pozostawiali goście kupieccy w Litwie nietylko ślady cywilizacyi chrześcijańskiej, lecz oraz opłatą wysokich ceł bogacili skarbiec książęcy. Jeszcze większych bogactw dostarczały zbrojne wycieczki do Krymu, tej do niedawna głównej przystani zamożnego handlu kolonialnego Greków i Włochów. Zalany temi czasy dziczą turecką i tatarską, przyozdabiał teraz Cherson najeżdżającą Tatarów krymskich Litwę kosztownemi łupami, mianowicie dostatkiem złotych obrazów, naczyń i klejnotów cerkiewnych. Skarby kruszcowe nadawały coraz więcej blasku i wytworności mieszkaniom książąt litewskich, napływające zewsząd promienie cywilizacyjne rozświecały umysł szlachetny, a gdy zajrzymy w przybytki i postępki naszych książęcych braci, Gedyminowiczów Olgierda i Kiejstuta, zdaje się, że jesteśmy w świecie najmoralniejszego chrześcijańsko-rycerskiego poloru.

Mieszkają obadwaj w pobliżu siebie, Wielki książę Olgierd w założonem niedawno przez ojca Wilnie, książę Kiejstut o cztery mile, w Trokach. Przy boku pięćdziesięcioletniego Olgierda w Wilnie widzimy w pierwszych latach wielkoksiążęcych rządów chrześcijańską małżonkę Maryę, księżniczkę ruską z Witebska. Przy nich kilkoro dzieci, z pomiędzy których synowie Włodzimierz książę kijowski, Iwan książę podolski, Szymon Langwenioj książę mścisławski, dojrzeli już w dwudziestu-kilkuletnich mołojców. Trzej inni synowie, Wingolt, Korygieł i Borys, w młodszym są wieku. Nad wszystkimi tak synami, jak i córkami czuwa pilnie wzrok macierzyński. Podczas, gdy W. książę co wiosny na wyprawę zbrojną wyrusza, wielka księżna oryentalnym zwyczajem nie wychyla się z za murów zamku w Wilnie, chyba w drogę do drugiego zamku w Miednikach, zwykłej siedziby letniej, leżącej niedaleko Wilna ku wschodowi słońca. Zresztą i wewnątrz zamku mało widzialna, krząta się ona ciągle około dzieci. „Są przy nich — mówi opo-

wiadający to wszystko naoczny świadek niemiecki — nauczyciele i nauczycielki do różnych ćwiczeń. Jest nadto przy dworze W. księżnej pewne zgromadzenie panien, dopomagających jej w robotach i nabożeństwie. Owoce ich pracy, ozdobne wyszywania i tkanie, rzadkiej bywają doskonałości. Osobliwie trzy azyatki ochrzcone celują misternością w tej sztuce. Gdyśmy weszli do cerkwi nadwornej podczas wielkiego nabożeństwa, cały dwór niewieści znajdował się na wielkim krużganku, osłonionym siatką zieloną, przez którą widać było tylko cienie postaci żeńskich".

Sam W. książę nie modli się w cerkwi chrześcijańskiej, lecz według zwyczaju pogańskiego, niesie ofiary słońcu na wzgórzach leśnych, podobnych temu, na którem przed dwudziestu i kilku laty w miejscu dzisiejszego Wilna gorzał Swiętoroga ogień wieczysty. Gwoli życzeniom matki, dopuszcza książę, aby synowie oswajali się z obrzędami religii macierzyńskiej, lecz gdy jednego razu kapelan W. księżnej, mnich Nestor, chciał pomiędzy rycerską drużyną W. księcia zjednywać zwolenników, poszło trzech nowochrzceńców naprzód w kajdany i do ciemnicy, a potem dla tem groźniejszego powstrzymania naśladownictwa, pod sąd kapłanów pogańskich. Ci, po daremnej próbie zmuszenia swoich ofiar mękami do zaparcia się nowej wiary, wszystkich trzech na dębie powiesili. Ten rys niejakiej surowości pogańskiej odróżnia Olgierda od Kiejstuta. Lubo obaj równie gorąco czczą narodowość, starszy brat nierównie ściślej przestrzega obyczaju narodowego. Stosownie też do swojej roli wielkoksiążęcej, przechodzi on Kiejstuta powagą, surowością, nawet rozumem. Sama powierzchowność Olgierda groźniej działa na oko. Słuszniejszy od książęcia trockiego, średniej tuszy, ściągłej, o zapiekłych rumieńcach twarzy, ma W. książę jasne krzaczyste brwi, nos duży, wysokie, a z przodu nieco obnażone czoło i nosi jasnowłosą, już siwiejącą brodę.

Atoli najsurowszego humoru chwilę rozjaśnia niebieskie, promienne oko, świadczące o łagodności tego plemienia litewskiego, którego pobratymców Prusaków dawniejsi Niemcy nazwali „najłagodniejszymi z ludzi", a którego charakterowi późniejsi Niemcy tylko tyle złego zarzucić mogli, iż jest dziecinnie „trzpiotowatym". Zresztą, mówi W. książę głośno, wyraźnie i brzmieniem uchu przyjemnem. Siedzi na koniu dzielnie, ale gdy chodzi, chromie na prawą nogę. Dlatego opiera się zwykle na lasce, albo na giermku. Język nasz — opowiada to ciągle naoczny świadek niemiecki — dobrze rozumie, i może się nim wyrażać, ale w rozmowach z naszymi miewa zawsze tłómacza z sobą. Widzieliśmy trzech takich tłómaczów; jeden z nich Niemiec, nie wiadomo zkąd rodem. Powiadał, że z Witebska, lecz zapewne będzie to któryś z naszych zbiegów elblągskich, jakeśmy to poznali z poszlak niektórych". Z tąż niemiecczyzną przyswoił sobie Olgierd także wiele rycersko-zamorskich obyczajów, a wyprawiając się do Moskwy, grozi tamecznemu W. księciu Dymitrowi, że jak to na zachodzie rycerskim było zwyczajem i jak w myśl tego obadwaj Bolesławowie polscy czynili przy wjazdach do Kijowa, „wyszczerbi swoję kopię o bramę Moskwy". Atoli dorównany, a nawet przewyższony w tej rycerskości zamorskiej od młodszego brata Kiejstuta, nie jej to złudnym blaskiem górował nasz Olgierd nad Kiejstutem.

Cechą jego rzeczywistej wyższości okazuje się dziwna bezstronność wzroku, nie dozwalająca wśród ustawicznych zapasów z północno-zachodnimi „Niemcami" zaniedbywać interesu Litwy w stronie przeciwnej, gdzie się właśnie otwierało dla niej pole daleko przemożniejszego działania, t. j. ku wschodwi i południowi. Podczas gdy Kiejstut bądź to z osobistego zamiłowania, bądź wskutek porozumienia z bratem obiera kraje krzyżackie i Polskę za główną widownię swoich działań, starszy brat Olgierd przewodzi zaró-

wno w stronie zachodniej, w tylokrotnych napadach na kraj zakonu i Polskę, jako też w zbrojnych pochodach w granice wschodnie, ku Smoleńskowi i Wielkiemu Nowogrodowi, ku Moskwie i Czarnomorzu krymskiemu. Ztąd małomówność kronik krzyżackich o Olgierdzie, a nierównie głośniejsza chwała jego w ziemiach wschodnich, w kronikach ruskich. Świadczyło to podobnież o znakomitszej wszechstronności oka i ramienia Olgierda, uwzględniającego z równą bacznością wszelkie kierunki historycznej działalności narodu. Nie próżno też jeden z kronikarzy ruskich wysławia *umenie* Olgierda nad samą jego potęgę, a przyzwyczajony do gminnej gadatliwości małoduszuych książątek wschodnich, chwali tenże kronikarz mądrą Olgierda małomówność, zachowującą we wszystkich swych planach wojennych jak najściślejszą tajemniczość.

Drugi zaś, jeszcze prostoduszniejszy kronikarz, nawykły widzieć w podobnych książątkach wschodnich po największej części gnuśnych, jak ów Jawnut, „prostaków", niekiedy nawet opilców, a przeto już samą wstrzemięźliwość Olgierda w trunkach nader wysoce sobie ceniący, prawi o nim z podziwem: „Ze wszystkich braci Olgierd najwyżej wzniósł się potęgą i mądrością, ile, że ani miodu nie pijał, ani wina, ani piwa, ani kwasu kisłego, niczego wcale nie pijał, i wielkomyślnością swoją nabył rzadkiej wstrzemięźliwości, i krzepkiej nabył tem duszy, i wielkiej przemyślności dostąpił takową władzą nad sobą, i mnogie strony i ziemie zawojował, i mnogie grody i księztwa w swoją moc zajął, i wielkie odzierżył państwo, zkąd szeroko rozpostarł książęcą potęgę swoją, jak tego żaden z braci jego nie zdołał; i tak głośno zasłynął w świecie, jak ani ojciec, ani dziad jego nie słynęli". Nie bez przyczyny więc ustąpił mu Kiejstut wielkoksiążęcej stolicy Wilna, a sam w skromniejszych siadł Trokach.

Wynagradzała go tam miłość Biruty. Oto kilka

dopiero lat, jak książę Kiejstut uwiózł ją z ziemi żmudzkiej, z nad brzegów morza, z wyniosłego uroczyska, zwanego dziś górą Biruty, gdzie piękna córka Widymunda, jako poślubiona bogom dziewica, pełniła służbę wajdelotki przy świątyni bogini Praurmi. Zmuszona do złamania ślubów dziewiczych, została Biruta księżną na Trokach, matką sześciu synów i kilku córek. Z tych prawie wszystkie małemi teraz jeszcze są dziećmi, a najsławniejszy z synów, Witold, w chwili objęcia W. księztwa przez wielkomyślnego stryja Olgierda, jednorocznem dopiero niemowlęciem u piersi matki. Później sława tego dziecięcia zgasiła do szczętu imiona braci, a z sióstr najpamiętniejszą widzimy teraz Danutę, poślubioną następnie mazowieckiemu książęciu Januszowi. Błogosławieństwo tak nieszczupłego potomstwa osiągnął Kiejstut występkiem przeciwko surowym obrzędom wiary, do której sam gorące czuł przywiązanie. Bo miękka dusza księcia trockiego, obca wszelkim wymaganiom surowym, nie czciła takiego rygoru nawet w przykazaniach wiary ojczystej, w ślubach Biruty. W nikim nie okazała się łagodna, płocha, nawet „trzpiotowata", jak ją Niemcy łajali, młodzieńczość litewskiej plemienności tak wydatnie i wdzięcznie, jak w Kiejstucie. Jak wogóle tylko dojrzalsze przekonania sztywnieją w męzką surowość i energię, w mniemanej zaś grozie pierwiastkowego stanu społeczeństwa, mimo wszelkie pozory, przemaga rzeczywiście charakter miękkiego, niestałego dziecięctwa, tak też i ten ostatni obrońca pogaństwa w Europie, ten drobnej budowy ciała, jasnowłosy, niebieskooki Litwin, miękkiem w gruncie był dzieckiem, gołębie w rzeczy miał serce.

Czyniło ono go naprzód dziwnie tkliwym na wszelkie wrażenia uczuciowe, czy to w obliczu postrzeżonych po raz pierwszy wdzięków Biruty, czy na widok jeńca krzyżackiego na ofiarnym stosie litewskim, czy w razie przekonania się o bezskuteczności walki z przemocą losów. Temuż samemu dzie-

cięctwu umysłowemu zawdzięczał Kiejstut nadzwyczajną nałomność, naśladowniczość, uzdolniającą go do najdokładniejszego przyswajania sobie od otaczającej cywilizacyi, już to pojęć i wyobrażeń moralnych, już to samych zwyczajów i przyborów zewnętrznych. Cośmy wyżej nadmienili o przejęciu się Gedyminowiców obyczajami zachodu, to poszczególnie dotycze księcia Kiejstuta. Wszelkie przepisy zachodnio-europejskiej moralności rycerskiej były mu świętem prawem. Staranność o nieposzlakowane imię rycerskie, wierność danemu słowu, wspaniałomyślność względem zwyciężonych, śmiałkowatość posunięta do awanturniczości i nierozwagi—zalety rycerskie w samej Europie już zapomniane—w ostatnim z książąt pogańskich nowy znalazły odblask. Ta strona charakteru zamieniła owo dziecko wrażliwe w rycerskiego junaka. Wszystkie zaś rysy społem tworzą nader zajmujący obraz żywota, pełnego przygód i szlachetności, sławy i klęsk. Przypominając je sobie z kolei, widzimy Kiejstuta najpierwej uszczęśliwionym miłością i posięściem Biruty. Następnie, po dopomożeniu bratu do stolicy wielkoksiążęcej, rozpoczyna się dla niego zawód nieprzerwanych harców z Niemcami i Polakami. Bez względu na obowiązki zarządcy rozległych ziem, obejmujących, oprócz stołecznych Trok, miasta i powiaty Brześć, Grodno, Kowno, Welonę, Onkaim z innemi pomniejszemi, uszczęśliwiają Kiejstuta obecnie tylko wojenne tryumfy i przygody. Rzućmy okiem na przeróżne koleje tego rycerskiego zawodu.

Zaraz w jednym z bojów wcześniejsnych, w wojnie z Polakami o Wołyń, wpada książę w niewolę. Szczęśliwie wyśliznąwszy się, nie przestaje on przeto podawać się w niebezpieczeństwa, a wkrótce potem, przy niespodzianem natarciu podjazdu krzyżackiego na drużynę książęcą w Litwie, szamoce się z nim osobiście krzyżacki rycerz Hanke. Zrzuconego z siodła księcia bierze sam dowódca podjazdu Henryk z Kranigfeldu w nową niewolę. Sprawiła ona wielką ra-

dość Krzyżakom. Dziękowano za nią uroczystem po wszystkich kościołach nabożeństwem. Nie mogły wyzwolić go z niej dwukrotne poselstwa i ofiary W. Ks. Olgierda. Wyzwoliła go po ośmiu miesiącach szczęsna przygoda. Dali mu Krzyżacy do posługi nawróconego Litwina, należącego teraz do służby W. mistrza i wszelkiem zaufaniem Niemców zaszczyconego. Zbliżono właśnie Alfa, czyli Adolfa (tak się nazywał Litwin wychrzcony) tylko w tym celu do Kiejstuta, aby, jako ziomek książęcia, tem łatwiej wyłudził z niego niektóre potrzebne Krzyżakom wiadomości o stanie Litwy. Atoli przydłuższe obcowanie z Kiejstutem w niezrozumiałym dla straży krzyżackiej języku litewskim, przy pomocy hojnych obietnic Kiejstutowych, przeistoczyło szpiega Krzyżaków w powiernika Kiejstutowego, w pomocnika umówionej ucieczki.

Odkryli obaj w jednej ze ścian więzienia framugę zasklepioną. Przyniesionem przez Alfa narzędziem wykruszył Kiejstut po kilku dobach starannie ukrywanej pracy dość znaczny otwór. Pierwszej nocy po dokonanym wyłomie spuścił się książę po przygotowanej linie na dziedziniec zamkowy, gdzie z potrzebnym do ucieczki strojem krzyżackim i parą wyprowadzonych z masztarni W. mistrza rumaków czekał już Alf w pogotowiu. Przyodziani w białe płaszcze o czarnych krzyżach, na krzyżackich siedząc rumakach, zostali obaj, jako z pilnem poleceniem W. mistrza wyjeżdżający bracia zakonni, przepuszczeni od straży u bramy zamku. Pośpieszających traktem ku spokrewnionemu z Litwą Mazowszu pozdrawiali kilkakrotnie spotykani w drodze Krzyżacy. Z pogranicznego miasteczka Libstat odesłał Kiejstut W. mistrzowi pożyczone u niego konie z żartobliwem podziękowaniem, a sam z Alfem ruszył manowcami do mazowieckiego księcia Janusza, męża swojej córki Danuty.

Z Mazowsza szczęśliwie do Litwy powróciwszy, rzucił się książę w nowe co prędzej boje i inne nie-

bezpieczeństwa. Toż jeszcze tegoż samego roku stało się zadość rycerskiemu junactwu. Tym razem zaskoczyła go przygoda w najechanej przezeń ziemi krzyżackiej, w utarczce pod Ekersbergiem, z ręki krzyżackiego rycerza, Wernera Windekheim. Znowu ciężki rycerz niemiecki gwałtownem uderzeniem głowii wysadza lekkiego Kiejstuta z siodła. Obalony książę zrywa się i, pochwyciwszy tarczę i kopię, przebija konia Wernerowego. Wtem drugi Niemiec, Dojban, z innej naciera strony. Zaledwie i tego zrzucił koń własny, uderza pieszy Windekheim nowym zamachem dzidy. Co widząc, woła Kiejstut: „Spuść dzidę!" A rycerz: „Dlaczegoż nie mam mścić się na poganinie!" Na co książę: „Przestań! Jam Kiejstut. Wstąp w moją służbę, a zbogacę cię." Rycerz wciąż nacierał, odzywając się: „Panowie moi dadzą mi w jednej godzinie więcej, niż ty przez całe życie." Zaczem dostał się książę po raz trzeci w niewolę. Uwolnił go z niej i tym razem jakiś szczęśliwy przypadek. — Tak hazardowne koleje wojny skłaniają nawet wielbicieli „rozsądku" Kiejstutowego do poniewolnej uwagi, że niektóre jego wyprawy „noszą cechę raczej awanturniczego przedsięwzięcia, niż zamiaru pewnego." Zasługę z a m i a r u miała zastępować ceremonia ścisłego przestrzegania obyczajów rycerskich, wymagających, aby każda zbrojna w kraj nieprzyjacielski wycieczka była zawsze zapowiedziana uprzednio nieprzyjaciołom.

Nie chwalił Kiejstutowi tej zasługi tajemniczy w swych planach Olgierd, lecz chwalą mu ją nadzwyczajnie wdzięcznemi słowy wszystkie kroniki krzyżackie, pisząc o walecznym książęciu: „Kiejstut miłował nad wszystko wojnę i prawdę. Ile razy chciał się wyprawić zbrojno w kraj pruski, zawsze oznajmił to wprzódy marszałkowi zakonu; a ile razy oznajmił, zawsze niechybnie przybył." W dalszem zachowaniu tak kawalerskich zwyczajów zdarzało się, że niekiedy całe bitwy, całe oblężenia miast wiel-

kich przybierały postać ochotniczych popisów zręczności i odwagi, wielkich pojedynków rycerskich. I tak np. śród oblężenia głównej warowni litewskiej, Kowna, przez ogromną armię krzyżacką, zjawia się Kiejstut z wojskiem pogańskiem na wzgórzach nad warownią i żąda osobistego rozmówienia się z dowódcą potęgi nieprzyjacielskiej, samym W. mistrzem Winrykiem. W. mistrz zezwala na to i sprowadza z sobą na miejsce rozmowy trzech wojowników litewskich, mających przekonać Kiejstuta o niepodobieństwie utrzymania się grodu.

Wtedy po pierwszych powitaniach rzecze Kiejstut z przekąsem do mistrza niemieckiego: „Dobywasz grodu bez wodza! Gdybym ja był w Kownie, nigdy nie wziąłbyś twierdzy!" „Dlaczegoż ustąpiłeś z grodu, gdyś nas obaczył nadciągających?"—zapytał Niemiec. „Ponieważ kraj mój pozostałby bez głowy"—odeprze Kiejstut. Na co mistrz: „Jeśli chcesz, to weź z soba tyle ludzi, ile ci potrzeba, i wnijdź do zamku. Mamy bowiem w Bogu nadzieję, iż nie zdołasz obronić Kowna." Natenczas Kiejstut: „Jakże wprowadzę wojsko do zamku, gdy pole dokoła otoczone rowami i zasiekami." A W. mistrz czy to chęcią rycerskiego zapasu rozogniony, czy chcąc samego Kiejstuta wciągnąć w niechybny upadek grodu, oświadczył z coraz wspanialszą gotowością: „Przyrzecz mi, że wnijdziesz bronić grodu, a każę zasypać rowy i rozebrać zasieki." Czem ośmielony Kiejstut obrócił się do przybyłych z W. mistrzem Litwinów, aby powziąć kilka słów dokładniejszej wiadomości o stanie obrony zamku. Ci upewnili go o dobrym duchu załogi i o nadziei utrzymania się. Lecz W. mistrz, rozgniewany słowami Kowieńczyków, zaprzeczających jego przepowiedni blizkiego wzięcia grodu, zerwał rozmowę, żegnając zimno Kiejstuta: „Jeśli k r ó l — tak Gedyminowiczów nazywali zwykle Krzyżacy—nie masz ze mną nic więcej do mówienia, tedy ustąp do swojej straży."

Ominioną tu sposobność zmierzenia się z rycerstwem krzyżackiem powetował Kiejstut innemi wnet przygodami. Nastąpiła wkrótce inna, weselsza dla Kiejstuta rozmowa z braćmi zakonu. Marszałek zakonny groźnego nazwiska Schindekopf, z polska Łupigłowa, ułożył zjazd z Kiejstutem w mieście Ragnicie. Wraz z marszałkiem czekał go tam komtur miasta Insterburg. Chciał Kiejstut przybyć na zjazd z jakąś wieścią o wystrojonym Krzyżactwu figlu. Szybkim tedy pochodem stanął w pobliżu grodu Insterburskiego i blizki już nawet zdobycia samego zamku, zabrał całą stadninę zamkową z pięćdziesięciu jeńcami krzyżackimi, poczem dalej w drogę do Ragnity pośpieszył. Przy zjeździe wystąpili wszyscy Litwini na krzyżackich rumakach. Pod Kiejstutem poznał komtur swego własnego wierzchowca. „Nigdy nie spodziewałem się — rzekł Krzyżak z żalem — widzieć króla na tak dzielnym rumaku." A Kiejstut z uśmiechem: „Takie to teraz czasy!" Mimo których to psot Kiejstuta szanowało go rycerstwo krzyżackie, wielbiąc w nim wierne dochowywanie umów zawartych, dbałość o nieposzlakowaną sławę rycerską. I Kiejstut nawzajem posuwał swoje zamiłowanie rycerskości do tego stopnia, że „kogokolwiek pomiędzy Krzyżakami poznał człekiem rycerskim i śmiałym, kochał go nadzwyczajnie."

Doznawali Krzyżacy niejednokrotnie, a osobliwie w niedoli, błogich skutków tej szlachetności. Oto np. zdobyli Litwini niespodzianym w nocy napadem krzyżacki zamek Johannisburg. Przy świetle pochodni każe Kiejstut całą pojmaną załogę w ciasny spędzić dziedziniec. Litwa jęła domagać się, aby wszystkich Niemców w pień wyciąć. Wtedy dowódca zamku, komtur, Otto, sędziwy starzec o drewnianej nodze, wystąpił przed Kiejstuta, prosząc o śmierć dla siebie, łaskę dla jeńców. Łatwo wzruszony Kiejstut podał mu rękę, mówiąc: „Tobie i czterem towarzyszom,

których sam z pomiędzy jeńców wybierzesz, wolne w każdej chwili wyjście z Johannisburgu. Reszta jeńców pozostanie przy życiu." — Innego razu jeden z najkrwawszych wrogów Litwy, komtur Surbach, popadł w niewolę. Ucieszone pogaństwo postanowiło zemścić się śmiertelnie na niszczycielu ziem swoich. Kapłani litewscy domagali się spalenia go na ofiarę. Kiejstut oparł się stanowczo ludowi i kapłanom. Surbach został przy życiu.

Starcy litewscy wróżyli sobie niepomyślnie o tej przychylnej Niemcom rycerskości księcia swojego, lecz Krzyżactwo było mu zato wdzięcznem w dwójnasób. Jeżeli też czasem własny syn Kiejstuta dostał się w ręce Krzyżakom, krzyżaccy komturowie, wywzajemniając doznaną wprzódy łaskę książęcia, odsyłali mu syna bez żądania okupu. Bywały wreszcie chwile, w których wojowani przydłuższym oblężniczym bojem Litwini, podczas krótkiego między jednym a drugim szturmem rozejmu biesiadowali u siebie na zamku z zaproszonymi dostojnikami zakonu i zagranicznymi gośćmi Krzyżaków. Za co rycerstwo krzyżackie przyrzekało swym gospodarzom uchronić od spustoszenia tę albo ową upodobaną dzielnicę miasta oblężonego. Gdy zaś po zawarciu kilkumiesięcznego spokoju rozstawali się Litwini z Krzyżakami, żegnał ich Kiejstut onem wdzięcznie słuchanem ostrzeżeniem: „Przyszłej zimy oczekujcie mię znowu w Prusiech." Na co marszałek zakonu odpowiadał: „Będziesz nam miłym gościem i znajdziesz krwawego guza w przyjęcie." Znalazł go sam marszałek, poległy w przyszłorocznym napadzie Litwy. A Kiejstut wraz z Olgierdem długo jeszcze nękali Krzyżaków.

Tak europejsko-rycerskiemi rysami świeci wojenne życie naszych Gedyminowiczów. Nie ograniczał się przecież na tem cały jego charakter. Aby go zrozumieć w zupełności, należy wziąć na oko niektóre inne względy, mianowicie naiwną pierwiastkowość na-

rodu, lesistość ziemi. Podobne okoliczności ubarwiły ów zbrojny żywot Litwy wielą pustynnemi znamiony, przypominającemi podobnież życie wojenne krajowców indyjskich w lasach północnej Ameryki, otoczonych od najeźdźców europejskich, albo klanowe obyczaje gór szkockich. Zgodnie z naturą kraju swojego, są wszyscy książęta litewscy namiętnymi łowcami. Niedawne ich stolice, Wilno i Troki, to pierwotnie koczowiska myśliwskie, od w i l k a sennych marzeń Gedyminowych, od t r o k myśliwskich nazwane. Toż i Olgierd i Kiejstut wyprawy wojenne przeplatali długiemi i tłumnemi wyprawami łowczemi. Czasem wojna i łowy mieszały się pospołu. Nieraz ciągnąc z myśliwskim dworem po lasach, postrzegali książęta nadbiegającego ku sobie tura. Był to znak, że wojska krzyżackie wkroczyły w pograniczne puszcze litewskie. „Zbrojni wyruszyli w pole!" — wołał natenczas Kiejstut, a tabor myśliwski zamieniał się w obóz wojenny, i zamiast na zwierza, polowano na „białe płaszcze."

Nie trudno też pojąć, że lesisty plac walki zmuszał do myśliwskiego trybu walczenia, do myśliwskich fortelów. Nie mogąc w lesie uderzać przemocą licznych wojsk, szeroko rozpostartych zastępów, starano się wynagradzać to niespodzianością napadu szczupłej garstki, podstępem zwabienia nieprzyjaciół w zasadzkę. W takim razie sztuka wojenna polegała na zręczności ukrycia śladów pochodu, zatajenia poszlak obozowania. Niezręcznie bowiem spłoszony zwierz, słup dymu z niebacznie w obozie rozniecone-go ogniska, ostrzegały nieprzyjaciela i niweczyły wyprawę. Z tej przyczyny tłumne roty krzyżackie, nawykłe do szerokiego pochodu, po którym przestronny gościniec wieloletnim w puszczy zostawał śladem, wolały otwartą plądrować ziemię, zkąd wszelka ludność uchodziła w bory przed nimi. Przeciwnie Litwini posunęli swoją biegłość w tym leśnym rodzaju wojny aż do wyuczenia się fortelu obozowania przy

ogniskach, nie wydających żadnego dymu, t. j. ogniskach z kory dębowej. Wojując zaś trybem narodów leśnych, wyrażano się także obrazowym językiem łowców. „Po krasnej wiośnie, po cichem lecie wyprawię się do twojej ziemi" — przekazuje Olgierdowi jeden z sąsiednich książąt. A Olgierd dobył na to krzesiwa, skrzesał ognia i dał zapaloną hubkę posłowi, mówiąc: „Jest u nas ogień w Litwie! A jeśli pan twój przyjdzie w ziemię moją po krasnej wiośnie, po cichem lecie, tedy ja, nie czekając jesieni, odwidzę go na Wielkanoc, i pocałuję go jajkiem święconem poprzez tarczę sulicą."

Gdy tak leśno-dyplomatycznym sposobem zapowiedziana wyprawa odbywała się równie leśno rycerskim trybem, sławiły ją przy biesiadzie książęcej, w świątecznem zebraniu ludu, po zwyczaju bardów celtyckich, śpiewy wejdalotów litewskich. Brzmiały one na cześć każdego z dawnych wodzów narodu, każdego wielkiego czynu, jak np. opłakiwanego teraz właśnie za czasów Olgierdowych zburzenia Kowna, o którem jeszcze w niedawnych latach lud litewski starożytne powtarzał pieśni. Nawet na dwory zagraniczne, do stołu uczt krzyżackich, cisnęła się rzesza piewców litewskich, wstępując śmiało w zawody z niemieckimi rymownikami. „Nie rozumieliśmy ubogiego Prusaka!" — odpowiadali wtedy biesiadnicy niemieccy bardowi litewskiemu, porównywającemu w pieśni swojej W. mistrza zakonu do świętego praojca Litwinów, Wejdawuta, i obrazową z pochlebcy szydząc nagrodą, darzyli go za niezrozumiałą i próżną znaczenia dla Niemców pieśń misą próżnych orzechów.

A jak pieśń litewska, tak i oręż litewski zaciekał się szeroko w obce granice, od morza Baltyckiego po morze Czarne. Jest to także jedną z charakterystycznych cech obecnego młodzieńczo-rycerskiego życia Gedyminowiczów. Po każdej stanowczej roz-

prawie w jednej stronie widzimy ich w przeciwną uderzających stronę. Zwłaszcza złowrogie niepomyślności w boju z jednym nieprzyjacielem wetują książęta litewscy natychmiast najechaniem drugiego. Poniesioną od nadbałtyckich Krzyżaków klęskę wynagradza zwykle napad na Krym tatarski, niedostateczną wyprawę do bram Moskwy wetuje złupienie Polski. Działo się to poniekąd skutkiem samej gwałtowności szturmów ościennych, wstrząsających Litwą to w tę, to w ową stronę, lecz świadczyło to oraz o krzepkości rządu książąt litewskich, gotowej do wszechstronnego odporu. Ogólnym zaś wynikiem wszelkich przytoczonych tu znamion ówczesnej Litwy — t. j. sprężystego samowładztwa jej książąt, ich głównie na zewnątrz skierowanej działalności, osobistego rozumu i bohaterstwa naszych Gedyminowiczów, wreszcie naiwnej młodzieńczości narodu, słodzącej sobie życie poetyczną fantazyą — okryła się Litwa w połowie panowania Olgierda i Kiejstuta blaskiem niepospolitej potęgi i chwały.

Tak zewnętrzna niepodległość narodu, jako też dusza narodu, narodowość, zdawały się tryumfować. Na zewnątrz każdy zamach sąsiedniego nieprzyjaciela bywał równie groźnym odpierany zamachem. Nie mając w czasie śmierci Gedymina żadnej prawie piędzi ziemi litewskiej w swoich ręku, nie postąpili Krzyżacy w przeciągu następnych 20 lat podbojami swojemi dalej w głąb Litwy, niż po Kowno. Podsuwającym się od zachodu ku Dniestrowi i Bugowi Polakom wydarto szczęśliwie Wołyń. Na wschodzie, ku Dnieprowi, wiodło się jeszcze pomyślniej. „Prowincye ruskie przechodziły jedna po drugiej pod panowanie W. X. Olgierda... Smoleńskie xięztwo, Brańsk i cała Siewierszczyzna już należała do Litwy. Rżew otrzymał xiążęcia z ramienia Olgierda, toż samo Twer i Możajsk. Andrzej Olgierdowicz, xiążę połocki... karcił Pskowian. Nowogród W. w upokorzeniu szanował przyjaźń z Litwą. Biała, stolica udzielnego

xięstwa, należała do Litwy. Mścisław i Rżew ulegały jej władzy."

Posięściem opustoszałego Podola założyli książęta litewscy w tej południowej stronie obóz nieustannych walk z Tatarami, najeżdżanymi po dwakroć w samejże głębi Krymu. Jednocześnie wtedy Litwini po jednej stronie z Kiejstutem nad Baltykiem, po drugiej z Olgierdem u wybrzeży Eugzynu, w dwóch przeciwnych morzach pławili konie. A pozostała w domu rodzina strzegła troskliwie Żniczowego ognia narodowości. Duchowne przeciwko niej wyprawy greckiego i łacińskiego kapłaństwa rozbijały się długo o niechęć ludu. Gorliwi misyonarze łacińscy, Franciszkanie, przypłacili swoje apostolstwo męczeńską śmiercią. Siedem ofiar franciszkańskich w Wilnie, siedem w Turzych górach, trzy w Lidzie, miały krwią swoją użyznić bujność pogaństwa. Jakoż kwitnęło ono wistocie, gdyż wyliczając umęczonych Franciszkanów, nie mamy do wyliczenia żadnych nowochrzceńców franciszkańskich. Szczęśliwsze nieco usiłowania duchowieństwa greckiego, napływającego z dworem ruskich małżonek Gedyminowiczów, ochranianego opieką księżen, miały wprawdzie mniej srogie dla apostołów, lecz tem krwawsze dla nowochrzceńców następstwa. Światło pogańskiego Żnicza jaśniało równie szeroko, jak świetność oręża litewskiego.

W oboim jednakże blasku było więcej złudy, niż prawdy. Obok pozornych cech potęgi i czerstwości rażą znamiona upadku. Wszelka chwała oręża okazuje się niedostateczną okrasą moralnego rozstroju. Objawia się on najjaskrawiej w samem rozerwaniu rodziny Gedyminowiczów. Podczas gdy dwaj synowie Olgi, Olgierd i Kiejstut, bronili narodowości, nieskończenie liczniejsza część potomków Gedymina, wiedziona oną małoletnią „trzpiotowatością" plemienia, nie dającą zjędrnieć duchowi pogaństwa litew-

skiego, zapierała się z nadzwyczajną łatwością swojej narodowości, zamieniając ją obojętnie za jakikolwiek strój cudzoziemczy. I oto ów strącony z wielkoksiążęcego tronu najmłodszy Gedyminowicz, Jawnuta, uciekłszy do Moskwy, przybiera tam wiarę grecką. Tąż samą drogą porzuca Litewszczyznę drugi Gedyminowicz, Narymund, książę piński. Odstępstwo synów Gedyminowych powtarza się nawet pomiędzy synami Olgierdowymi. Niestałość przyrodzona, pospołu z tajnemi poduszczeniami Krzyżaków, podburza Korygiełłę i Buttawa przeciwko ojcu. Już raz za sprawą matki, pierwszej małżonki Olgierdowej, ruskiej księżniczki Maryi, ochrzceni pod imionami Konstantyna i Borysa w ruski obrządek, zbiegają oni po nowy, rzymski chrzest do Krzyżaków, którzy im z wielką uroczystością, wobec mnogich gości książęcych i biskupów krajowych łacińską przywdziewają sukienkę.

Ale i to nie mogło jeszcze uspokoić ich pierzchliwości. Mając zrazu ochotę wstąpić do zakonu niemieckiego, opuszczają obaj wnet Prusy. Jeden z litewska Buttaw, z grecka Borys, z niemiecka jeszcze inaczej zwany, udaje się do Niemiec na dwór cesarza Karola. Drugi, Korygiełło-Konstantyn, powraca do Litwy i odzyskuje łaskę ojca Olgierda. Zato odrywa się znowuż od rodziny Olgierdowicz, Andrzej-Wingolt, książę na Połocku i Pskowie, zkąd z powodu waśni pomiędzy braćmi wydalił się do Moskwy, w służbę W. księcia Dymitra. Inni potomkowie Gedymina, jak np. Teodor Koryatowicz, książę Munkaczu, tułają się za górami w ziemi węgierskiej; inni, jak rodzony brat jego Aleksander, goszczą radzi w Krakowie. W dalszem poszukiwaniu śladów tej rodzinnej rozsypki, ograniczając się na n i e k t ó r e tylko wypadki, znachodzimy nawet takich litewskich książąt imiona, których bliższe oznaczenie pozostanie zawsze zagadką. Wszelka wiadomość o podo-

bnych rozbitkach musi przestać na wzmiance, że gdzieś tam w Niemczech pomiędzy wymienionymi na dyplomatach cesarskich świadkami podpisał się jakiś litewski książę Henryk, ówdzie zaś w Moskwie jakiś Gedyminowicz, Ostej, broni stolicy od Tatarów, i wyprawiony wreszcie do obozu hana Taktamysza, ginie pod zdrajczemi ciosami barbarzyńców.

Za których to książąt przykładem rozchodził się i lud pospolity w strony przeróżne, nawet w ziemie krzyżackie, gdzie pojedyńczych osadników litewskich przyjmowano bardzo gościnnie, jako przeniewierców sprawie ojczystej. Co wszystko będąc skutkiem wewnętrznego rozchwiania, bywało oraz przyczyną coraz powszechniejszej chwiejności kraju. Doznawali jej wpływu nawet najżarliwsi obrońcy domowej wiary, kapłani pogaństwa litewskiego. Słyszeliśmy już o kapłanie litewskim, który przy uczcie w Malborgu uraczył uszy krzyżackie ową niezrozumiałą pieśnią litewską ku czci praojca Wejdawuta, zakończoną panegirycznem przyrównaniem W. mistrza do tegoż Wejdawuty i do gwiazdy biblijnej, prowadzącej trzech króli do Betlejemu. Mało co później inny kapłan pogański służył owemu do Wejdawuty przyrównanemu mistrzowi niemieckiemu za przewodnika po Litwie i prowadząc wojska krzyżackie od osady do osady, od kryjówki do kryjówki, podał tysiące ziomków pod miecz, albo w niewolę zakonu. Jeśli najgorliwsi obrońcy pogaństwa tak sromotnie sprzeniewierzali się swojej wierze, czemże ona obojętnemu była tłumowi?

W końcu zaczęły o samych Gedyminowicach, Olgierdzie i Kiejstucie, krążyć pogłoski, że zwątpili w wierze ojczystej i chcą chrzest przyjąć. Mówiono tak w kraju krzyżackim o starszym bracie, w Polsce o młodszym. Papież Klemens VI pisał już do zatwardziałego poganina, Kiejstuta, pochlebne w tej mierze listy. Spodziewał się tego podobnież sam cesarz Karol IV i nietylko apostolskiem poselstwem

zaprosił książąt na jaknajgłośniejszy chrzest do Wrocławia, lecz pełen radosnej niecierpliwości, sam już nawet stanął w tym celu z całym dworem w Wrocławiu (r. 1358). Gedyminowice mieli oświadczyć poselstwu, iż daliby się ochrzcić, gdyby Krzyżacy zwrócili Litwie niektóre, zdawna zagarnięte, krainy. Ale ponieważ Krzyżacy uczynić tego nie chcieli, przeto odrzekł im Olgierd: „Teraz jasno widzę, że wam nie o wiarę moją, jak powiadacie, lecz o pieniądze chodzi i dlatego pozostanę wierny pogaństwu". Poselstwo cesarskie wróciło „wyśmiane" do Niemiec. Cesarz Karol IV, naczekawszy się na Gedyminowiców, z bólem serca opuścił Wrocław.

Atoli śmiech książąt Litwy nie był zupełnie szczerym. Acz nie nad Odrą, groził im niechybny Wrocław gdzieindziej. Upewniała o tem niewątpliwie dalsza, coraz smutniejsza kolej wypadków. Chociaż bowiem Krzyżacy w chęci najdłuższego przeciągania wojny litewskiej, potrzebnej im, jako głównej podstawy bytu, przyzwalali bez trudności na osiągnięty teraz przez Litwę stopień potęgi pozornej, owszem sami nadzieją spólnego z Litwą przymierza przeciw Polsce mnożyli ją bez trwogi, zanosiło się przecież na coraz cięższe przygnębienie Litwy przez zakon. Zmuszała Krzyżaków do tego nie bojaźń złudnej potęgi litewskiej, lecz obawa blizkiego, szeroko już po świecie rozgłaszanego przyjęcia chrztu przez Litwę, po którym zakon tracił wszelką nadzieję, wszelkie prawo dalszych zaborów w Litwie. Stosownie więc do danego Olgierdowi przed chwilą oświadczenia, iż za brane pogańskiej Litwie ziemie nie będą po chrzcie zwrócone, należało jedną ręką powściągać różnemi fortelami litewską łatwość i skłonność do przyjęcia chrześciaństwa, drugą zaś jeszcze przed chrztem dalsze szerzyć zabory. Ztąd podczas, gdy pierwsza kilkunastoletnia połowa panowania Gedyminowiczów, aż do owego spodziewanego zjazdu we Wrocławiu, świeci blichtrem potęgi, dalsze lata, lata starzejących już

braci książęcych, srożą się coraz przemocniej temi burzami i klęskami, które w końcu przez one litewskie zaprosiny W. mistrza na zjazd poufny zniewalają Litwę przypaść jednocześnie z Polską do kolan Niemców krzyżackich.

I tak zaraz we trzy lata po niedoszłych chrzcinach wrocławskich porażają Krzyżacy naszych braci książęcych wyłamaniem niezdobytej dotąd bramy do Litwy, zburzeniem Kowna. Pod naczelnictwem samego W. mistrza Winryka, przy pomocy niezliczonych gości krzyżowych ze wszystkich krajów niemieckich, z Włoch, Anglii, Danii, stanęła ogromna armia chrześcijańska pod Kownem. Po pięciotygodniowem oblężeniu, w czasie którego męztwo kilkutysięcznej załogi pogańskiej musiało być zwalczane wysiłkiem wszelkich środków oblężniczych, wzięto szturmem gruzy twierdzy kowieńskiej w samą Wielką sobotę. Kilka tysięcy schronionych w zamku pogan — z trzech, albo czterech tysięcy rycerstwa litewskiego, tylko trzydziestu sześciu wzięto żywcem w niewolę — spłonęło ku radości chrześcian wielkonocną ofiarą w ogniu walącego się grodu. W wielkanocną niedzielę towarzyszące oblężeniu duchowieństwo krzyżackie, pod przewodem biskupa, odprawiło na dymiących się jeszcze zgliszczach solenne nabożeństwo dziękczynne. Całe zwycięzkie wojsko chrześcijańskie przyjęło Sakrament Ciała i Krwi Pańskiej, a po leśnej, kwiecistej okolicy, kędy pszczoła w wonnych gajach lipowych zbiera najsłodszy w świecie miód, zabrzmiała z wiosennym wiatrem tryumfalna pieśń Niemców: „*Christ ist erstanden*... Chrystus zmartwychwstał! Cieszmy się bracia w Bogu, że przytarł poganom rogu! Kirye elejson!"

Kiejstut, niezdolny ze swą małą garstką stawić oporu ogromnemu wojsku nieprzyjacielskiemu, musiał z okolicznych gór przypatrywać się bezczynnie klęsce własnej. Nie podarzyło mu się nawet korzystać z ofiarowanego wtedy przez Krzyżaków wpuszczenia go do Kowna, któregoby bronić miał walką niejako pojedyn-

kową — walką nazbyt nierówną. Krzyżacy zaś kowieńskim wyłomem raz po razu w przyszłym roku najeżdżając głąb Litwy, oprowadzani po kraju przez onego zdrajczego kapłana litewskiego, plądrują i burzą najskrytsze zakątki i schronienia litewskie, a radzi uwikłać także Polskę w pęta podobnej niewoli, najeżdżają oraz sąsiednią ziemię mazowieckiego książęcia Ziemowita, któremu spaleniem Nowogrodn i szeroką łupieżą niezmierne czynią szkody.

W one to lata W. książę Olgierd, wzmiankowanym zwyczajem wetowania klęski północnej napadem na południe, porucza jaką taką obronę Litwy od Niemców młodszemu bratu Kiejstutowi, a sam na Tatary do Krymu rusza. Zbogaconego tam łupami staro-greckiemi, prowadzi niebawem nowa droga do Moskwy, po skruszenie kopii rycerskiej o jej bramę. W. książę moskiewski, Dymitr, wychodzi z cerkwi kremlińskiej, brzmiącej właśnie modłami za pomyślność broni moskiewskiej w walce z nadciągającą ku Trostnie Litwą, i widzi chorągwie litewskie na blizkiej już górze, nad Moskwą. Nie ustąpiły one pierwej z pod miasta, aż póki wielki książę Dymitr nie udał się osobiście do obozu litewskiego z prośbą o pokój i pokłonem pokory Olgierdowi. Od tego pokłonu góra, na której stały wojska litewskie, otrzymała nazwę Pokłonna.

Gdy po złożeniu darów, umówieniu warunków pokoju i przyjaznej biesiadzie, miał W. książę moskiewski pożegnać już zwycięzcę, rzecze mu miłośnik rycerskości zachodniej Olgierd: „Wielki kniaziu, Dymitrze Iwanowiczu! Lubo podałem ci rękę przyjazną, nie ustąpię przecież pierwej z pod Moskwy, aż póki nie dotrzymam słowa mojego i nie skruszę kopii o bramę Moskwy, ku pamięci wiekom potomnym, że wielki kniaź litewski, żmudzki i ruski, Olgierd Gedyminowicz, skruszył kopię o ścianę stolicy twocej". I kazał podać konia, i pojechali obaj wielcy książęta ku miastu. A zbliżywszy się do bra-

my, wziął Olgierd kopię z rąk giermka, wypuścił konia w pęd i strzaskał ją o mur miejski. Żegnając zaś W. księcia Dymitra, rzekł rycerski Gedyminowicz: „Pomnij, że kopia litewska skruszyła się o mury Moskwy".

Temi postronnemi wyprawami zasilał się wprawdzie skarbiec i rosła sława książęca, alić oto Krzyżacy, straszni Litwie, gdy chcą, nowym wkrótce uderzają w nią gromem. Padł on teraz na Gedyminowiczów w bitwie nad rzeką Rudawą, w siedm lat po wzięciu Kowna, na wiosnę r. 1370. Poniesiona tam strata kilku tysięcy litewskiego rycerstwa dotkliwie znów wycieńczyła siłę narodu. Krzyżactwu zaś szeroko po całej Europie rozlegający się odgłos tego zwycięztwa przysporzył sił w trójnasób. Zwabione tryumfalną wieścią rycerstwo europejskie, tem tłumniej spieszy zewsząd do Prus. Napróżno więc chwyta się Litwa znowuż środków odwetu w przeciwnych stronach. Napróżno okoliczności obecne torują podobnym innostronnym wyprawom liczniejsze teraz, niż kiedykolwiek drogi. Nie tylko bowiem spór twerskiego księcia Michała, szwagra Olgierdowego, z W. księciem moskiewskim, Dymitrem, wzywa Olgierda jeszcze tegoż samego roku do Moskwy, gdzie oręż litewski, oprócz sławy rycerskiej, niewielkie zebrał korzyści. Zdarzona w tym samym roku śmierć polskiego króla, Kazimierza, ściąga naprzód Kiejstuta i Lubarta, a potem Olgierda z Kiejstutem i Lubartem jednocześnie do Polski, na łup pośmiertny. Ta, przypadkiem zgonu Kazimierzowego wywołana wyprawa Litwy do Polski, wpłynęła niemało na późniejsze losy naszej powieści. Dlatego zależy nam na bliższem obeznaniu się ze sprawioną wtedy Polsce niedolą i wywołanem nią nowem zawichrzeniem, jakoteż nowem zawiązaniem stosunków między obudwoma sąsiedniemi ludami.

Pierwsza ze wspomnianych tu wycieczek Gedyminowiczów w granice lackie, w szczególności wyprawa Kiejstuta i Lubarta w ziemię wołyńską, przyniosła

Litwie w zysku dwa zamki w Włodzimierzu. Jeden był stary drewniany, drugi niedawno przez Kazimierza W. z niezmiernym kosztem, z niezwykłego w tych ruskich stronach materyału, z cegieł wzniesiony, lecz dopiero w połowie budowy swojej. Obadwa poddał Litwie r. 1370 opieszały starosta polski, Pietrasz. Litwini zburzyli do szczętu niemiły sobie zamek kamienny, zachowując tylko drewniany. Drugi napad, przez wszystkich trzech Gedyminowiców spólnie podjęty, rozlał dzicz litewską po niwach Małej Polski. Były one zwykłą ofiarą Litwy. Podczas gdy Mazowsze, dla spokrewnienia swych książąt z książęty litewskimi, miało zwyczajnie spokój od Niemna, gdy szlachta wielkopolska, dzięki odległości swojego kraju, nie troszczyła się o niebezpieczeństwa pogańskie, Małopolska, tylu innemi błogosławieństwy szczęśliwa, bolała ciągle na swoją plagę litewską. Zaledwie od czasu zaślubin Kazimierza W. z Gedyminówną Aldoną ucichły nieco te burze wschodnie, aż tu z jego śmiercią wszczęła się nanowo dawna niedola. Teraźniejszy jej nawrót srodze o przyszłości zawróżył. Skierowali wodzowie litewscy swój pochód na Lublin, przez Wisłę ku Sędomierzowi. Wszędzie po drodze płonęły dwory, sioła, zagrody; mieszkańcy, zwłaszcza możni, szli w jasyr. Za główny jednak cel wyprawy wzięto przesławny klasztor benedyktyński św. Krzyża, o mil kilka na zachód za Sędomierzem, na skalistym wierzchołku Łysej Góry.

Przed zasłynięciem obrazu na Jasnej Górze nie było sławniejszej na całą Polskę świątyni nad Świętokrzyski klasztor Benedyktynów pod Słupią. Nazwany tak od przechowywanej tu cząstki Krzyża Pańskiego, panował on z wielu względów nad całą krainą małopolską. Służąca mu za podstawę wyniosłość lesistego pogórza, słynnego od czasów św. Emeryka z łowisk wybornych, sterczała zdaleka, jako najwyższy punkt ziem nadwiślańskich. Na jej wieczystemi mgłami owianym szczycie zdumiewały wzrok ludzki olbrzymie

gruzy jakichś starożytnych murowisk, według podania, szczątki obalonych tu niegdyś ołtarzów bałwochwalstwa, według baśni późniejszych, miejsce ponocnego ucztowania duchów nieczystych. Ponad to wszystko świecił oczom chrześcijańskim, sławny od wieków przybytek chwały Bożej, pociągający wszystkich urokiem swojej drogocennej relikwi, a szanowny, prócz tego, swoją wspaniałością światową i uderzającemi wszędzie śladami bogactw ziemskich. Łupiezcy kościelnych skarbów chersońskich dążyli ze świadomością rzeczy ku Łyso-górze. Gdyż, jak na wschodzie, tak i w Polsce, kościoły i klasztory były właściwymi skarbcami kraju. Oprócz zwyczajnych bowiem bogactw kościelnych, oprócz kosztownych naczyń, złotogłowych ornatów, bogatych wotów, drogokruszcowych i klejnotami wysadzanych relikwiarzy, gromadziły się tam jeszcze różne inne dostatki. Toć kościelne i klasztorne skarbce służyły świeckim bogaczom za najwarowniejsze schowki zbiorów pieniężnych. Wraz z temi depozytami osiadali często w klasztorze i starzy ich właściciele, kupując sobie uprzednim testamentem dożywotne utrzymanie w konwencie i pośmiertny spoczynek na cmentarzu klasztornym, w habicie mniszym. Niepoślednią też wagę miały w rzędzie tych bogactw gospodarskie zapasy monasterów i osobisty majątek przełożonych. A w niektórych chwilach roku podwajały się, potrajały wymienione tutaj dostatki.

Działo się to mianowicie w porze głównych świątecznych dni i odpustów, przywabiających z najodleglejszych stron tłumy pobożnej ludności z ofiarami, oraz wędrownych kupców z rozmaitym towarem. Nieodzowna obecność tych ostatnich zamieniała zwykle wszelkie zgromadzenia świąteczne w jarmark. Położenie Łysej góry u traktu sędomierskiego, tej głównej drogi handlowej między miastami nadbałtyckiemi a Rusią Czerwoną i morzem Czarnem, ściągało w podobnej porze niezwyczajną ilość dalekich gości

kupieckich. Jarmarczny zaś charakter zgromadzenia dozwalał przystępu rojom właściwych owej epoce przemysłowych i próżniaczych włóczęgów. W tak różnorodnym i różnemi zamiarami wiedzionym tłumie przybyszów panowała na górze Świętokrzyskiej w czasie odpustów i jarmarków trudna do opisania, a tembardziej do poskromienia, zamieszka. Ciężko też na to użalali się opaci świętokrzyscy, narzekając osobliwie na odbywające się tu o Zielonych Świątkach jarmarki. Jeszcze w sto lat później biadali przełożeni zakonni w dokumentach publicznych na „niezmierny wówczas napływ ludności płci obojej i powszechną wtedy muzyczną wrawę trąb, dzwonków, fletni, piszczałek, jakoteż innych instrumentów gędziebnych". Dalej mówią te dokumenta opackie z lamentem o „powszechnej rozpuście pląsów i tym podobnych krotofil, o mnogich owszem pod tę porę kradzieżach, burdach krwawych i innych łotrostwach i nierządnościach". Czego wszystkiego nie mogąc zcierpieć dłużej, udali się opaci nareszcie z prośbą do króla, aby odprawiane pod klasztorem jarmarki przeniesione zostały do pobliskiego miasteczka Słupi.

Temci swobodniej jarmarkowano teraz w klasztorze. Wewnątrz i zewnątrz murów cisnęły się tłumy najrozmaitszych gości, możnych, ubogich i żebraczych, odpustnych i jarmarcznych, krajowych i zagranicznych. Zabudowania i kurytarze klasztorne, owe sławne tutejsze krużganki o krzyżowych sklepieniach, z zawieszonemi u zbiegu żeber tarczami herbowemi, zapełnione drużynami pań i panów w strojach świątecznych. Po dziedzińcach i dokoła góry klasztornej pospólstwo w zielonych obozuje szałasach. Krajowi i cudzoziemscy kupcy, niewymyślnym zwyczajem wieku, pod gołem niebem, albo w budach z gałęzi wygłaszają sprzedaż swoich futrzanych, sukiennych, bursztynowych, korzennych i tym podobnych towarów. Pomiędzy wszystkimi uwija się tu jakiś, na wzór żyjącego podówczas Niemca Eulenspiegla, po polsku

Sowizdrzała, rubasznie błaznujący kuglarz niemiecki, ówdzie jakiś, z ziemi krzyżackiej przybyły, Żmudzin z tańcującym niedźwiedziem, gdzieindziej jakaś wygnana z rakuzkich stron czarownica, udzielająca żebraczkom polskim potajemnie swoich, nieznanych tu jeszcze, guseł niemieckich. Więcej, niż te sekreta czarodziejskie, radowały ludność polską muzyczne popisy różnych grajków i gędźców, towarzyszących wówczas zwyczajnie starym ślepcom z śpiewaczą gęślą w ręku. Niemców wędrownych zachwycały najbardziej sprośne śpiewy tak zwanych rymowników niemieckich, osławionych z tego względu we wszystkich zebraniach obyczajnych, a przez Kazimierza W. surowemi karami wywoływanych z biesiad mieszczan krakowskich. Muzyka grajków słowiańskich zachęcała do pląsów, sprośność śpiewów niemieckich do rozpusty i zbytków. Wynikająca z tego wszystkiego zamieszka i swawola mogła wistocie pobudzić do ciężkich żalów i spowodować nareszcie opatów świętokrzyskich do uwolnienia się na zawsze od tych godów jarmarcznych.

Im sroższy zaś zgiełk i nierząd panował teraz w klasztorze małopolskim, tem większa ztąd pociecha nadciągającym od Wisły tłuszczom litewskim, tem większa dla nich pewność i łatwość łupu. Jakiż bowiem ratunek otwierał się świątecznym tłumom w tej ciżbie, gdy trzej książęta pogańscy, trybem znanej nam tajemniczości Olgierdowej, podstąpiwszy zcicha pod klasztor, ogarnęli go nagle dokoła! Obraz takiego napadu litewskiego zbliżał się wielce do znanych obrazów napadu późniejszej dziczy krymskiej. Litewskie kożuchy i wilcze szłyki nie różniły się od baranich kożuchów i kołpaków tatarskich. Łuk, sajdak i troki na jeńców składały walne uzbrojenie, zarówno Ordy, jak i Litwy. Nawet sposób przepławiania się przez rzeki, trzymając się płynącego konia za grzywę, albo za ogon, a odzienie i broń na małej obok siebie wioząc tratewce, nadawał przeprawie Li-

twy przez Wisłę wcale tatarską barwę. Obecność przewodniczących napadowi książąt pogańskich, otoczonych dworem służby, wróżków i kapłanów z bożyczami na wozach, nadawała wprawdzie niejakiej okazałości wyprawie. Ale i ci książęta nie świecili tu bynajmniej owym lustrem rycerskim, który im zwyczajnie towarzyszył na polu walu walki z Krzyżactwem. Tam, w obliczu rycerstwa europejskiego, godziło się książętom Litwy zadziwiać cudzoziemców nie ustępującą im w niczem świetnością stroju i obyczajów. Tu, w oczach kożusznej szlachty polskiej i wieśniaczych tłumów jarmarcznych, wystarczała codzienna odzież późniejszych Olgierdowiczów, złożona najczęściej z kołpaku futrzanego i ferezyi baraniej, opiętej szeroką tobołą albo pasem rzemiennym. Podnosił taką prostaczość stroju chyba jakiś przybór świecący, jakiś guz dyamentowy, albo sznur złoty. Co wszystko, przy wysokich butach futrzanych i takichże rękawicach, nie psuło bynajmniej tatarskiego pozoru całej wyprawy.

Na tatarskie więc podobieństwo plądrując klasztor na Łysej górze, uczyniła Litwa prawdziwie pogańskie w nim spustoszenie. Zrabowano wszystkie skarby kościelne, złupiono składy jarmarczne, porwano mnóstwo jeńców. Nawet główna świętość miejscowa, oprawna w srebro relikwia Krzyża Pańskiego, wpadła w ręce pogaństwu. Oprócz bogatej oprawy, miała ona jeszcze dla pogan wartość wysokiego kiedyś za nią okupu. Nadto, zwyczajem wszystkich ludów pogańskich, nie zdołała Litwa wstrzymać się od pewnej tajemnej czci dla przedmiotu tak wielkiego poszanowania u chrześcijan, i z niepowszednią uroczystością uwiozła porwaną świętość polską, czyli, jak ją w Litwie powszechnie zwano, „krzyż lacki". Z pomiędzy tłumu uprowadzonych z nią jeńców chrześcijańskich pamiętają kroniki tylko jednego starca i jednę pannę szlachecką. Starcem był poważny ziemianin małopolski, zepsutem zapewne w ustach litew-

skich imieniem Karabola, drugą piękna córka rodu Abdanków. Spotkamy się z obojgiem w dalszym ciągu opowiadania. Uprowadzone z nimi łupy świętokrzyskie wydały się książętom litewskim tak dostatecznym plonem wyprawy, iż nie posuwano dalej zagonów. Za nagłą owszem pogłoską, że szlachta małopolska nadciąga zbrojno przeciwko Litwie, zwróciły się zastępy łupiezkie w drogę do domu. Małej Polsce pozostała tylko żałość poniesionej straty i świeżo rozbudzona obawa dalszej plagi litewskiej. Litwę zaś zachęciły korzyści tego napadu na Polskę tak żywo do nowej wkrótce wyprawy, że już w lat kilka, t. j. roku 1376, ułożono zamiar powtórnego napadu.

Przewodniczyli teraźniejszej wycieczce, tej samej, która to tyle postrachu na Małopolskę, a skarg na nieboszczkę królowę Elżbietę niegdyś rzuciła, dwaj młodsi Gedyminowice, Kiejstut trocki i Lubart łucki. W. książę Olgierd, już blizko osiemdziesięcioletni starzec, pozostał w domu. Zamiast niego miało teraz młodsze pokolenie książęce pod wodzą starego „pogromcy Chrześcijan," Kiejstuta, zaprawiać się do boju. Tą młodą nadzieją Litwy byli synowie Olgierda i Kiejstuta, Jagiełło i Witold, za przykładem ojców żywą z sobą zespoleni przyjaźnią. Jako piąty towarzysz wyprawy przyłączył się trzeci wnuk Gedymina, Narymuntowic Jerzy, książę na Bełzie. Głośnie przygotowania do wyprawy doszły wcześnie do uszu przelęknionych od lat pięciu Krakowian. Atoli wewnętrzne spory odbywającego się właśnie przeobrażenia Polski po świeżym zjeździe koszyckim nie dozwoliły dość rychłego odporu. Nim się jeszcze dostatecznie obwarowano, wkradli się książęta litewscy w granice polskie. Tajne pochody nocą, przy bladem świetle księżyca, przerywane cichym spoczynkiem we dnie śród bagnisk i tajnych bezdroży leśnych, zaprowadziły ich w początku listopada aż ponad San.

Zkąd kilku szlakami po nadwiślańskiej rozlawszy się krainie, grasowała Litwa powszędy ogniem,

nożem i trokiem. Aż po Tarnów płonęły stare modrzewiowe kościoły, mordowano księży, łupiono dwory. Dworska i sielska ludność szła w jasyr, a kto się bronił, ginął. Niewymowny popłoch ogarnął Małopolan. Ów synowiec arcybiskupa gnieźnieńskiego, Pietrasz, pan z Baranowa, z żoną i nowonarodzonem dzieckiem ucieka wpław przez Wisłę. Owa owdowiała „Pani wiślicka," dworno i strojno w odwiedziny do królowej jadąca, odbiega cugów i służby, i na pół żywa dopada promu na Wiśle. Wyruszyły wreszcie hufce zbrojnej szlachty ku odporowi. Lecz i to nie przyniosło pomocy. Bo rozbójnicza Litwa unikała spotkania, chroniąc się z porwanym plonem w niedostępne kryjówki, a po oddaleniu się pogoni wojennej znowuż po świeży plon wypadając. Takim sposobem spustoszono całą krainę między Sanem a Wisłą.

Szerokie na niej zgliszcza po Litwie nakazywały Małopolanom myśleć o koniecznem zabezpieczeniu się nadal. Ale cóż miało ich ubezpieczyć? Zdawało się, że dokaże tego przyszłoroczna wyprawa króla Ludwika, wróżąca tem groźniejsze przytarcie Litwy, ile że król Ludwik podejmował ją równocześnie, a prawdopodobnie i w porozumieniu z potrójnym napadem Niemców pruskich na Litwę. Z nadzwyczajną tedy ochotą pośpieszyła szlachta małopolska pod sztandary króla Ludwika, na wojnę z Litwą. Lecz pokładane w królu nadzieje srodze Polskę łudziły. Głównym skutkiem jego wyprawy litewskiej ujrzała ona wiadome wydarcie sobie Rusi Czerwonej, wcielonej do państwa węgierskiego. Wspólnem zaś z Krzyżakami uderzeniem na Litwę dopomagali Polacy właściwie tylko Krzyżakom, t. j. dopomagali głównemu ze swoich wrogów, głównemu z grożących koronie zkądinąd niebezpieczeństw. Tego przecież nie rozumieli Małopolanie. Gdy jak oddaleni od Litwy Wielcy Polacy nie troszczyli się o napady litewskie, tak Małopolskę, nie będącą w bezpośredniem zetknięciu z krzy-

żacko niemieckiem niebezpieczeństwem, znamy dość przychylną zniemczałemu dworowi, cudzoziemczyźnie. Jakoż nie wzdragają się Małopolanie wojennej teraz spółki z zakonem, a wdzięczni za to Krzyżacy, korzystając z obojętności Wielkopolan o Litwę, a Małopolan o niemiecczyznę, przywiodłszy najprzód Kazimierzową Polskę nad przepaść, wtrącają obecnie Litwę w zgubę podobną.

Podjęta jednocześnie z Ludwikiem wyprawa Krzyżaków do Litwy pojawiła najwidoczniej coraz cięższą przewagę zakonu nad pozorną potęgą Gedyminowiców. Zdobywcy Kowna, zwycięzcy nad Rudawą, zobaczyli się teraz wpośród samej stolicy litewskiej, w wiolkoksiążęcem Wilnie. Zapalone ze wszystkich stron przedmieścia legły w trzeciej części w perzynie. Pojedyncze wycieczki krzyżackie zapuszczały się jeszcze niżej wgłąb kraju. W. książę Olgierd musi szukać pokoju, prosząc w szczególności o zachowanie niedopalonej jeszcze części stolicy. Krzyżacy, pewni rozbrojenia Gedyminowiców, przeciwni ostatecznemu wytępieniu pogaństwa, nigdy tymczasowego nie odmawiają pokoju. Na tym też rozejmie z Krzyżakami zamyka Olgierd (r. 1377) swój zawód. Ostatnią wiadomą sceną jego żywota jest uczta rycerska, wyprawiona tryumfującym Krzyżakom w zamku wileńskim.

Już to zamek nawpół krzyżacki, jak i ziemia litewska na poły ziemią niemiecką. Nawet w Kiejstutowym zamku, w Trokach, czeka Niemców takaż sama uczta zwycięztwa. Młody Kiejstutowic Witold uderza wprawdzie z młodzieńczą zapalczywością na powracających do dom Krzyżaków, lecz starego W. księcia Olgierda strawił już bój z Niemcami. Poczem „największy z książąt litewskich"—„twórca głośnej w świecie potęgi, jakiej żaden z braci jego, ani ojciec, ani dziad jego nie odzierżył"—ustępuje skrycie z widowni dziejów. Nie mamy niewątpliwych wiadomości o jego końcu. Polscy, współcześnicy jego

syna, opowiadają za rzecz pewną, którą i my za najbliższą prawdzie przyjąć musimy, że Olgierd umarł w wierze pogańskiej i, jako poganin, ze zwykłą starodawnym książętom litewskim wystawnością zgorzał na stosie pogańskim. Przyobleczono zwłoki do tego aktu w nader kosztowne szaty, mianowicie w perłami i klejnotami przetkany kaftan, srebrno-złocisty pas i purpurową delię książęcą. Razem z ciałem książęcem i świecącą na niem znaczną częścią skarbów książęcych zgorzał na stosie także najdzielniejszy z rumaków Olgierdowych. Odbyć się miał ten pogrzeb, według doniesień polskich, w lesie Kokiwejstos, w pobliżu grodu Miskoli.

Na Rusi przeciwnie krążyła wieść, jakoby W. książę za sprawą kapelana drugiej małżonki Julianny, greckiego księdza Dawida, przyjął na skonaniu chrzest święty i pod imieniem Aleksego przyobleczony w strój czerńca, spoczął w zbudowanej przez siebie cerkwi Bogarodzicy, w mieście wileńskiem. Sama sprzeczność tych podań dowodzi moralnego rozdarcia ówczesnej Litwy. Jedyną niewątpliwą okolicznością zdaje się, iż umierający Olgierd za przyzwoleniem brata Kiejstuta przeznaczył tron wielkoksiążęcy synowi swemu, Jagielle, najstarszemu z potomków drugiej żony Julianny, Rusinki, księżniczki twerskiej. Oprócz wymienionych powyżej sześciu synów z pierwszego małżeństwa, z których teraz tylko trzej żyją, t. j. Andrzej Wingolt, wkrótce później do Moskwy zbiegły, Konstantyn Korygiełł, niedawno od Krzyżaków przybyły, i ów na dworze cesarza rzymskiego bawiący Butaw, czyli Borys, oprócz oznaczonego W. księciem Jagiełły, pozostawił zmarły Olgierd jeszcze pięciu z drugiego małżeństwa, mianowicie: Skirgiełłę, Świdrygiełłę, Dymitra Korybuta, Dymitra księcia na Korcu i Wasila-Aleksandra Wigunda; tudzież pięć córek: Agrypinę, Maryę, Aleksandrę, Helenę i Teodorę. Przyjdzie nam później mówić nie jednokrotnie o tych wszystkich braciach i siostrach Jagiełłowych.

Obecnie nad wszystkich Olgierdowiców, nad samego W. księcia Jagiełłę, najpotężniejszym w rodzie i całym kraju był Kiejstut. Niezmienny w swojem przywiązaniu do starodawnej narodowości i zmarłego brata starszego, powtórzył on teraz też samą scenę względem jego syna, Jagiełły, jaka przed trzydziestu laty, dzięki wspaniałomyślności Kiejstuta, wyniosła na tron Jagiełłowego ojca Olgierda. Przestając na swojem księztwie trockiem i na ciągłej walce z Niemcami, ukoronował osiemdziesięcioletni już starzec dwudziesto-sześcioletniego Jagiełłę mitrą wielkoksiążęcą, i wespół z młodym Gedyminowicem Lubartem, księciem na Łucku i Włodzimierzu, uznał go panem Wilna. „Gdyby Kiejstut był chciał—mówią o nim naoczni onych czasów świadkowie Niemcy—byłby wtedy snadnie osiąść mógł sam na tronie, a Jagielle inne dać księztwo. Ale Kiejstut nie chciał tego uczynić dla miłości Olgierda, starszego brata, i osadził Jagiełłę na stolicy wileńskiej i ochraniał go od wszystkich nieprzyjaciół, aż dopóki nie podrósł i aż ludzie nie nawykli do niego." Już starzec nie spostrzegł, że młody W. książę nie podziela jego pogańsko-narodowych zamiarów, w rozumieniu Kiejstuta jedynej drogi powstrzymania upadku Litwy.

Jakkolwiek bowiem sprawa narodowa pochyliła się ku upadkowi, dziecięco uporny umysł Kiejstuta trwał wiernie przy dawnych bogach. I potrzeba było wistocie tak bezwzględnej uporności, jeśli Żnicz święty miał gorzeć jeszcze. Przy wszelkiej potędze i powadze Kiejstuta w Litwie rosła nad nią niepowstrzymanie przemoc krzyżacka. Nowa Niemców po śmierci Olgierdowej wyprawa, jedna z siedmiu w przeciągu jednego roku, przedarła się w Litwę dwoma żelaznemi ramiony, jednem od północy z nad ujścia Niemna, drugiem od zachodu z nad Narwi. Po zwyczajnych mordach i pożogach w pochodzie złączyły się oba skrzydła wyprawy w pobliżu niedostępnego dotąd Krzyżakom Bugu. Najgłębsze zakąty ziemi

litewskiej otworzyły się ciemięztwu krzyżackiemu. Młody W. książę Jagiełło patrzył obojętnie na klęskę kraju. Sam Kiejstut oddawał Niemcom wet za wet, goniąc ich dzielnie w Prusiech, gdzie zdobył warownię krzyżacką Insterburg.

Z nieupadającem zaś nigdy męztwem nie odstępowała go także dawna ludzkość i miłosierność. W tej to właśnie wyprawie chciało pogaństwo spalić pojmanego w zdobytym Insterburgu starostę zamkowego, Surbacha, wieloletniego tyrana Litwy. Kiejstut zachował go przy życiu, a tem łaskawszy dla własnego synowca Jagiełły, przystał wreszcie na zawarty przez niego z Krzyżakami traktat pokoju. Mocą tego układu zgodzono się na zabezpieczenie przynajmniej niektórych części kraju, mianowicie ruskolitewskiego pogranicza między Niemnem a Bugiem i podobnież rozległej przestrzeni ziemi krzyżackiej po tamtej stronie Niemna, od wzajemnych na lat dziesięć napadów krzyżackich i litewskich. Potrzebowała ojczyzna Gedyminowiczów tej ulgi, gdyż jak sam dumny z narodu swego dziejopis Litwy przyznaje, „straciła Litwa tęgość oporu, krzepkość władzy najwyższej i zbliżała się do katastrofy, jaką jej przygotować usiłowali nieprzyjaciele.” Ale cóż po tej uldze chwilowej, skoro rozpoczęte raz podupadanie sił kraju wyradzało dalej nieuchronne z siebie następstwa! Najsmutniejszym z tych skutków okazał się zwykły towarzysz osłabienia, tajny jątrz waśni, wylęgłej w samem rodu książęcego zanadrzu.

Młody W. książę Jagiełło nie miał żadnego współczucia dla pogańskiej wytrwałości Kiejstuta. Nęciła go widocznie przeciwna starodawnemu pogaństwu nowoczesność, skłaniająca go do używania obcego tytułu: „król litewski.” Małego zresztą serca, czuł on się upokorzonym moralną przewagą stryja. Upokorzenie nadstawiało chętnie ucha przeciwnym Kiejstutowi podszeptom. Krzyżacy ze swojej strony nie omieszkali dolać żółci cichaczem, starając się poważnić śmiertelnie W. księcia ze stryjem Kiejstutem,

Pozostał nam w tej mierze nadzwyczajnie charakterystyczny list krzyżacki, pisany do matki W. księcia, Julianny, jak wiadomo, grecko-chrześcijańskiej Rusinki. Zaczynają w niej Krzyżacy od nader miłego sercu macierzyńskiemu doniesienia, jak wspaniale podejmowany był jeden z synów W. księżny, Skirgiełło, bawiąc w gościnie u „W. książęcia niemieckiego"—jak W. mistrzów krzyżackich statecznie na Rusi zwano. Następnie dowiaduje się matka, „jak wielkie grzeczności dworskie, i rewerencye, i biesiady, i uczty, i podarunki" witały go za sprawą mistrza W. we wszystkich zamkach krzyżackich. Nie zaniedbał nawet korespondent krzyżacki dodać, jak świetną wreszcie garderobą, odpowiednią jego dostojności, zaopatrzył go mistrz W. w zamku toruńskim, gdy młody książę pośpieszył w końcu na jakieś gody weselne, wyprawione w Polsce przez książąt mazowieckich. Kończy list pobożnem napomnieniem do chrześcijańskiego wychowywania dziatek książęcych i wzmianką o załączonym podarku dla W. księżny i jej ukochanego syna Jagiełły. Dopiero po tem bujnie usłanem kwieciem miłych doniesień jeży się dość niezręcznie wetknięte żądło krzyżackie, przestraszające biedną matkę podszeptem — „jako ów wściekły pies Kiejstut nietylko przeciw chrześcijaństwu, ale i przeciw Litwie złośliwe knuje zamysły. W szczególności zaś dysze niegodziwy (jak to już poprzednio donosiliśmy waszej miłości) żądzą owładnięcia państwa litewskiego, przemyśliwając codziennie, jakimby sposobem zgubił waszego przesławnego syna Jagiełłę i wydarł mu wszystkich poddanych, i wszystkie zamki, i posiadł państwo całe."

Oprócz uzyskanego tym sposobem zaufania W. ks. Julianny, oprócz porozumienia z wielu książętami litewskimi, uciekającymi się pod opiekę zakonu, powiodło się Krzyżakom nawet pomiędzy ludem zjednać sobie stronników, Owi przesiedlający się do Prus Litwini, ów oprowadzający Krzyżaków po Litwie kapłan pogański, późniejsi Surwiłłowie, są tego smutnym

dowodem. Podobnież usłużył im teraz dworak W. księcia Wojdyłło. Najprzód nadzorca piekarni wielkoksiążęcej, potem pokojowiec Olgierda, doszedł on jeszcze za życia ojca Jagiełłowego do wyższych urzędów państwa, mianowicie dostąpił starostwa w Lidzie. Młody wielki książę Jagiełło tak dalece sprzyjał ulubieńcowi ojcowskiemu, że własną siostrę Maryę, wdowę po ruskim księciu Dawidzie, wydał za niego. Obruszył się na to małżeństwo Kiejstut, zapewne jeszcze z czasów Olgierdowych nieprzychylny Wojdylle, a nowy gniew Kiejstutów dodał ostrza zauszniczemu językowi Wojdyłły. Czy ujęty już przez Krzyżaków, czy uprzedzając przyjazne z nimi związki, poduszczył starosta lidzki drażliwe serce W. księcia przeciwko staremu stryjowi. Z synem Kiejstutowym, Witoldem, żył W. książę w ścisłej przyjaźni, naśladując braterską niegdyś miłość ojca z bratem Kiejstutem. Wszakże stryja starego, butnego wroga Jagiełły, godziło się, według porady Wojdyłłowej, na pewną narazić zgubę.

Pierwszym ku temu krokiem stał się poufny zjazd Jagiełły z dostojnikami zakonu w Dawidyszkach, śrud puszczy leśnej, odbyty pod maską kilkudniowej rozrywki myśliwskiej. Wtedy tak potajemnie, że nawet obecny tam Witold niczego domyśleć się nie mógł, zawarto w imieniu W. księcia układ z zakonem, przyrzekający Krzyżakom, okrom pokoju ze strony Jagiełły, nie wspierać jeszcze księcia trockiego, jeśliby Krzyżacy najechali go wojną. Dzięki temuż spiskowi, mógł zakon teraz obrócić wszystką potęgę swoją przeciwko osamotnionemu Kiejstutowi. Uwikłany w sidła krzyżackie Jagiełło, przechodził w spółkę i opiekuństwo zakonu, a z łatwem wrychle rozgromieniem Kiejstuta zbliżała się dla Krzyżaków pora zupełnego owładnięcia ziemi litewskiej. Zaczem uderzyli Krzyżacy całą potęgą na Kiejstuta. Do mnogich nieprzyjaciół przybył mu jeszcze nowowynaleziony rodzaj broni krzyżackiej, najstraszniejszy ze wszystkich dotąd znanych, użyty po raz pierwszy

w obecnej przeciw Kiejstutowi wyprawie—działa prochowe. Pod ich gromowemi wybuchami padła ku przestrachowi Litwy starodawna twierdza krajowa Nauenpille, uważana dotąd za niezdobytą. Po wszystkich kościołach pruskich zabrzmiały modły dziękczynne za świetne nad Kiejstutem zwycięztwo. W Litwie W. książę Jagiełło nie tylko, że nie dopomógł stryjowi w zapasach z wrogiem, lecz nadto, ku zadziwieniu Kiejstuta, nie doznawał żadnej zaczepki ze strony Niemców, omijających troskliwie jego granice, a uwiadomionych dokładnie o każdym planie Kiejstuta.

Wzbudzona tem podejrzliwość starego Gedyminowica nie wahała się posądzić Jagiełłę o tajne porozumienie z zakonem. Wynurzył się Kiejstut w tej mierze przed swoim synem Witoldem, przyjacielem Jagiełły. Szlachetny Witold zapewniał starego ojca o niewinności brata i przyjaciela. Wszelako ten stary ojciec był najfortelniejszy z synów Gedyminowych i łatwo też przeniknął fortelność Jagiełłowego knowania. Utwierdziło go w domysłach ostrzeżenie jednego z komturów krzyżackich, dowódcy zamku Osterodzkiego, Kuna de Liebstein, który, jako chrzestny ojciec Kiejstutowej córki Danuty, małżonki mazowieckiego księcia Janusza, pobratany był osobiście rycerską z Kiejstutem starym przyjaźnią i zcicha teraz uwiadomił go o konszachtach Jagiełły z W. mistrzem. Gwałtowność niebezpieczeństwa, zwiększona podeszłym wiekiem Kiejstuta, z którego śmiercią wszelkie dla sprawy narodowej upadały nadzieje, nagliła do kroku doraźnego. Wreszcie jawne niebawem posiłkowanie Jagiełłowego brata, Skirgiełły, przeciw Kiejstutowemu synowi Andrzejowi Garbatemu w Połocku, podjęte na życzenie Jagiełły przez Krzyżaków inflanckich, usunęło wszelką wątpliwość.

Nie zwierzając się przeto synowi Witoldowi, najechał rączy starzec W. księcia znienacka na Wilnie, opanował obadwa zamki, uwięził Jagiełłę z matką bratem Korybutem i całym dworem (w sierp. 1381),

W zagarniętym wówczas skarbcu książęcym znalazły się, między innemi, dokumenty zawiązanego z zakonem spisku. Dopiero teraz przekonał się Witold o zdradzie przyjaciela. „Bądź jednak spokojnym o jego dolę — rzekł Kiejstut do Witolda. — Wydzielę mu księztwa Witebsk, Krewo i wszystką ziemię, jaką otrzymał ojciec jego Olgierd od mojego ojca Gedymina." Uczynił to Kiejstut wistocie, powodowany w tem szlachetną obawą, aby—jak współczesne świadectwo niemieckie prawi — „nie splamić swego imienia rycerskiego, i nikogo ze swej rodziny nie robić wygnańcem z ojczyzny." Znienacka zaskoczony Jagiełło, przystał na zrzeczenie się Wilna, i odzyskawszy z łaski stryja wszelkie skarby i dostatki ojczyste, między któremi osobliwie piękną stadninę wielkoksiążęcą, osiadł z matką, Julianną, jako wierny hołdownik Kiejstuta, na księztwie krewskiem. Wielkoksiążęcą zaś godność razem ze sterem skołatanej Litwy pogańskiej objął osiemdziesięciotrzyletni Kiejstut.

Był to ostatni dzień pogaństwa w Europie. Ten sędziwy, gołębiego serca staruszek, to ostatni jego obrońca. Nie mógł on już innej dać mu pomocy, jak tylko uderzyć jeszcze na Niemców. Jeszcze więc raz zwołał książę naród pod chorągwie bogów ojczystych i wyprawił go w ziemie krzyżackie. Z gwałtownością ostatniego wysilenia runęła teraz Litwa na grody pruskie. W trzy miesiące po objęciu wielkoksiążęcej stolicy przez Kiejstuta, zdobyło pogaństwo w Prusiech gród Osterode. Po kilku tygodniach przedarła się druga wycieczka litewska pod jednym z synów Kiejstutowych wgłąb pruskiej Warmii, w pobliżu głównej W. mistrza stolicy. Nieco później sam Kiejstut obległ jurborski zamek nad Niemnem. Wytężono wszelkie siły ku zdobyciu warowni. Bito ogromnemi machinami w mury zamkowe, strzelano nawet ze sprawionych już przez Kiejstuta dział ognistych, lecz nadesłana tymczasem odsiecz krzyżacka położyła tamę szturmom broni pogańskiej. Zniewolony do odwrotu

Kiejstut musiał myśleć niebawem o obronie własnej stolicy Trok. Odpartą od niej siłę krzyżacką poparła wkrótce nowa wyprawa, zdążająca pod samo Wilno. Strasznem po dwakroć spustoszeniem Żmudzi, dostarczającej zapewne najwięcej oręża do obecnego podźwignięcia się narodowości, pomścili Krzyżacy z naddatkiem ostatni tryumf pogaństwa. W końcu wypadło Kiejstutowi traktować o wykupno mnogiego ludu z niewoli u Krzyżaków. Nie mając natomiast dość znacznej liczby braúców krzyżackich, wypłacił Kiejstut 3,000 grzywien w gotowiznie, a 1,000 grzywien winnym pozostał.

Tak krótka, tak małoznaczna pomyślność uwieńczyła nową wojnę z zakonem. To oziębiło ducha narodowego. Najwytrwalsi zaczęli się trwożyć. Śmiałe rozkazy Kiejstuta przyjmowano z niechęcią. Coraz powszechniejsze nieposłuszeństwo rozprzęgało wszelką możność oporu zakonowi. Opuszczony od ludu własnego, ujrzał Kiejstut przed sobą nieuchronnem następstwem wszelkich swoich wysileń ten los zupełnego „wygnania lub ustąpienia całej rodziny książęcej z wszystkich krain litewskich", od którego — według późniejszych słów jego syna — zbawiła Litwę jedynie niespodziana pomoc obca. W takiem położeniu niezachwiana niczem chęć ocalenia Litwy naprzekór samej Litwie, zniewalała nieraz do srogich środków. Wojdyłło, ów pierwszy sprawca nieszczęsnego przymierza Jagiełły z Krzyżakami, został za jakieś nowe knowania powieszony. Zaledwie zaś ukarano jednego winowajcę, wypadło poskromić bunt drugiego, rodzonego brata Jagiełłowego, Dymitra Korybuta, książęcia siewierskiego. Otrząsnąwszy zwierzchnictwo W. księcia Kiejstuta, zagarnął Dymitr niektóre zamki litewskie i sam poddał się W. księciu moskiewskiemu. Kiejstut zostawił syna Witolda w domu ku obronie Wilna i Trok, a sam pośpieszył z wojskiem w daleką wyprawę przeciw Dymitrowi.

Miał mu pomagać w niej Jagiełło, żyjący tymczasem w swojem wygnaniu krewskiem. Wyraźny

rozkaz starego księcia Kiejstuta zawezwał go przeciw rodzonemu bratu, Dymitrowi. Rozżalony tem surowem żądaniem, wrogi Kiejstutowi za niedawne wydarcie mu rządów wielkoksiążęcych i świeże zamordowanie ulubieńca Wojdyłły, wyruszył Jagiełło z wojskiem, lecz nie przeciw bratu. Wyruszył z Krewa przeciwko staremu „psu" Kiejstutowi. Zamiast ze stryjem do dalekiego Siewierza, zwróciły się roty Jagiełłowe w stronę przeciwną, ku poblizkiemu Wilnu. Ciągłe spiski z Krzyżakami zabezpieczyły Jagielle na wypadek powstania przeciwko Kiejstutowi jaknajrychlejszą pomoc niemiecką. Nadto wspomniane zniechęcenie się samegoż ludu ku Kiejstutowi dozwoliło zawiązać potajemne stosunki z niektórymi mieszkańcami stolicy Wilna, mianowicie z przychylnym Krzyżactwu cudzoziemczym dowódcą miasta, Hankiem, Niemcem rygajskim. Ztąd, kiedy Jagiełło stanął pod miastem, sami Wilnianie ochoczo poddali mu oba zamki. Witold ustąpił do Trok, lecz słysząc, że Krzyżacy z Prus i Inflant ciągną z pośpiechem ku pomocy Jagielle, zabrał z sobą matkę Birutę ze skarbami ojcowskiemi i cofnął się z Trok do Grodna. Jakoż wistocie nadciągnęły niebawem znaczne siły krzyżackie. Prowadził je sam marszałek zakonu. Połączony z niemi Jagiełło zajął z łatwością Troki. O czem wszystkiem dowiedziawszy się Kiejstut, nie złożył jeszcze broni. Wyprawił czemprędzej kilku naczelników wojskowych na Żmudź, do tej walnej twierdzy pogaństwa, po liczniejszą pomoc orężną. Sam zaś pośpieszył do Grodna, na granicę Mazowsza.

Pokrzepiała go tam nadzieja posiłków od poblizkiego księcia mazowieckiego, Janusza. Przygnębiony od Krzyżaków, zdradzony od synowca, którego sam na wielkoksiążęcym osadził tronie, opuszczony od własnego narodu, oczekiwał znękany starzec w swojej toni ratunku z ręki małżonka córki swojej, z ręki syna swojego. Toć dwór tegoż zięcia mazowieckiego stał mu niegdyś w ucieczce z więzów krzyżackich tak szczęśliwą przystanią ocalenia! Prócz tego znana

mądrość Janusza pozwalała spodziewać się Kiejstutowi, że przenikliwy wzrok księcia mazowieckiego ocени należycie niebezpieczeństwo, jakiem nie tylko Litwie, lecz zarazem i Polsce groziła wzmagająca się przemoc krzyżacka. Nie zechce przeto Janusz dopuścić teraz jej ustalenia się na Litwie upadkiem ojca Kiejstuta... Mądry Janusz widział tylko niepodobieństwo utrzymania się pogaństwa i Kiejstuta. Toż uprzedzając blizkie rozszarpanie Litwy pogańskiej, najechał pozostałe Kiejstutowi Polesie i spustoszywszy kraj cały, opanował dwa główne powiaty z grodami Drohiczynem i Mielnikiem.

Kiejstut chciał ocalić sprawę, którą bogi i ludzie opuścili. Pozbawiony ostatniej nadziei, z przekleństwem losów na siwych włosach, zgarnął nasz nieszczęśliwy obrońca Żnicza ostatek skarbów i wraz z żoną i synem ustąpił do świętej Żmudzi. Wypadło tam uznać nakoniec, że już nadeszły czasy, kiedy spełnić się miały starodawne wróżby o upadku wiary ojczystej, o zagaśnięciu Żnicza wiecznego. Najgorliwsi zwolennicy narodowości nie tracili wprawdzie nadziei pomyślnego jeszcze obrotu rzeczy, lecz w obradach swoich odzywali się niekiedy przychylniej sprzymierzonemu z Krzyżakami Jagielle, niż uciążliwemu dla ustawicznych wymagań i bojów Kiejstutowi. Miano nawet wyprawić do Jagiełły poselstwo, oświadczające mu uległość i posłuszeństwo, jeśli pozostanie wiernym Żniczowi. Nareszcie w żałobnych podówczas zgromadzeniach obradnych, ważących ostatnie losy narodu, postanowiono opuścić całkiem strony rodzinne. Ziemię litewską i żmudzką chciano pozostawić Krzyżakom, a cały naród z wszelką ludnością sielską, z trzodami i stadami, miał szukać innych, bezludnych stron, bezpiecznych nieprzebytemi lasami i bagnami, gdzieby zwyczajem dawnych wędrówek narodowych, założył nową ojczyznę.

Odraczając jednak chwilę spełnienia tak gorzkiej ostateczności, usłuchano tymczasem odezwy starego wodza Kiejstuta, powołującej Żmudzinów do osta-

tniej walki pod mury Trok. Zdawało się, jakoby głos wewnętrzny ostrzegał, że dla wytępionego już w tej części świata pogaństwa nie ma innej przyszłości, jak tylko w losie boju. Osobliwie zgrzybiałego w tej walce bohatera pogańskiej Litwy ciągnęło serce w ten los. Jakkolwiek więc smutną jest przyszłość sprawy, o której życiu rozstrzyga tylko walka śmiertelna, stanął Kiejstut do boju. Ściągnęły niebawem hufce Kiejstuta i Witolda pod mury trockie, które oblegać zaczęto. Nie było w Trokach Jagiełły. Oczekiwał on gdzieindziej nadejścia nowych posiłków pruskich. Spełniły się wkrótce jego życzenia. Niedługo po wyruszeniu Kiejstuta ze Żmudzi wtargnął tam mistrz inflancki i spustoszywszy ziemię, dążył ztamtąd w głąb Litwy. Z drugiej strony zbliżał się z pomocą ku oblężonym Trokom marszałek zakonu na czele znacznej potęgi. Jagiełło trzecie prowadził wojsko.

Wszystkie te siły połączyły się pod Trokami, opasując wkoło Kiejstuta (1382). Nie było żadnej nadziei już dla niego. Sam Jagiełło użalił się próżnego krwi rozlewu. Zaczem dla ocalenia osoby stryja wyprawił przed bitwą gońców do przyjaciela Witolda, wzywając go, aby skłonił Kiejstuta do rozejmu. Witold przyjął wdzięcznie głos łaski i zabezpieczywszy siebie i ojca glejtem zaprzysiężonym, udał się wraz z Kiejstutem do obozu Jagiełły. Syn Olgierdów wyjechał z licznym orszakiem naprzeciw przybywającym. Przy spotkaniu „poddali się" Kiejstut i Witold zwycięzkiemu Jagielle, prosząc jedynie o życie dla reszty zbrojnego ludu. „Jagiełło poruszył mistrza inflanckiego do miłosierdzia i przyjęto 5,000 Kiejstutowego wojska w niewolę." Lecz gdy Kiejstut z Witoldem chcieli wrócić nazad do swoich, zatrzymał ich „zdradnie" Jagiełło, rozkazując, aby wbrew zaprzysiężeniu wolności osobistej, jechali z nim do Wilna.

Opasani zewsząd orszakiem Jagiełłowym, musieli Kiejstut i Witold, chcąc nie chcąc, ruszyć wraz

z tłumem naprzód. Czteromilowa odległość Wilna, gdzie książęta wkrótce stanęli, usunęła ich z przed oczu rozprzężonego wojska żmudzkiego. Rozbroili je do szczętu gońcy Jagiełły, donoszący im złudnie raz po raz, jako zawarta została zgoda między książęty, jako Kiejstut zdał wielkoksiążęcą władzę Jagielle, a Witold otrzymał zato Żmudź, jako wreszcie niepotrzeba już wojska, bo niema wojny. Nazajutrz cała armia pogańska częścią sama rozeszła się do domów, częścią pod rozkazy lub w niewolę Jagiełły przeszła. Całe rozwiązanie tej ostatniej wyprawy Kiejstutowej okazuje najjawniej śmiertelną omdlałość jej natchnienia. Ostatni zamach litewskiego pogaństwa skończył się z cichem zachodniego słońca gaśnięciem...

Zgrzybiały jego wódz gasł już w więzieniu krewskiem. Po przybyciu książąt do Wilna zostali Kiejstut i Witold uwięzieni zosobna. Syna zatrzymano tymczasem w Wilnie, starego zaś ojca, po zwyczaju w ciężkie zakutego łańcuchy, wywiózł brat Jagiełłów, Skirgiełło, do odległego o kilkanaście mil zamku Krewa, niedawnej stolicy strąconego z tronu Jagiełły. Osadzono tam Kiejstuta w podziemnym sklepie sterczącej dotąd baszty. Była to ostatnia niewola często imanego i więzionego książęcia. Przeżył w niej nieszczęśliwy starzec jedynie cztery noce. Piątego dnia rozeszła się pogłoska, że stary książę życie sobie odebrał. Złotym od ferezyi sznurem miał się udusić.

Brzmiąc szeroko po świecie, ulegała ta wieść różnym długo wykładom. U Rusi, nienawidzącej Jagiełłę dla ochrzcenia się później nie na ruską, ale „niemiecką wiarę", jak tam obrządek łaciński powszechnie zwano, utwierdziło się zdanie, że Kiejstuta z rozkazu Jagiełłowego u d u s z o n o w więzieniu. Wiedzą tam nawet kroniki, jak się to stało. Trzej służalcy Jagiełłowi w spółce z jakimś Krzyżakiem mieli wnijść przebrani do więzienia i zabić naprzód czekanem pacholika Kiejstutowego, a następnie sznu-

rem od ferezyi zadławić starego księcia. W Polsce opowiadano sobie, że Kiejstut sam się udusił. Najważniejszym w tej mierze głosem jest świadectwo spółczesnych Niemców krzyżackich, śmiertelnych niebawem wrogów Jagiełły. Otóż żadna z kronik pruskich, zaciekających się nieraz w swej złości ku Jagielle aż do nazywania go „psem wściekłym", nie śmie zadawać mu jawnie winy mordu Kiejstutowego. Wszystkie poprzestają na dwuznacznych półsłówkach, blizkich zupełnemu uniewinnieniu. Ponieważ jednak, według wyrażenia się jednej z kronik niemieckich, „życie opuściło Kiejstuta w ręku Jagiełły", ponieważ śmierć Kiejstuta rymowała z widokami Jagiełłowemi, ponieważ nareszcie Jagiełło, jako przyjaciel powieszonego przez Kiejstuta Wojdyłły, a siostra Jagiełły, Marya, jako wdowa po tym Wojdylle, pragnęli zapewne pomścić się na Kiejstucie, przeto pozwalano sobie niedowierzać dobrcwolnej śmierci starego księcia. A jak syn Kiejstuta mógł później wyrzec, że Jagiełło „zgubił" mu ojca, tak samo Krzyżacy nie wahali się w następnych czasach nadać półsłówkom swoich kronik znaczenie rzeczywistego obwinienia.

Co do nas, my w uznaniu winy lub niewinności Jagiełły nie mamy prawa być surowszymi od najświętszych onego czasu dusz, którym bliższe obeznanie się z okolicznościami całego wypadku wystarczało do uznania niewinności Jagiełły. Jedyną jego winą był spisek z wrogim zakonem, nieszczęsnem parciem wypadków narzucony. Nie wiedząc zaś, co się stało w więzieniu krewskiem, wysłał tam Jagiełło swego brata, Skirgiełłę, ze zleceniami do Kiejstuta. Skirgiełło, „chcąc mówić ze stryjem w więzieniu, zastał go już nieżywym." Nie pozostało mu nic innego, jak sprowadzić ciało do Wilna, dla oddania mu czci ostatniej. Odbył się ten obrzęd pośmiertny obyczajem pogańskim, z nadzwyczajną uroczystością. Na wileńskim zgliszczu Swiętoroga, na szczycie mogiły, wydrążonej wewnątrz na półtora chłopa głębokości,

uczyniono wielki z drew suchych stos. „Tamże, ubrawszy ciało Kiejstutowe we zbroję i w szaty książęce, z orężem, włócznią i sajdakiem, położyli je na stos, a przy niem sługę wiernego żywego, konia najlepszego żywotnego ubranego, parę chartów i wyżłów, paznogcie rysie i niedźwiedzie i trąbę myśliwczą. Poczem, uczyniwszy bogom modlitwy i ofiary i wyśpiewawszy dzielności jego, co za żywota czynił, zapalali on stos drzew smolny, i tak wszystko ciało zgorzało."

Obecni pogrzebowi Krzyżacy ujrzeli z przerażeniem, jak po przedarciu się płomieni od spodniej warstwy drew cały stos runął z trzaskiem w niewidome dla nich wydrążenie mogiły, i nowym wybuchem ognia i dymu przestraszył lud zgromadzony. Brakowało przy pogrzebie najmilszych nieboszczykowi świadków—rodziny. Żona bohatera zmarłego, dawna kapłanka pogańska, Biruta, przeszło sześćdziesięciokilkoletnia już niewiasta, została utopioną w tym samym czasie. Najsławniejszy z synów tęsknił w więzieniu wileńskiem. Z reszty pięciu Kiejstutowiczów dwaj, Wojszwiłł i Wojdat, już nie żyli; trzej inni, t. j. starszy od Witolda, Patrig, i młodsi, Zygmunt i Towciwiłł, dopiero później dostąpili imienia w dziejach. Z córek jedna z litewska, Danuta, po chrzcie Anną nazwana, żyła, jak wiemy, za Januszem mazowieckim księżną na Czersku i Zakroczymiu; druga, Marya, za Iwanem, książęciem twerskim, trzecia, nieznanego imienia, za Kazimierzem, księciem szczecińskim. Czwarta i ostatnia, Ryngajła, równie niebezpieczna duchowieństwu, jak ojciec rycerstwu chrześcijańskiemu, przywiedzie później wdziękami swemi jednego z biskupów owoczesnych do zamiany pierścienia biskupiego za obrączkę dożywotnich z nią ślubów.

Teraz jednak cały ród Kiejstutów w poniżeniu. Pojmanego Witolda przeniósł niebawem rozkaz Jagiełły z Wilna do Krewa. Tam w świeżo przez ojca opróżnioną wieżę wtrącony, mógł Witold najsroższe-

go lękać się losu. Poznał bowiem Jagiełło przedsiębierczą duszę stryjecznego brata swojego, i okazywał się dlań nader surowym. W jedyny dowód łaski pozwolono mu widywać żonę w więzieniu. Przychodziła tam księżna Anna codziennie pod wieczór z dwiema służebnemi pannami, które słały jej łcże. Ciągła jednostajność tych odwiedzin uśpiła czujność straży. Jednego razu po wyjściu księżny z pannami postrzegł dozorca więzienny zamiast Witolda—jednę z tych panien w odzieży więźnia. Wszelkie poszukiwania były daremne. Witold za radą żony przywdział strój jednej z panien służebnych, a że był drobnej postaci i niewieściego oblicza, więc niepostrzeżony wyszedł z księżną i z drugą panną z wieży, a następnie z zamku i miasta. Poczem nie zdało mu się rzeczą stosowną, szukać przytułku gdzieindziej, jak u Krzyżaków.

Potęga Niemców pruskich zaciężyła do tego stopnia nad Litwą, że jeśli nie wojną niepomyślną, tedy przyjaźnią, tedy chronieniem się w ich objęcia, potrzeba było uderzyć czołem przed nimi. Przebiegając zatem wstecz dawną drogę ojca Kiejstuta z niewoli krzyżackiej przez Mazowsze do Litwy, zmierzał teraz Witold z Litwy przez tożsamo Mazowsze, przez książęcy dwór swojej siostry Danuty w Czersku do ziemi pruskiej w gościnę, czyli raczej dobrowolną niewolę u Krzyżaków. Jaki los spotkał pozostałą w więzieniu krewskiem Litwinkę pannę służebną, nie wspominają dzieje. Dowiadujemy się za to, iż upadkowi Kiejstuta i Witolda towarzyszyło krwawe pognębienie przywiązanej do dawnych Bogów Żmudzi. Wielu możnych Żmudzinów, między którymi stryj i wnuk dawnej kapłanki Żmudzkiej, księżny Kiejstutowej Biruty, śmiercią na kole przypłaciło swój udział w ostatniem podźwignięciu starodawnej narodowości i wiary. Ale jeszcze sroższem dla niej niebezpieczeństwem groziły dalsze obecnych zdarzeń następstwa. Z tych najsmutniejszem okazuje się teraźniejszy stosunek osadzonego przez zakon na tronie litewskim Jagiełły

do Krzyżaków, jego sprzymierzeńców i mistrzów. Było to stosunek zupełnej uległości. Obaczym jej wszechstronność w dokumentach, jakiemi Jagiełło musiał zapisać się zakonowi w nieszczęsnej chwili, mającej być błogiem dla Niemców uwieńczeniem całago obecnego przesilenia narodowego w Litwie.

Jestto właśnie chwila onego zjazdu z W. mistrzem krzyżackim, na który zawezwał go Jagiełło w tym samym czasie, kiedy niemniej przychylny Niemcom nowy władca również upokorzonej Polski, owszem sam Niemiec z Luksemburga Zygmunt, zaprosił W. mistrza na poufną u granic polskich rozmowę. Upadek bowiem Kiejstuta zdarzył się prawie jednocześnie z śmiercią króla Ludwika, w miesiącu sierpniu r. 1382. Jednocześnie też i wstrząśniona zmianą koszycką Polska pod swoim nowym „panem," Niemcem Zygmuntem, i rozkołatana obaleniem dawnego porządku Litwa pod swoim nowym z Niemcami sprzymierzonym władcą Jagiełłą, kłonią się do stóp tryumfującego zakonu niemieckiego, przed jego nowo obranym W. mistrzem Konradem Czolnerem de Rotenstein.

I trudno zaiste orzec, który z obudwu sąsiednich ludów smutniejszego w tej porze doświadcza upokorzenia. Polska pocieszała się dotąd nadzieją, że przy spodziewanym po śmierci króla Ludwika rozdziale koron węgierskiej i polskiej zabrana przez Węgrów Ruś Czerwona będzie mogła powrócić do Korony, a tymczasem musiała teraz patrzeć spokojnie, jak stary Gedyminowic Lubart, książę na Łucku i Włodzimierzu, po śmierci Ludwikowej przekupił starostów węgierskich w grodach czerwonoruskich i wetując na Polsce pognębienie Litwy przez Niemców, zagarnął pod panowanie Litwy mnogie „pracą i krwią polską nabyte zamki," jakoto Krzemieniec, Olesko, Przemyśl, Grodło czyli Horodło, Łopatyn, Śniatyn i inne. Taka nowa zniewaga padła teraz Polsce ze strony Litwy. Litwa zaś upraszając W. mistrza o zjazd, który tylko zakonowi przynosił zaszczyt i korzyść, musiała wzajem doznać zniewagi, iż W. mistrz krzyżacki nie ra-

czył przyjąć osobiście hołdu Jagiełły, lecz spiesząc na zjazd z Zygmuntem, wyprawił do Litwy na umówioną wyspę na rzece Dubissie tylko marszałka zakonu, Konrada Wallenroda, z mistrzem inflanckim i kilku urzędnikami.

Z Jagiełłą nadpłynęli statkami na Dubissę owdowiała W. księżna Olgierdowa Julianna, obdarzony niedawno Kiejstutowem księstwem trockiem brat Jagiełłów Skirgiełło, tudzież młodzi Jagiełły bracia Korybut, Langwenij, Korygieł, Wigand i Swidrygiełło. Mimo nieobecności W. mistrza zgromadził zjazd na Dubissie wiele nader pamiętnych osób. Ze strony litewskiej czuwała nad W. X. Jagiełłą biegła w światowych sprawach matka Julianna, wraz z młodszym Jagiełły bratem Skirgiełłą, pierwszą teraz i później po W. księciu osobą Litwy. Pomiędzy Krzyżakami celował zwłaszcza nowy marszałek zakonu Konrad Wallenrod. Lubo w historycznej rzeczywistości niepodobny do obrazu imaginacyi poetów, nie przestawał on przeto uderzać oczu ludzkich ponurym urokiem osobliwszego zjawiska. Owszem, będąc później przez lat kilka głową zakonu niemieckiego, przedstawi się on wtedy jako istne uosobienie wszelkich rysów charakteru Krzyżactwa, jako zagadkowe dziwowisko pokory, buty, podstępu, zuchwalstwa i nienawiści. Ważność poruczonych mu teraz układów z Jagiełłą rozpoczynała godnie zawód późniejszej jego znamienitości. Sześć całych dni trwały układy. Co w nich na korzyść zakonu postanowiono, zostało spisane w trzech ważnych dokumentach niemieckich. Pierwszym oddaje Jagiełło wraz z rodziną zakonowi niemieckiemu na własność cały kraj żmudzki od morza aż po rzekę Dubissę. Drugim przyrzeka Jagiełło w imieniu braci i ludu przyjąć w przeciągu czterech lat chrześcijaństwo. Trzecim porucza się Jagiełło z całym krajem zwierzchniczej opiece zakonu, obowiązując się pomagać mu we wszystkich jego wojnach i przedsięwzięciach, a nie podejmować ze swo-

jej strony żadnego przeciw nikomu kroku „bez rady, wiedzy, i zezwolenia zakonu."

Ważność tych ofiar i zobowiązań nie potrzebuje bliższych objaśnień. Dla tem pewniejszego obalenia pogańskiej narodowości w Litwie zostaje najwarowniejsza twierdza pogaństwa, Żmudź, poświęcona darem Krzyżactwu. Po próżnym śmiechu Gedyminowiców z onego niegdyś wezwania na chrzestną ceremonię w Wrocławiu przyszło przecież do poniewolnego przyzwolenia na takąż ceremonię w samejże Litwie. Trybem wszystkich upadających państw wstąpiła Litwa w przymusową spółkę wojny i pokoju z wrogiem śmiertelnym. I nie dość jeszcze na tem. Dopiero niebawem po tym zjeździe na Dubissie dostał się Witold przez Mazowsze do ziemi pruskiej. Krzyżacy przyjęli go uprzejmie, gdyż w razie sprzeniewierzenia się Jagiełły służył im syn Kiejstutów za nader szczęśliwe narzędzie nowego zawichrzenia i nowego zaboru Litwy, a to w takiżsam sposób, w jaki Jagiełło niedawno posłużył przeciwko Kiejstutowi. Czy z Jagiełłą, czy z Witoldem w ręku, panował zakon nad całą Litwą.

Do tego stopnia poniżenia i uległości przywiedli owi pokorni prostaczkowie Krzyżacy Litwę nieszczęsną. Nie mniejszego upokorzenia doznała od nich Polska od czasów najdawniejszych aż do lat Kazimierza W. Oba te sąsiednie narody upadały pod brzemieniem zakonu, pana Prus, Inflant, Pomorza, Żmudzi, zwierzchnika Jagiełły, sprzymierzeńca polskiego Zygmunta Luksemburczyka. A krwawe to brzemię gniotło tem niebezpieczniej, iż cała zachodnia zagranica, w szczególności niemiecczyzna, spółpracowała z nim nad dziełem przywłaszczenia sobie tych dziedzin wschodniej Europy. Toć równocześnie z zagarnięciem Pomorza i Żmudzi przez Niemców krzyżackich zagarnęła niemiecczyzna luksemburska cały Szlązk polski, wdzierała się niemiecczyzna naddunajska do Węgier. W takim składzie rzeczy nie cho-

dziło już dziejom o Polskę albo o Litwę z osobna, lecz chodziło o całą słowiańską Europę. Potęga krzyżacka przestawała być potęgą someгoż zakonu, a biła w Słowiańszczyznę jako najbliższa, najgwałtowniejsza fala powszechnego nacisku zachodu na wschód, fala starodawnego nawału teutonizmu na Słowiańszczyznę. Nie dostawałoby ostatecznego opowiadaniom niniejszym uzupełnienia, gdybyśmy osobnym rzutem oka nie spojrzeli na to rozhukane morze teutońskie, które tak zajadle tłukło o nasze brzegi. Dopiero z tej górującej nad całym widnokręgiem wyżyny odsłania się najogólniejszy pogląd na wypadki świata tamtoczesnego, i uczymy się oceniać ważność tych drobnych na pozór zdarzeń, które się przed naszemi odgrywają oczyma, a z których tak wielkie nakoniec wypłynęły następstwa.

VIII. TEUTONIZM.

Pierwotne zabory Niemców w ziemiach słowiańskich. — Opasanie Polski zewsząd od Niemców. — Cała wschodnia Europa zagrożona od teutonizmu — Skargi narodów na niemieczczyznę. — Łatwość parcia teutonizmu na wschód.—Różne rodzaje zamachów teutońskich na Słowiańszczyznę. — Uroszczenia cesarskie. — Wpływy duchowne mniej niebezpieczne.—Drapieżność rycerska. — Powszechne zbójectwo w Niemczech.—Świadectwa o tem dawne i nowsze.—Zbory kupieckie.—Wzrost Hanzy na gruzach dawnego handlu Słowian.—Wyłączność handlu i napływ osadników kupieckich.— Osadnictwo wiejskie.— Co teutonizm przynosi Polsce.—Wykluczenie krajowców od ziemi i swobód obywatelskich. — Dzikie obyczaje osad niemieckich. — Rozkrzewienie guseł i zabobonów.—Kuglarstwo, pijaństwo i szulerstwo.—Trudne usiłowanie oporu.— Gęste ślady obczyzny.— Władysław Biały przykładem zcudzoziemczenia.— Historya błędnych wędrówek Władysławowych.—Przyszły król polski Zygmunt. — Główne rysy jego obrazu w latach późniejszych.

Ciemięzki wpływ sąsiedztwa teutońskiego tem boleśniej czuć się dawał Polakom, iż ciężył właśnie

temu z narodów, który nad wszystkie inne cenił sobie miłość sąsiadów, brzydził się sąsiadem nieużytym. „Toż mocno cierpisz, mój bracie—rzekł Łokietek na płowieckiem pobojowisku do skłutego trzema niemieckiemi kopiami szlachcica, klejnotu Koźlerogi—a szlachcic na to: „Nie tak bolą trzy kopie w jelitach, mości królu, jak zły sąsiad w tej samej wiosce".

Ale mógłby też kto zapytać: „Jeźli sąsiedzkie pożycie Teutonów z Polską tak gorzkie niosło owoce, czyż nie równa w tem wina Polski, jak Niemców?" Na to niech nam sami Niemcy dadzą odpowiedź. Pisze po kilkuwiekowem sąsiedztwie obu narodów jeden z książąt niemieckich do drugiego, odwodząc go od niepotrzebnej wojny z Koroną: „Polska położeniem swojem zasłaniała Niemców zawsze od napaści narodów barbarzyńkich, była dogodną sąsiadą wszystkim ludom ościennym, nie zaczepiała, ani uciemiężała nikogo, i na własnych przestając miedzach, pozostawiała każdego w spokojnem posiadaniu swojej własności".

Jakimi zaś Niemcy okazywali się w stosunkach sąsiednich z narodami, niech odpowie za nas pisarz tego z ludów europejskich, któremu Niemcy najmniejszą dokuczenia mieli sposobność. Jest to spółczesny Jadwidze kapłan i historyk francuski, obeznany w uderzający sposób z obyczajami wszystkich ludów ówczesnych. Szeroko też o każdym rozwodząc się w swojem dziele, bywa on dla wszystkich bezstronnym i życzliwym, nawet o gnębiących ówczesną Francyę Anglikach wyraża się z niezwyczajnie przyjazną pobłażliwością, a o Niemcach cóż pisze? Znużylibyśmy cierpliwość czytelników, gdybyśmy przytaczać chcieli wszystkie dotyczące ustępy. Oto kilka przykładów:

„Niemcy z natury są ludzie nieokrzesani i tępego pojęcia, chyba gdzie chodzi o łowienie korzyści, bo do tego mają dosyć dowcipu i zręczności... Niemcy nie dotrzymują nikomu słowa i niczego nie dochowują, co kiedykolwiek przyrzekli, albo o co

układ zawarli... Niemcy są strasznie chciwi... Niemcy są tak chciwi, jak żaden inny naród, i nie mają miłosierdzia nad nikim, skoro władzę nad nim posiędą; a jeńców swoich sadzają do więzień bardzo ciasnych, i zakuwają ich w obręcze bardzo kunsztowne i kolczaste, i używają przytem różnych innych narzędzi i przyborów więziennych, na których wymyślaniu doskonale się rozumieją, aby większy okup wymusić od swoich jeńców... Ludzie Niemcom podobni gorsi są od Saracenów i pogan... Przekleństwo Niemcom! To ludzie bez czci i serca, i nie należałoby nawzajem litości mieć nad nimi".

Mamyż przydać ku temu, co o Niemcach piszą południowi sąsiedzi Włosi, co o nich mówią północni Normanowie, czem oni są wschodnim Czechom i Węgrom? Dla Włochów Niemcy „Gadem i padalcami"; u Normanów o nich przysłowie: „zły, jak Niemiec"; u Czechów toż samo z małą odmianą: „dobry, acz Niemiec"; Węgrom Niemcy „szarańczą". A sobież samym, w własnych progach domowych, czemże Teutonowie za dni Jadwigi? „Kupą łotrów"—odpowiada spółczesny legat papieski. „Rzeszą zbójców — wtórzą dwaj dziejopisowie dzisiejsi, Niemcy o Niemcach: *Germania tota nunc unum latrocinium... Das deutsche Reich war zu einer Räuberhöhle geworden... war der eigentliche Räuberstaat.*

Przy takich świadectwach pogląd na dzieje teutonizmu, jak onemu poecie rzymskiemu wiersz o narodzie upadłym, staje się poniewolnie satyrą. Ale satyra to pełna krwi rozlewu i łez, pełna mordów i zdrad, przez długi szereg pokoleń sroga sąsiadom. Doznali jej żądła i jadu wszyscy, a ze wszystkich, którzy więcej nad sąsiada od wschodu, nad biednych Słowian. Nie powściągnęły wprawdzie Niemców ani Alpy od zamachów na południowy półwysep włoski, ani olbrzymi wał króla Danów od pokuszania się o północny półwysep duński, lecz w obudwóch tych krajach panowanie teutonizmu skończyło się na krwawych uroszczeniach, w słowiańskich zaś stronach na

całkowitem wytępieniu lub jarzmie. Już przed sześciu wiekami wdarłszy się w nadelbiańskie progi dziedzin słowiańskich, przedzierał się teutonizm coraz głębiej w ich wnętrza, znacząc każdy krok nowym gwałtem, każde półwiecze nowym podbojem. Uległy w ten sposób z kolei wszystkie pograniczne ludy słowiańskie, posuwały się coraz dalej graniczne słupy Niemiec.

Pod tą kilkuwiekową burzą teutońską gdzież się podziało owo możne państwo słowiańskich Obotrytów nad Elbą, tylu dziwnemi przygodami miotane przed swym upadkiem? Gdzie owa rzesza lutycka wzdłuż brzegów Odry, tak walecznie i tak długo odpierająca ciosy teutońskie? Gdzie osobliwie potęga wielkomorawska, samym Niemcom tak niebezpieczna? Wiek po wieku niósł im teutońskim mieczem zagładę, teutońskie grabstwa i margrabstwa dźwigając z ich rozwalin. Na gruzach księztw lutyckich i obotryckich wylągł się rój nowych margrabiów saskich, brandenburskich, myszeńskich, z których, zwłaszcza drapieżcy na Brandenburgu dojęli srodze Słowianom. Ze zgliszczów morawskich urośli margrafowie karyntccy i rakuzcy, chciwi oddawna całej wielkomorawskiej puścizny w Węgrzech.

W pośrodku tylu nowowzniesionych baszt teutonizmu starały się napróżno ocalić Czechy. Zasłonione górami, stawiły długi opór, aż nakoniec uległy. Ziemia czeska weszła w skład ziem niemieckich, książęta czescy zamienili się w hołdowników teutońskich. Jeszcze wprawdzie płynęła w nich krew słowiańska, ale wmieszani w tłum owych grafów, margrafów i książąt rzeszy teutońskiej, zniknęli z czoła plemienia rodzinnego. Ubyła ogromna część Słowiańszczyzny, przybyła druga połowa Niemiec. I szła coraz dalej naprzód burza teutońska.

W tym dalszym jej postępie jedyną zawadą stanęła Polska. Oparta niegdyś z jednej strony o Bałtyk, z drugiej o Dunaj, umiała ona za Bolesławów straszną być Niemcom, ale po usunięciu się zacho-

dnich ścian słowiańskich uczuła także nacisk teutoński. Z przodu od szląskich i brandenburskich wybrzeżów Odry, z boku od baltyckiego Pomorza, rozwarły się szerokie wyłomy teutonizmowi. Na Pomorzu baltyckiem zagnieździł się zakon Niemców krzyżackich, i sprzymierzony z Niemcami mieczowymi u pobrzeży inflanckich, ścisnął Polskę żelazną od północy obręczą. Od przodu z nad Odry brandenburczyków, zaborców szerokiej przestrzeni ziem pogranicznych, zabójców Przemysława. Nad szląską Odrą szereg zniemczałych książąt krajowych chylił się coraz widoczniej w poddaństwo Niemcom. Ze Szląska wdzierała się niemiecczyzna w dalszą głąb Polski, w mury głównych stolic królestwa. Hołdownik cesarstwa, Wacław, zasiadł na tronie polskim. Za jego następcy Władysława Łokietka zwolniało wprawdzie brzemię teutońskie, ale oto wkrótce nowe zewsząd niebezpieczeństwo.

Z nastaniem wieku XIV wygasły starodawne rody królewskie w Czechach i Węgrzech. Do obudwu opróżnionych tronów rzucili się z pośpiechem pretendenci niemieccy. Zniemczone oddawna berło czeskie stało się wistocie łupem teutońskich książąt na Luksemburgu. Z opanowanych szczęśliwie Czech urościli sobie Luksemburzanie prawo do Polski, jakoby od czasów króla Wacława przynależącej berłu czeskiemu. Nie mogąc całego owładnąć państwa, owładnął dom luksemburski przynajmniej część znakomitą, posiadł jako najwyższy zwierzchnik dzielnice szląskie. W jednym i tym samym czasie teutońscy Luksemburzanie przyjmowali hołd wierności od książąt szląskich, teutońscy margrabiowie na Brandenburgu uklecili sobie nową prowincyę z odrywków ziem wielkopolskich, teutońscy Krzyżacy urządzali się potężnie w wydartem Polsce Pomorzu i grozili królowi Kazimierzowi: „Aż do Krakowa mieczami naszemi ścigać cię bedziemy".

Podobnież i w Węgrzech nie zawiodły nadzieje Niemców. Nie utrzymał się wprawdzie po wygaśnię-

ciu Arpadów niemiecki do korony pretendent, ale nowi królowie Węgier z domu andegaweńskiego sami Niemcom najfortunniejsze otwierali widoki. Drugi król ze krwi andegaweńskiej, Ludwik, nietylko jak najszerzej uchylił wrota teutonizmowi, ale własne córki i dziedziczki państw swoich teutońskim przeznaczył zięciom. Po długich znojach i zawodach dobili się w ten sposób teutońscy książęta na Rakuziech uroczyście zapewnionego sobie następstwa w Ludwikowem państwie węgierskiem, teutońscy Luksemburzanie w Ludwikowem królestwie polskiem. Bądź to natręctwem obłudnem, bądź zuchwalstwem dzikich uroszczeń, bądź drapieztwem przygodnem, albo podbojem, zdążało „chciwe, jak żaden inny naród". Teutoństwo do zagarnięcia większej połowy Słowiańszczyzny.

Owszem, o całej się im roiło. Boć o ileż to dalej od krzyżackiego Pomorza i zaręczonych posagiem Węgier sięgała „zbójecka" chciwość Teutonów. Pochłonąwszy już Prusy, była ona blizką opanowania Litwy, posiadła w rzeczy Inflanty i Estonię, wdarła się do Pskowa i Nowogrodu, zamyślała podbicie Rusi. A bogaci w coraz nowe wymysły popierania swoich celów zaborczych, walczyli Teutonowie innym wszędzie orężem, różnemi naraz środkami. Prusy i Estonię podbijał gwałt wojenny, do Nowogrodu i Pskowa wciskał się Teutonizm za pomocą wypraw i osad handlowych, Litwę i Ruś darował Krzyżakom przywilejem cesarz Ludwik Bawarczyk. Jakichże więcej posiłków mógł życzyć sobie teutonizm, dokądże dalej sięgnąć miały jego zamachy?

Już i w dotychczasowem rozpostarciu się swojem wywołały one gorzki lament narodów. Ze wszystkich dotkniętych plagą teutońską krajów brzmią od dłuższego czasu żałośne skargi na ciemięztwa Teutonów, brzmią tak podobnemi do siebie słowy, jak podobną była niedola, z której wszystkie płynęły. Skarżą się takiemi skargami jednocześnie Węgrzy, Czesi, Polacy, biorąc je w smutnym spadku po zamierają-

cych już ludach słowiańskich między Elbą a Odrą. Oto kilka głosów z tego osobliwszego chóru wyrzekań wielu gnębionych ludów przeciw jednemu gnębiącemu.

Już przed dwoma wiekami wzywają uciśnięci od Niemców Węgrzy również zagrożonych Polaków ku pomocy przeciwko teutonizmowi, upominając ich do wspólnego oparcia się pożarowi. „Gdyż o waszą własną rzecz chodzi — pisze władca Węgier do króla Polski — gdy dom sąsiada w płomieniach. Jakoż nie po co innego przedarła się aż do nas szarańcza allemańska, jak tylko, aby po rychłem, co nie daj Boże, pożarciu winnic naszych, tem łatwiej polskie ogarnąć niwy". A dalsze lata zamiast umniejszyć niedolę, jeszcze więcej przysporzyły jej cierni. Toż niezadługo po czasach naszej powieści skarżą się znów stany królestwa węgierskiego w liście do stanów polskich: „Postanowiliśmy obwieścić wam rzeczy raczej wiadome, niż obwieszczenia wymagające... o gnębiących nas zewsząd Teutonach, którzy, lubo zawsze udaną przyjaźnią, czyli raczej wrodzoną i niczem niepowściągniętą uciskali nas nieprzyjaźnią, teraz przecież zasłonę wrogich zamiarów swoich otwarcie z siebie zrzucili i naszą niecnym sposobem uprowadzoną koronę jeszcze niecniej więżą w swych ręku, rozsiewając przytem na wszystkie strony nasiona waśni, zkąd jak mnogie i jak wielkie wyniknęły rozterki, nienawiści, potwarze, pokrzywdzenia, mordy i napady wzajemne, jawno jest światu całemu."

Jeszcze żałobniej od Węgrów przemawiają Czechy głosem swojego króla Przemysława Ottokara, który w przedjutrzu śmiertelnego boju z Niemcami odzywa się do Polaków: „O! mnogie są powody, któreby was powinny skłonić do dania nam pomocy. Bo, jeśliby, co nie daj Boże, przyszło nam upaść pod jarzmem państwa rzymskiego, natenczas nienasycona żądza Teutonów wzmogłaby się tem chciwiej, a jej zbrodnicze dłonie sięgnęłyby aż do waszej krainy. Jesteśmy bowiem wam i ziemiom waszym, jakoby

mocnym obrony szańcem, który, gdyby, co Boże odwróć, nie zdołał zdzierżyć szturmu, wielkie, możecie być przekonani, spiętrzyłyby się nad wami i ludem waszym niebezpieczeństwa. Niecierpliwa bowiem chciwość zaboru nie przestałaby na nazzem tylko poddaństwie, lecz rzuciłaby się także na wasze włości, wywierając i na was tyranię swoich do niezniesienia uciemiężeń. O w jakąż to niedolę popadłaby wówczas znienawidzona Teutonom narodu waszego rojność! O, jak srogiej niedoli jarzmo przygniotłoby wolną natenczas Polskę! O, jakże bolesna klęska zakrwawiłaby wtedy wszystką narodu waszego społeczność! Zaprawdę, godzi się czuwać! I nie wszystko jeszcze wypisaliśmy. Jest więcej klęsk, których powinniście się obawiać, niż słów któremi przestrzegać was możemy. Dlatego przybywajcie w pomoc nam, przybywajcie!"

Jakoż w kilka już lat po tej przedśmiertnej odezwie Przemysława podnosi duchowieństwo polskie z głębi kraju, z Łęczycy, wielką skargę w sprawie Kościoła i narodu. Skarga to u progów stolicy apostolskiej, na trudny do odparcia nacisk Teutoństwa biadająca. „Szlachta i wieśniactwo teutońskiego imienia szerzą po wszystkich stronach Polski cudzoziemczyznę, zagartują sioła i różne inne miejsca, dawną własność Polaków... I ileż to innych klęsk namnożyło się w ziemi naszej przez najście cudzoziemców! Polski bowiem naród musi ponosić od nich uciemiężenia i wzgardy i napady wojenne. Wydzierają mu zacne prawa i obyczaje ojczyste, więżą go we własnych zagrodach, niespodzianemi śród ciszy nocnej trapią go napaściami, a co jeszcze nierównie grzeszniej, naruszają wolność kościoła... Zaczem przez wzgląd na krzywdę Bożą i naszą, przez wzgląd na wieczyste niebezpieczeństwo narodu naszego, niech będzie dana pomoc upadkowi naszemu!"

Do iluż to podobnych skarg przeciwko teutonizmowi dało powód zdradne owładnięcie Pomorza! Ileż odzywało się jednocześnie z innych stron świata,

z ziem niesłowiańskich! Razem ze skargami Słowian od wschodu złorzeczyły teutonizmowi w stronach południa Włochy, na północy Dania normańska. Oprócz przytoczonych powyżej wyrazów gniewu, pełne po dziśdzień tych złorzeczeń karty kronik obudwóch krajów, usta ludów obudwóch. Niepowtórzonym w dziejach przykładem stali się Teutonowie dla wszystkich okolicznych narodów przedmiotem głębokiej nienawiści, przez samychże Niemców wnoszonej wszędy i podsycanej bez przerwy.

Co tu bowiem powiedziano o nawale teutonizmu ku słowiańskiemu wschodowi, powtórzyło się tem samem wytężeniem, lubo z nierównie mniejszym skutkiem, u południowych granic we Włoszech i u granic północnych w Danii. Wszędzie teutonizm w przeróżnej postaci występował jako pretendent do panowania, wszędzie tąż samą bronią gwałtów i podstępów wojował. Co Niemcy dzisiejsi dla wytłómaczenia siebie samych mienią jakiemś niby od przeznaczenia wskazanem parciem na wschód, to było i jest właściwie parciem na wszystkie strony, dokądkolwiek śmiała i zdołała przedrzeć się chciwość. W szczęśliwszych od Słowiańszczyzny stronach południa i północy wzmogły się z czasem przeszkody, które znacznie pohamowały prąd teutonizmu. We Włoszech posłużyły ku temu Alpy, morska nadbrzeżnych miast potęga, wroga teutonizmowi władza papieska, później współzawodnictwo innych narodów. W stronach skandynawskiej północy oparły się Niemcom podobnież wyspy, potęga morska, a nadewszystko ubóstwo ziemi, nie zachęcającej do osadnictwa. Brak tych wszystkich hamulców w stronie słowiańskiej przejął Niemców tem gwałtowniejszą namiętnością parcia na wschód.

Nie przeznaczenie atoli, ani jakiś tajemny popęd wewnętrzny, ale bardzo zrozumiałe przyczyny zewnętrze wiodły Niemców w tę stronę wschodnią. Ciągnęły ich tam bezbronność granic, łagodność plemienia, żyzność ziemi, brak spółzawodnictwa potę-

żniejszego. Korzystając z tak szczęśliwie ułatwionego sobie przystępu do Słowiańszczyzny, a widząc zamkniętą drogę na południe, zachód i północ, rzucił się teutonizm z tem większą gwałtownością na gościnne obszary wschodnie. Rzucił się na nie przed blizko sześciu wiekami, a w obecnej chwili góruje nad większą połową ludów słowiańskich i ma zaręczone sobie panowanie w Polsce i w Węgrzech, zwierzchnictwo w Litwie. Rzucił się na przeciwnika, według zwyczaju teutońskiego, przeróżną naraz bronią, gnębiąc jednocześnie uroszczeniami mniemanej wszechwładzy cesarzów rzymskich, powagą i napływem drużyn duchownych, zbrojnemi napadami rycerstwa, gwałtownem natręctwem kupców i osadników miejskich, tłumami osadnictwa wiejskiego i t. p. Nie masz ani jednej chwili w całym kilkuwiekowym szeregu zapasów Teutonizmu z ludami słowiańskiemi, w którejby ten albo ów z wymienionych tu orężów natarczywości teutońskiej nie spółdziałał razem ku zgubie Słowian, a pojedyncze chwile tej walki dają wnet jednemu, wnet drugiemu pierwszeństwo przed innemi. Z początku srożał teutonizm głównie zamachami wszechwładzy imperyalnej i wpływem duchowieństwa; następnie gwałtem napadów zbrojnych; późniejszemi czasy najtrudniejszym do odparcia naciskiem kupiectwa i osadnictwa cudzoziemskiego po miastach. Mając dać bliższy obraz teraźniejszego górowania teutonizmu na całym widnokręgu naszej powieści, przychodzi nam przypatrzeć się z kolei górowaniu każdego z tych żywiołów teutońskich w Polsce XIV stulecia.

Uroszczenia imperyalne znacznie w tych czasach zfolgowały. Nieszczęśliwa walka Hohensztaufów ze stolicą rzymską i wynikłe ztąd klęski ostatecznego przez długie lata bezrządu Niemiec tak dalece poniżyły władzę cesarską, iż niepodobna było myśleć o zamachach zewnętrznych. Na ogołoconym ze wszystkich zaszczytów tronie cesarskim osiadali potomkowie nowych, nic nieznaczących podówczas domów Austryi

i Luksemburga, którzy zaledwie we własnym kraju liczyć mogli na uznanie i posłuszeństwo. Mimo to nie ztępiały całkowicie rogi uroszczeń imperyalnych, a ten sam cesarz, Ludwik Bawarczyk, który tylko z największą trudnością utrzymać zdołał berło niemieckie, przybierał pozory rozdawacza koron ościennych i, mniemając się samowładnym panem Litwy i Rusi, oddał oba te kraje pisemną darowizną Krzyżakom. Jego następca, Karol IV, ponosić musiał najsroższe upokorzenia od własnych książąt, a gdy poseł polski u jego dworu nie przypuszczał zwierzchnictwa cesarskiego nad Polską, zdumieni taką zuchwałością ministrowie cesarscy poduszczali się wzajemnie do obmyślenia pory, „w którejby karki barbarzyńskich Polaków złomać można jarzmem powagi cesarskiej." Próżno na teraz było zaliczać Polskę do podnóżków cesarstwa, ale za lada promieniem słońca nad teutonizmem, a omrokiem nad Polską, odezwać się mogły najzapamiętalsze uroszczenia dawniejszej daty.

Wespół z władzą cesarską pracowało niegdyś nad zniewoleniem Polski dachowieństwo niemieckie. Mianowicie początkowe dzieje naszej ojczyzny miały do walczenia z tym duchownym orężem teutonizmu. Atoli ta sama potęga papieska, której się powiodło złomać zwierzchnicze zachcenia królów niemieckich, przyczyniła się także do uwolnienia Polski od duchownych zamachów z Niemiec. W tej samej porze, kiedy po upadku Hohensztaufów w zapasach z papieżami runęła dotychczasowa powaga rzeszy teutotońskiej, rzuciło się duchowieństwo ziem polskich do stanowczego otrząśnienia z siebie ostatniej resztki wpływów teutońskich. Nastały owe pamiętne za czasów Leszka Czarnego uchwały synodalne, wzbraniające dotychczasowego wykluczania Polaków od niektórych niemiecko-zakonnych zgromadzeń w Polsce, wymagające od plebanów znajomości języka krajowego, a tem samem wykluczające Niemców od sprawowania kościołów polskich i t. p.

Obudzony podówczas opór przeciw duchownemu natręctwu Niemców tem szczęśliwsze miał powodzenie, im jawniejszą była moralna nieudolność duchowieństwa krajów niemieckich. W owym wieku XIV, którego wszelka uczoność skupiała się prawie wyłącznie w stanie duchownym, bywały w Niemczech zgromadzenia duchownych wyższego rzędu, z których żaden czytać, ani pisać nie umiał. Świadczy o tem list kanoników zurychskich do biskupa w Konstancyum, skreślony w r. 1335 ręką najętego umyślnie notaryusza, a przepraszający [illegible]asterza w imieniu kanoników, iż dla nieumiejętności pisania cudzej używają pomocy. Kiedy ze wszystkiego duchowieństwa owych stuleci duchowieństwo klasztorne najwyżej górowało wszędzie nauką, niemieckie klasztory ostatnie na tem polu trzymały miejsce. Dowodem tego niemieckie klasztory pod panowaniem krzyżackiem w Prusiech, o których dzisiejszy dziejopis zakonu teutońskiego przymuszony jest wyznać: „Klasztory pruskie nic dla oświaty nie uczyniły i nie umielibyśmy nazwać ani jednego opata albo mnicha pruskiego, któryby odznaczył się nauką."

Dzięki tej niższości umysłowej, nie zdołało duchowieństwo teutońskie wytrzymać współzawodnictwa z jakiemkolwiek duchowieństwem świetlejszem, zwłaszcza krajowem. Od dłuższego też czasu upadła już dawna jego przewaga w Polsce, ale nie obeszło się bez znacznych jeszcze śladów przeszłości. Mimo zakazów synodalnych, trwały niemieckie klasztory w Polsce przy swoim dawnym zwyczaju wykluczania Polaków, i przez długie wieki samych tylko Niemców polskiemi karmiły jałmużnami. Z równą zapewne bezskutecznością opierało się ustawodawstwo synodalne napływowi szkodliwszych jeszcze gości duchownych z Niemiec, t. j. księży wyklętych, albo usuniętych za karę od obowiązków we własnej ojczyźnie, szukających nie napróżno swobody i chleba w Polsce. Tak ci banici duchowni, jak i owi pasorzyci klasztorni, nie mogli niczem odwdzięczyć się za ugoszczenie, a przy-

nosili z sobą do Polski przykłady najszpetniejszych zdrożności. Jakież bowiem mogły być obyczaje podobnych zbiegów teutonizmu w stroju duchownym, jeżeli poważani we własnym kraju dostojnicy kościoła teutońskiego tak sromotny pędzili żywot, jak tego przykład dali arcybiskup magdeburski Ludwik, arcybiskup koloński Adolf i mnodzy inni wyższego i niższego rzędu prałaci.

Arcybiskup Ludwik tuż po śmiertelnej przygodzie naszego biskupa krakowskiego Zawiszy skończył śmiercią niemniej światową, bo w stroju świeckim tańcząc na bankiecie z damami, przywalony od gruzów zapalonej w powszechnym zgiełku sali balowej. Arcybiskupa Adolfa liczy historya do najzapalczywszych zwolenników powszechnej teraz w Niemczech zbójeckości rycerskiej, grasującej zarówno pomiędzy szlachtą świecką, jak i duchowną. Kiedy arcybiskup jednego razu świeżą załogą osadził któryś ze swoich burgów, przyszedł do niego nowy dowódca zamku, pytając, o czem ma żyć z załogą? Na to arcybiskup zaprowadził go do okna i, pokazawszy mu krzyżujące się u stóp góry zamkowej gościńce, rzekł: „Oto cztery drogi dokoła zamku.” A właśnie duchowieństwo teutońskie najbliższych granicom polskim okolic, jak np. duchowieństwo owych klasztorów niemieckich na Szlązku, o których swawolnem życiu poprzednio już była wzmianka, najszpetniejszemi odznaczało się obyczajami i najszkodliwszy wpływ wywierało z tego względu na duchowieństwo ziem polskich.

O ileż jeszcze szkodliwiej i srożej dojmowało sąsiedztwo teutońskie orężem świeckim, drapieżnością rycerską! Chcąc sobie bliższe o niej zrobić wyobrażenie, należy teraźniejszych rycerzów teutońskich poznać przedewszystkiem w ich własnych stronach rodzinnych, w pożyciu z własnymi ziomkami i sąsiadami. Owoż ledwie nie każdy owego czasu rycerz niemiecki — przytaczając nadmienione powyżej własne słowa Niemców o Niemcach—był w swojej ziemi ojczystej „zbójcą.” Wszelkie inne prawa umilkły,

a jedynym pożycia ludzkiego sterem, jedyną spraw i stosunków społecznych przewodnią, stało się tak zwane „prawo pięści," prawo fizycznej przemocy, prawo gwałtu jawnego. Tak idealną w swoich normańsko-francuskich pierwiastkach instytucyę rycerstwa spotworzyli rycerze teutońscy w jakąś systematycznie uorganizowaną bandę rozbijających się wzajemnie łupieżników. Co u owych nieteutońskich narodów miało pierwotnie charakter religijnego w pewnej mierze zakonu, to na ziemi teutońskiej wyrodziło się w jakąś hydrę stugłową, wydało z siebie pod tchnieniem geniuszu teutońskiego osobny rodzaj tak zwanego rycerstwa rozbójniczego, tak zwanych rycerzy i zamków rozbójniczych, niemieckich *raubritterów, raubburgów.*

Niezmiernie dawnych czasów początkami swemi sięgając, doszedł ten stan barbarzyństwa w ostatnich dwóch stuleciach do najwyższego szczytu zdziczenia. Cała prawie historya Niemiec ościennych w latach naszej powieści ogranicza się na same układy o zaspokojenie kraju od wszechstronnych wybuchów rozbójnictwa. Układy te były najczęściej bezskuteczne, gdyż sami książęta panujący wspierali rozbójników, dzieląc się z nimi łupieżą. Owszem, niektórzy książęta rzeszy niemieckiej myślą jedynie dlatego o detronizacyi swego króla Wacława, ponieważ im wzbraniał rozbojów. Toż wzmogło się teraz w Niemczech zbójectwo powszechne do tego stopnia, iż zaproszony w gościnę przez króla niemieckiego książę Brunszwicki nie śmie dla niebezpieczeństwa gościńców wyruszyć w odwiedziny do Pragi. A lękliwe jego przeczucie nie było zaprawdę bezzasadnem. Gdy bowiem książę po latach kilkunastu ośmielił się w towarzystwie drugiego księcia wyruszyć z domu, napadli go w istocie rycerscy rabusie w drodze i śmierć mu na gościńcu zadali. Całe pożycie społeczne Niemiec zdawało się podówczas tylko dwoma tchnąć uczuciami: żądzą łupieży i obawą rozboju. O pierwszem świadczą wszystkie przytoczone tu rysy, drugie zaś jakże

charakterystycznie maluje się np. w radości jednego z niemieckich opatów owej daty, gdy w kronice swego klasztoru ma nadmienić o przesiedleniu się zakonników z bezbronnej siedziby na wsi do obwarowanego od zbójców przybytku w mieście. „Mieszkało tedy zgromadzenie nasze — mówi opat z ciężkiem westchnieniem — najprzód w Neuenburgu, śród pól, wydane na pastwę rzeszy przewrotnej. O szczęśliwa godzino! o błoga chwilo! o dniu zbawienia! kiedy Pan Bóg raczył przenieść winnicę swoją z Egiptu, okazując nad sługami swoimi miłosierdzie swoje w mieście obmurowanem!"

Przyszłoby osobną napisać książkę, gdybyśmy wyczerpać chcieli cały szereg przypominających się tu przykładów rozpasania bez miary. Przywiedziemy tylko niektóre świadectwa ogólnikowe, pochodzące od zgorszonych takiem zepsuciem cudzoziemców i ziomków współczesnych i dzisiejszych. I tak np. w liście papieża Innocentego III powiedziano o Niemcach: „Mordy, rabunki, pożogi, gwałty najohydniejsze bywają popełniane w dzień biały. Nie masz domu, ani gościńca, któryby bezpiecznym był od nich. Nikt nie broni złoczyństw nikomu, i wszystek też kraj napełnił się złoczyńcami." Jeden z późniejszych legatów papieskich wyraża się krócej, ale nie mniej treściwie: „Cała Germania jest dziś jedną łotrownią." Toż samo powtarzają dziejopisowie dzisiejsi, mówiąc o stanie moralności średniowiecznej w cesarstwie rzymskiem. „Cała Rzesza, pomimo wszelkich zaprzysiężeń spokoju i bezpieczeństwa — prawi opisujący dzieje Austryi średniowieczny kapłan rakuzki — stała się jaskinią zbójców. Książęta, grafowie, szlachta wyruszali na łup, chwytali podróżników, wymuszali na nich okup, plądrowali i palili miasta, miasteczka i wsie." Inny historyk opisuje klęski, zadawane całemu wybrzeżu baltyckiemu od rzeszy zbójców morskich, tak zwanych braci Vitalskich, uorganizowanych w wielką konfraternię zbójecką, która w wydawanych przez siebie pismach przybierała zuchwałą na-

zwę „przyjaciół Bożych, a nieprzyjaciół całego świata," a publicznemi proklamacyami wzywała wszystkich banitów i włóczęgów pod ochrończe skrzydła swojej potęgi. Następnie zaś tenże sam autor pociesza się uwagą, iż cała ta plaga korsarska była o wiele mniejszą w porównaniu z plagą zbójectwa lądowego we wszystkich zakątkach Rzeszy. „Nigdzie kupcy hanzeatyccy — są jego słowa — nie spotykali tyle tysięcy zbójców, jak we własnym kraju, gdyż, bądź co bądź, w każdem zagranicznem państwie panował lepszy ład i porządek publiczny, niż w kraju Hanzy. Ówczesna rzesza niemiecka była w najwłaściwszem znaczeniu rzeszą rabusiów, gdzie z tysiąca a tysiąca burgów wypadała szlachta zdziczała, roznosząca rozbój po okolicy."

Z takiej więc srogości obyczajów rycerstwa teutońskiego we własnej ojczyźnie możemy wziąć miarę o jego sroženiu na cudzym gruncie, nad obcym rodem. A lubo z upadkiem uroszczeń wszechwładzy imperyalnej nad Polską ustały też coroczne niegdyś wyprawy rycerskie w jej granice, nie zabrakło przecież rycerzom toutońskim sposobów do wywarcia na Polsce swoich chuci drapieżnych. Całe zachodnie pogranicze polskie od Szlązka i marchii Brandenburskiej było ustawiczną widownią napadów i grabieży rycerstwa przyległych Niemiec. Nad wyrządzoną tem szkodę w zrabowanych dostatkach szkodziły te łotrostwa Polakom jeszcze bardziej przymusem do odpierania gwałtów gwałtami, do mściwych w przyległej stronie odwetów, zkąd za przykładem sąsiadów zaczęły też w obyczajach nadgranicznej szlachty polskiej pojawiać się chwilowo ślady zepsucia teutońskiego.

Największą atoli krzywdę czyniła rycerska drapieżność Teutonów pod sztandarem krzyżackim, posiłkując częste niedawnych czasów wyprawy zakonu niemieckiego na ziemie polskie. Bez gotowości ryce-

rzów niemieckich do ustawicznego popierania zaborczych celów zakonu, byliby Krzyżacy ani w części nie urośli do tej potęgi, jaka nakoniec uwieńczyła ich panowanie. Ztąd to przypominał zakon raz po razu wszystkim rycerzom i książętom niemieckim, iż mają pod chorągwiami pruskiemi ciągłe pole doświadczenia swojej broni łupiezkiej, ciągłe żniwo obłowów w najeżdżanych z zakonem krajach, a rycerstwo niemieckie spieszyło tłumnie na każdą odezwę wielkich mistrzów. We wszystkich też gwałtach krzyżackich, jak np. przy zdradzieckiem owładnięciu Pomorza, w sprawionych podówczas rzeziach w Gdańsku i innych miastach, w srogich napadach Krzyżaków za Władysława Łokietka na Wielkopolskę i w długoletniej tam po nich ruinie tysiąca zburzonych siół i miasteczek—mieli niepośledni udział owi niezliczeni drapieżnicy z różnych stron Niemiec, owi nielitościwsi zapewne w obczyznie, niż we własnym kraju rabusiowie rycerscy. Głośny zaś swojego czasu rycerz niemiecki, a zarazem komtur w służbie krzyżackiej, który, wyjeżdżając z pękiem stryczków na harce po bezbronnych wsiach polskich, wiązał się ślubem rycerskim nie powrócić pierwej na stanowisko, aż póki na każdym stryczku nie obwiesi jakiego chłopa lub żebraka polskiego — nie jest-że dostatecznym przykładem srogości rycerzy teutońskich na ziemi polskiej?

Czegoż dopiero nie dopuszczało się rycerstwo niemieckie w ziemi pogańskiej, w granicach Litwy albo Estonii! Tam odwaga najwykwintniejszych kawalerów „stołu honorowego"—według przechowanych o tem rycerskich pieśni teutońskich — pastwiła się nad bezbronną drużyną dopadniętych znienacka godów weselnych, nad dziećmi w oczach matek umęczonemi, nad tłumem ludu sielskiego, pędzonym w niewolę chrześcijańską, „jak psy na sforze". A ileż to innych okrucieństw działo się w stronie pogańskiej, o których nie śpiewają żadne pieśni rymopisów niemieckich! Skargi nękanych temi czasy orężem teu-

tońskim ludów, po większej części niepiśmiennych, albo ubogich w słowa pisane, przebrzmiały bez echa w dziejach, a o srogiem udręczeniu biednych pogan estońskich przez Niemców i Duńczyków tylko tyle doszło nas wieści, ile samym współziomkom dręczycielów podobało się zapisać o tem w swoich kronikach. Piszą tedy o tem podwójnem jarzmie nad Estonami sami dziejopisowie niemieccy: „Władzcy tameczni tak srodze obchodzili się z ludem opanowanym, iż sromotę zadawali niewiastom, bezcześcili dziewice, wydzierali majątek właścicielom, małżonków i ojców mieli za niewolników".

Działo się to w tym samym czasie, kiedy pruskie Krzyżactwo, po również morderczem opanowaniu Pomorza, zagarnęło polskie Kujawy. Okropne ciemięztwa najezdźców przywiodły pogańskich Estończyków do powszechnego powstania, w którem jednej nocy przeszło 1,800 gnębicieli wymordowano. Zawezwany ku pomocy mistrz niemieckich kawalerów mieczowych, wracający właśnie z zaborczej wyprawy w ziemię ruską pod Izborsk, opasał zgromadzonych pod Rewlem buntowników estońskich. Znaleźli się oni między dwoma ogniami, z jednej strony przyciśnięci od Danów w Rewlu, z drugiej od Teutonów mieczowych. Naprzód rozpoczęto układy za pośrednictwem kawalerów inflanckich. „Co za przyczyna skłoniła was do tych gwałtów?"—zapytał mistrz niemiecki.— „Toć użalaliśmy się na niedolę naszą — odpowiedziało pogaństwo — na ciemięztwa i krzywdy, jakie musieliśmy znosić od rycerstwa i szlachty obcej. I wolimy raczej zginąć wszyscy pospołu, niż być tak wytępiani. I z tej przyczyny postanowiliśmy zemścić się, co przecież nie stałoby się żadną miarą, gdyby nam byli jakąkolwiek sprawiedliwość wyrządzać chcieli". Poczem, jakoby źle przez tłomacza o treści tych słów oświecony, uderzył mistrz inflancki na Estończyków i przeszło dwanaście tysięcy wymordował. A później nierównie więcej zginęło.

Jeszcze dalej od teutońskich gnębicielów Estonii,

przedarł się teutonizm ku wschodowi w szacie kupieckiej, za pomocą wielkich wypraw i zakładów handlowych. Jest to w obecnej porze najczynniejszy, najniebezpieczniejszy ze wszystkich orężów teutonizmu. Kiedy już ani poniża we własnem gnieździe władza cesarska, ani przykiełzane tem samem zabory duchowne i rycerskie nie zdołały srożeć po dawnemu nad resztą niepochłoniętej jeszcze braci słowiańskiej, chwycił po nich berło zaborczości ucisk handlowy. I godziło mu się wistocie tem słuszniej myśleć o berle i panowaniu, ile że teraźniejszy handel niemiecki w prawdziwie królewską urósł potęgę, a urósł głównie z łupów słowiańskich. Walnem roiskiem handlu niemieckiego w wiekach XIII i XIV były tak zwane miasta hanzeatyckie, leżące u północnych nadbrzeży Elby i morza Baltyckiego, t. j. właśnie w dawnych ziemiach słowiańskich. Tam to, przed wdarciem się Teutonów, kwitnął od najdawniejszych czasów na bursztynnych brzegach Baltyku ów handel starożytny, słynęły owe bogate porty słowiańskie Julin, Wineta, Szczecin i inne, o których wielkości i przepychu tak zdumiewające pozostały nam wieści. Po ujarzmieniu zachodniej Słowiańszczyzny przez Niemców upadł także handel słowiański, runęły całkowicie, albo podupadły miasta nadmorskie, a ich dawne stosunki handlowe przeszły w ręce osiadłej na gruzach słowiańskich niemieczczyzny.

Dzięki utorowanym oddawna drogom handlowym, wzmogły się niebawem nowe osady kupców teutońskich, owszem, do bezprzykładnej z czasem doszły potęgi. Związawszy się w jednę wielką ligę, czyli tak zwaną Hauzę niemiecką, utworzyły one razem jedno ogromne państwo handlowe, złożone z 72 większych i mniejszych miast, utrzymujące swoim kosztem wojska i floty, wojujące szczęśliwie z potężnymi królami. Najdalsze strony północy i wschodu ówczesnego, od Bergen w Norwegii aż po Moskwę u Słowian, uległy handlowej przemocy, niekiedy nawet tyraństwu Hanzy. Możni królowie, jak np. Wal-

demar Duński, musieli zwyciężeni uznać przewagę możnej ligi kupieckiej i uniżyć się do sromotnych warunków zgody, zniewalających np. Waldemara do zaręczenia, iż żaden z jego następców nie posiędzie inaczej tronu, jak tylko za przyzwoleniem Hanzy.

Cała zaś potęga hanzeatycka była tak dalece owocem ziemi i przeszłości słowiańskiej, iż najprzedniejsze z należących do Hanzy niemieckiej miast zachowały przez długie wieki nazwę miast wendyckich, czyli słowiańskich. Były to miasta: Lubeka, Wismar, Rostok, Stralsund, Grypswald, Ryga i Wisby, o których dzisiejszy dziejopis Hanzy upewnia, iż „według wszelkich dawnych i późniejszych wiadomości, położyły główną zasługę około założenia i utrzymania ligi hanzeatyckiej". A ze słowiańskich korzeni do życia wzrósłszy, tyła Hanza dalej słowiańskiemi głównie sokami, pokarmem z dalszych ludów słowiańskich zsanym, dostatkami Polski, ruskiej Litwy i Rusi. Miały te kraje w ten sposób nad karkiem oręż rycerskiego zaboru teutońskiego, a u każdej z głównych żył swoich w murach Krakowa, Gdańska, Wilna, Pskowa, Nowogrodu wielkiego, roje handlowych zsawców Hanzy teutońskiej. Sprawiony tem słowiańszczyźnie ubytek sił żywotnych okazuje się najwidoczniej w przybytku sił i potęgi wytuczonych słowiańską krwią osad hanzeatyckich. W tej mierze wszelka krew rumieniąca oblicze całego kupiectwa niemieckiego, owszem, całego tak bujnie temi czasy rozkwitającego mieszczaństwa ziem niemieckich, upłynęła z pobladłych lic Słowiańszczyzny. Jest to twierdzeniem nie naszem, lecz samegoż niemieckiego dziejopisa rzeszy hanzeatyckiej, który, mówiąc o wyprawach krzyżackich w ziemie Słowian i Prusaków pogańskich, pisze w sposób następujący: „Nierównie więcej, niż wszelkie wyprawy krzyżowe do Ziemi świętej, poczytywane zwyczajnie za główne źródło rozmożenia się mieszczaństwa i stanu kupieckiego w całej Europie zachodniej, dopomogły do rozwinięcia miast i mieszczaństwa w Niemczech, jako też do zakwitnięcia

onych bogactwem i oświatą, wojenne wyprawy przeciw wschodnio-północnemu pogaństwu w ziemiach wendyckich i słowiańskich". W innem zaś miejscu mówi ten sam pisarz niemiecki: „Własną przemysłowością, kunsztownym wyrobem towarów, nie odznaczały się miasta teutońskie. Jedynym przedmiotem ich skrzętności i źródłem dobrego bytu był zyskowny handel ze słowiańskim wschodem, zostający przez długi czas w wyłącznem ich posiadaniu".

Za tyle nieocenionych dobrodziejstw jakimże trybem obchodzenia się z mieszkańcami odpłacali Hanzeaci nawiedzanym przez siebie krajom? Podane wyżej świadectwa o charakterze Niemców ówczesnych i nader zgodne z nimi przykłady zdziczenia obyczajów niemieckich łatwą temu nasuwają odpowiedź. Potwierdza ją też sam niemiecki dziejopis Hanzy, opisując przykład postąpienia sobie kupców hanzeatyckich z mieszkańcami miasta Bergen w Norwegii. „Przywiedli ich Niemcy swoją bezczelnością, zdradą, niegodziwością — opowiada znowu Niemiec o Niemcach — do tego stopnia niedoli, iż nakoniec cała ludność jednego przedmieścia porwała się na ciemiężców. Przyszło do krwawej walki między mieszczaństwem a tłumem cudzoziemczych natrętów, którzy nawet łokieć i ważki potrafili zrobić narzędziami ucisku. Ale taka była przemoc handlowego Teutoństwa w Bergen, iż nawet połączone siły całego ludu miejskiego pod naczelnictwem biskupa i urzędników królewskich nie zdołały jej złamać. Toć samej służby niższego rzędu utrzymywał komtuar hanzeatycki w Bergen więcej niż 3000 ludzi. Kupy takich zahartowanych na morzu i na lądzie drabów handlowych, w znacznej części przekupniów śledzi, zmusiły zbuntowanych przeciw sobie mieszkańców schronić się w murach przyległego kościoła i klasztoru. Podłożyli więc goście teutońscy ogień, w którym cały kościół z klasztorem i kilku tysiącami mieszkańców zgorzał. Sam biskup i namiestnik królewski z braćmi i wielu urzędników zginęli częścią w rzezi, częścią pod gruzami

płonących świątyń". Po dalszych jeszcze bezprawiach rozpędzili Hanzeaci wszystką ludność najdogodniejszej dla siebie dzielnicy miasta i stali się jej wyłącznymi panami. A jeżeli w kraju znanych z równego hartu Normanów mogło kupiectwo teutońskie dopuszczać się takich gwałtów, do czegoż nie ośmielała go łagodność i ludzkość obyczajów słowiańskich?

Rosła też wszędzie tem niepowstrzymaniej zuchwałość kupiectwa hanzeatyckiego, im większa pomyślność towarzyszyła wszędzie jego przedsiębiorstwom i osadom handlowym. Dzięki gwałtom i chciwości teutońskiej, wzmagały się te osady zwłaszcza w krajach słowiańskich z bezprzykładną szybkością, urastały w trudne do uwierzenia rozmiary. Przykładem tego hanzeatycka osada w Nowogrodzie, walne potęgi i bogactw hanzeatyckich ognisko. Dźwignąwszy się ze staro-słowiańskiego korzenia u brzegów zachodniej Elby, zasięgnąwszy swoim rozrostem aż po wschodni kres Słowiańszczyzny, zakwitła Hanza najbujniejszym ze swych kwiatów w tej nowo słowiańskiej osadzie nad wschodnią Wołchwą. „Wielki Nowogród przewyższał wówczas niezmierną rozległością swego okręgu miejskiego wszystkie miasta niemieckie, nawet lombardzkie", i poczytywany był za główną stolicę handlu hanzeatyckiego, z której, według wdzięcznego później samychże Hanzeatów zeznania, „wypłynęły wszystkie inne komtuary hanzeatyckie, jako ze studnicy żywota i opierały się na niej, jako na węgielnej podstawie swojej".

Prowadzony z Nowogrodem handel szedł głównie lądem, na Wilno, Kraków, do niemieckich miast Magdeburga, Brunświku, Münsteru i innych, dostawiających towarów swoich jedynie „suchym traktem". Czy to więc wzdłuż wybrzeża baltyckiego, czy przez Małą Polskę wzdłuż Karpat, wszędzie opasywały Słowiańszczyznę żelazne obręcze kupieckiej samodzierzczości Hanzy. — Główne porty teutonizmu: Gdańsk, Ryga, Nowogród, Wilno, Kraków, Wrocław, były tylko głównemi węzłami ogromnej sieci,

za pomocą której obczyzna wyławiała wszelkie bogactwa ziem słowiańskich. Że bowiem handel hanzeatycki tylko Hanzeatów bogacił, Słowian zaś niszczył, przekonywa nas o tem znana wyłączność hanzeatycka, garnąca wszystkie korzyści handlu dla siebie samej.

Wyłączność ta gniotła zarówno krajowców, jak wszelkich innych cudzoziemców handlowych, którzy śmieli spółzawodniczyć z Hanzą. Względem krajowców posuwało się samolubstwo teutońskie do tego stopnia, iż z obawy nazbyt przyjaznych stosunków między osiadłymi w pewnem mieście Hanzeatami a ludnością miejscową, wzbraniano jaknajsurowiej wszelkiej z nią zażyłości. Ztąd nawet, przy wieloletniem zamieszkaniu w tak odległej stacyi, jak Bergen, nie wolno było młodzieży kupieckiej wchodzić w związki małżeńskie z córkami kraju, karane zwyczajnie ucięciem głowy. Innych zaś cudzoziemców handlowych jakiegokolwiek narodu potrafili Hanzeaci tak dalece od wszelkiego spółzawodnictwa z sobą wykluczyć, iż jeśli samowładztwu hanzeatyckiemu podobało się powstrzymać zachodniej Europie dostawy swoich towarów, wszczynał się natenczas w krajach zachodnich dotkliwy niedostatek najpierwszych potrzeb do życia.

Do wielu innych bowiem dobrodziejstw handlu niemieckiego w ziemiach słowiańskich należała przedewszystkiem korzystna różnica między towarami nabywanemi przez Hanzeatów od Słowian, a ofiarowanemi im wzamian. Podczas, gdy handel hanzeatycki nic prawie innego nie dostarczał Słowianom, jak tylko zbytkownych przedmiotów stroju, kuchni, piwnicy i t. p., z ziem słowiańskich szły natomiast w strony zachodu niezbędne towary codziennego użytku, jak np. skóry, wełna, futra, budulec, miód, wosk, smoła i t. p. Te ostatnie przedmioty handlu miały wówczas jeszcze większą przewagę nad owemi towarami wykwintu, niż za dni naszych. Temci żar-

liwiej wykluczali Hanzeaci od nich całą resztę handlarzy zagranicznych.

Wykluczywszy zaś wszystkich rywalów cudzoziemczych, potrafiło kupiectwo hanzeatyckie przygnieść tem sroższą wyłącznością samychże Słowian. Po najezdźczem owładnięciu najodleglejszych targów słowiańskich przez sprzymierzeńców hanzeatyckich, przy ogromie i sprężystości ich związkowej potęgi, niepodobna było Słowianom pomyśleć o własnych przedsiębiorstwach handlowych. Przez długie lata, i to właśnie w porze powieści naszej, musieli Słowianie zbywać swoje towary tak tanio, a nabywać wzajem zagraniczne tak drogo, jak się to podobało spółce hanzeatyckiej. Nie dozwoliła im ona nawet tej pospolitej podówczas dogodności, iżby przy niepomyślnej wymianie swoich towarów za niemieckie, mogli pozostałą kwotę długu zaspokoić nowym na przyszły rok towarem, t. j. dogodności kredytu, wzbranianego Słowianom wyraźnemi uchwałami zjazdów hanzeatyckich.

Poniesione na handlowem pobojowisku klęski narodów mijają w dawnej historyi bez odgłosu. Temci boleśniejszem onych następstwem okazuje się późniejsze wycieńczenie żywotnych sił narodowych, mianowicie tak zgubne u nas i w całej wschodnio-północnej Słowiańszczyznie uschnięcie tej potężnej gałęzi drzewa narodowego, którą średnim stanem zowiemy. Mniemane zasilanie go przez osiadającą po miastach rzeszę przybyszów handlowych przynosiło zapewne niejednę korzyść skarbowi, lecz nie szło w żywotny pożytek całemu społeczeństwu. Już bowiem zwyczajnie w samej porze przyjścia swego zamożni, a przeto z uszczerbkiem uboższych krajowców faworami i przywilejami książąt obsypywani, zawsze tylko o swoje prawa, swój język, o swoich spółziomków pieczołowici, wykluczali tacy miejscy osadnicy wszelką ludność miejscową od możliwego z sobą spółzawodnictwa. Jednakże wszechstronne rozwarcie się krain słowiańskich wpływowi teutonizmu, sprzyjało

osiedlaniu się przybyszów niemieckich w miastach słowiańskich. Napływając tedy śladem owego Nadreńczyka Wierzynka do Krakowa, owego Hanka z Rygi do Wilna, owych Kazimierzowskich Herburtów, Gothardów, Wolframów, Hencelinów i t. p. do tylu nazwanych od siebie osad, osiadały tłumy mieszczaństwa teutońskiego po wszystkich stronach Polski, bujną wszędzie cudzoziemczyzną porastającej pod ich stopami.

Wielu z takich przybyszów miejskich nie przestawało na szukaniu sobie siedzib po miastach, lecz zaludniało także wsie i pustkowia. Służył do tego, otrzymany od króla albo książęcia, przywilej na założenie osady wiejskiej, a dopomagało równie nawalne garnięcie się z Niemiec do Polski przeróżnych tłumów ludności wiejskiej. Była to zapewne najdobroczynniejsza fala napływu teutońskiego, ale fala równie dobroczynna sobie samej, jak Polsce. Za mnogie bowiem pożytki, jakie z osiedlającem się w Polsce rolniczem Teutońtwem przybywały krajowi, odnosiło ono samo nie mniej cenne korzyści, znajdując w niej mianowicie najcenniejszy ze wszystkich skarbów — swobodę. Pod tym względem nowa osadników niemieckich ojczyzna — Polska, a dawna ich ziemia ojczysta — Niemcy, były w czasach naszej powieści dwoma całkiem przeciwnemi biegunami stanu społeczeńskiego.

Jak w królestwie Kazimierza W. uśmiechały się wiejskim przybyszom z Niemiec najdogodniejsze warunki bytu, tak w ich własnych stronach rodzinnych gnębiły ich wówczas wszelkie plagi nierządu. Z podanych wyżej wzmianek o zbójeckiem postępowaniu szlachty ze szlachtą i z mieszczaństwem, można wziąć miarę o pastwieniu się rycerstwa teutońskiego nad bezbronną ludnością wiejską. Ciągły stan wojny utrzymywał cały kraj w spustoszeniu, nabawiał bez przestanku głodów i morów, rozpędzał zewsząd mieszkańców. Cisnąc się przeto całemi kupami w granice polskie, szukali ci wiejscy przybysze z Zachodu w ziemiach słowiańskich swojego, nie słowiańskiego,

pożytku. Nie potrzebowali ich królowie polscy zwabiać do swej wyludnionej od wrogów ziemi; sami oni cisnęli się tam po chleb codzienny, po wolność.

Oto jednego czasu „nastał okropny głód w ziemi niemieckiej — pisze kronika — przez co mnogość ludu porzuciła swe role i zagrody i wyszła w strony polskie". Później około r. 1320 uciemiężenia senioralne i fanatyzm religijny przywiodły w ziemiach nadreńskich liczną ludność sielską do opuszczenia swych siedlisk i podjęcia w rozpaczy wyprawy krzyżowej do Ziemi świętej. Lądowa droga do Carogrodu, a ztamtąd do Palestyny szła zwyczajnie na Węgry, podtatrzańskiem pobliżem Polski. Atoli popełniane przez tych pielgrzymów, czyli „Pastuszków krzyżowych" gwałty, skłoniły papieża do potępienia ich wyprawy swawolnej. Wyklęty lud pastuszków „tak się rozproszył po świecie — donosi mnich spółczesny — że niewiedzieć właściwie, gdzie się podział". Tłumnie w tych czasach zakładane w Polsce osady wzdłuż gór Karpackich, zawierające nierzadkie ślady ludności pozareńskiej, mogłyby zapewne bliższej na to dostarczyć odpowiedzi.

W każdym razie zachodziła tak znaczna różnica między dozwalanemi ludowi w Niemczech a w Polsce dogodnościami bytu, w szczególności między zwyczajną np. ilością lat uwolnienia osadników od czynszów w krzyżackich Prusiech, a tąż samą ilością w Polsce, tudzież między zwyczajną kwotą opłat włościańskich w Niemczech a takąż kwotą na gruntach polskich, iż zaprawdę nie powinno zadziwiać nas tak tłumne garnięcie się nędzy teutońskiej w granice polskie.

Jakoż wędrowało chłopstwo niemieckie chciwie do ziemi Piastów, a podczas gdy rycerstwo teutońskie najazdami trapiło szlachtę, gdy kupiectwo teutońskie ssało bogactwa kraju, gdy mieszczaństwo teutońskie swojem prawem i językiem cudzoziemczym wiodło rej w miastach, całe obszary polne zaludniały

się siołami teutońskiemi, brzmiały do późna mową niemiecką.

Takiemi to różnorakiemi ramiony wdzierał się teutonizm od wieków w ziemie słowiańskie. Obeznawszy się więc z ogólną jego niesławą u narodów ówczesnych, nadmieniwszy pokrótce o jego coraz dalszych zaborach w ziemiach słowiańskich i wskazawszy nakoniec te różnorakie ramiona i oręże, któremi on, zwłaszcza w porze obecnej, zdobywał sobie przystęp do Polski, wnijdźmy teraz do niej za jego śladem i przypatrzmy się zamysłom, postępkom i obyczajom teutonizmu na zajętej już grzędzie polskiej. Nie nasza wina, iż cokolwiek powiedzieć przyjdzie w tej mierze, będzie poniekąd tylko powtórzeniem rysów już przytoczonych. Czy to bowiem wewnątrz, czy zewnątrz granic polskich, zawsze charakter teutonizmu ten sam, zawsze teutonizm tym samym „chciwym"—„srogim"— tylko w wynajdywaniu środków drapieżenia dowcipnym, zresztą zaś grubym i nieokrzesanym prostakiem, jakim z ówczesnych jego pojawów malują go średniowieczne kroniki francuskie i niefrancuskie. Obowiązani jednak do przedstawienia rzeczy w ich niezmienionej ile możności barwie, odmówimy sobie powabu nowych rysów, a wskażemy natomiast zdumiewającą wistocie niezmienność i jednostajność, z jaką i w ziemiach słowiańskich sprawdzają się na nich te barbarzyńskie znamiona, za które im złorzeczono tak głośno we Francyi, we Włoszech i w Skandynawii.

I tak co do najjaskrawszego ze znamion teutonizmu, co do jego bezprzykładnej chciwości, ta w zalanych przez Niemców krajach słowiańskich objawiała się najsrożej nie tylko w zagartywaniu wszelkich dostępnych sobie korzyści, lecz w usilnem nadto staraniu o zupełne od nich wykluczenie krajowców. Ztąd z każdą nowozagnieżdżoną w pewnem mieście kupą osadników teutońskich zagnieżdżała się tam natychmiast zacięta walka Teutoństwa z dawną ludnością miasta. Gniotąc ją wszelkiemi wymysłami zawiści, dobijali się nowi przybysze co prędzej pierw-

szeństwa dla siebie w radzie, w kościele i na targu, i brali zwykle górę nakoniec. Dowodem tego historya wszystkich znamienitszych stolic słowiańskich, mianowicie Pragi, Krakowa, Wrocławia, Gdańska, nawet węgierskiej Budy.

W czeskiej np. Pradze potrafili osadnicy niemieccy wyzuć ludność krajową tak gruntownie z wszelkiego we własnym domu znaczenia, iż w czasach naszej powieści na ławach starego magistratu praskiego zasiadało szesnastu cudzoziemców obok dwóch Czechów. Podobnież wykluczanie krajowców od obrzędów świątecznych i stopni akademicznych stało się w końcu jedynym powodem okropnej burzy husyckiej, pustoszącej przez lat kilkanaście wszystkie ziemie przyległe. A cóż dopiero powiemy o panowaniu zakonu teutońskiego w Prusiech, w polskiem Pomorzu!

Tych krain wszelkie soki żywotne nie tylko do ssących je na miejscu teutońskich należały Krzyżaków, lecz owszem płynęły dla całych Niemiec ponętnym zdrojem bogactwa i nadziei, z których każdy spółziomek zakonu pragnął zaczerpnąć najobficiej. „Toć pamiętajcie — przemawia W. mistrz do wzywanego na pomoc rycerstwa niemieckiego — że zakon krzyżacki założony jest nie tylko dla tych jedynie osób, które obecnie ciągną z niego pożytki, lecz oraz dla wszystkich grafów, panów, rycerzy i knechtów w każdym z zakątków ziemi niemieckiej, którzyby później używać mogli tych samych korzyści panowania nad ziemią pruską."

Nie używali zato krajowcy żadnych pod żadnym względem korzyści. Rodzimą ludność Prus i Pomorza, składającą się z właściwych Prusaków i Polaków, ogólnem mianem Prusakami nazwaną, a w końcu na same zajęcia rolnicze ograniczoną, wyrugowali teutońscy przybysze z wszelkich stosunków społeczeńskich. Obejmowała ta banicya towarzyska zarówno ubogi lud wieśniaczy, jako też zamożniejszych właścicieli, całą szlachtę krajową. Jedni i drudzy ustę-

powali wszędzie miejsca świeżo przybyłym osadnikom zachodnim, odznaczonym mnogiemi przywilejami. Jednym z najkorzystniejszych ceniono sobie przywilej mniejszej służby wojennej. Gdy bowiem krajowcy na każde zawołanie pełnić musieli tak zwaną „nieograniczoną" służbę wojskową, t. j. i przy obronie kraju i w zagranicznych do Polski albo Litwy wyprawach dopomagali zbrojnie Krzyżakom, osadnicy niemieccy pełnili tylko służbę „ograniczoną", t. j. występowali tylko w obronie kraju, w obrębie swego powiatu. Aby zaś przechodzenie uprzywilejowanych gruntów niemieckich w ręce krajowców nie przypuszczało ludności krajowej do udziału w swobodach cudzoziemczych, stanowiły prawa krzyżackie, aby żadna włóka niemiecka nie mogła posiadaną być przez krajowców.

Za wykluczeniem od swobodniejszej ziemi szło dalej wykluczenie od swobodniejszego pożycia w miastach, gdzie niemieckie wilkirze wyłącznie tylko Niemcom dozwalały prawa obywatelstwa. Co więcej, żadnego nawet rzemiosła nie wolno było krajowcom uczyć się i prowadzić. Sięgała owszem srogość tej wyłączności do tego stopnia, iż główną ustawą krajową zakazywali Krzyżacy, aby „żaden Niemiec w mieście lub wsi niemieckiej, a nawet w gospodzie przy gościńcu, nie przyjmował na służbę parobka pruskiego lub dziewki pruskiej." W Krakowie mieszczanie teutońscy nie chcieli znosić niegdyś władzy książąt krajowych, przeciw którym np. za czasów wójta Alberta przywołali zniemczałych książąt szlązkich. Na Szlązku, w Polsce, w Czechach nawet duchowieństwo teutońskie nie mogło, jak powiedziano, zaprzeć się pociągu do wykluczania krajowców od pożytków własnej ojczyzny, i swojemu wyłącznie używaniu przywłaszczało dawne kościoły i klasztory krajowe, rugowało krajowych duchownych z konwentów krajowemi dostatkami wyposażonych, naśladując w tem np. postępowanie niemieckich Franciszkanów względem polskich i czeskich Franciszkanów, niemieckich Cystersów względem polskich Cystersów.

Których to wszelkich przywłaszczeń i uciemiężeń bezprzestanna praktyka zaostrzyła cudzoziemczyznę nakoniec jadem śmiertelnej zawiści ku wszystkiemu, czego natychmiast nie zdołała pochłonąć. Osobliwie ku Polsce wrzała ona żółcią bez przykładu w historyi. Dostrzegamy tego w licznych świadectwach historycznych, najczęściej w własnoustnych słowach cudzoziemczyzny. Przytaczając tylko niektóre z takich zeznań teutońskich, słyszymy np., jak niemieccy poufnicy synów zcudzoziemczałego uzurpatora Wielkopolski, Henryka Głogowczyka, dają radę swoim piastunkom, „aby cały naród polski do szczętu wytępili." Jakoż krąży niebawem proroctwo teutońskie o blizkim upadku państwa i narodu polskiego. Wiemy już, jak blizko tej ostateczności była korona Kazimierza W., a jeden z późniejszych królów polskich wymawia teutonizmowi w piśmie publicznem, iż z najsilniejszem wytężeniem umysłu i ramienia pracował nad tem, aby osłabić państwo polskie, aby mu zgotować ostateczną zagładę, czyniąc je urągowiskiem narodów.

Nie opuściła nieprzyjaciół ta niczem nieusprawiedliwiona chęć wytępienia polszczyzny nawet podówczas, gdy sam teutonizm krzyżacki leżał już po części zdeptany pod stopami zwycięzkiej narodowości. Owszem, w tej to przedchwili zgonu tryska jego żółć najzawzięciej. Oto cały zakon runął już na pobojowisku grunwaldzkiem, a W. mistrz krzyżacki w liście do arcybiskupa rygajskiego pieści się jeszcze myślą o czasie, w którym to „stary obyczaj polski i złość polska zostaną wytępione z gruntu i wykorzenione w ten sposób, iżby się nigdy więcej zazielenić nie mogły." Jakoż wistocie powołuje teutonizm odezwą wściekłego Falkenberga całą Europę do tego dzieła wykorzenienia, głosząc w rozesłanem po wszystkich krajach piśmie: „iż jest to obowiązkiem wszystkich książąt powstać z mieczem zemsty przeciw Polakom, ile że nie masz pewniejszej zasługi około wiecznego duszy zbawienia, jak przyczynić się do zupełnej za-

głady ludu polskiego, wraz z jego królem i szlachtą całą."

Są to słowa kapłana, słowa niemieckiego zapowiadacza ewangelii miłości i braterstwa w ziemiach słowiańskich, bo Falkenberg był zakonnikiem, Dominikaninem. Pod wpływem natchnionych w ten sposób kaznodziejów mogłoż nie wybujać podobnież owo drugie z przyrodzonych znamion teutońskich, owa dzikość i srogość charakteru, która zarówno w przytoczonych powyżej świadectwach francuskich o teutonizmie, jak i w życiu codziennem następowała zaraz po jego nienasyconej niczem chciwości? Toć sam rozdział niniejszy podał już tyle przykładów okrucieństwa teutońskiego w domu i za granicą, iż nie trudno przyjdzie zrobić sobie wyobrażenie o jego krwawych zuchwalstwach w ziemiach słowiańskich. Wszystkie też walniejsze ogniska teutonizmu pod niebem polskiem bywały wistocie widownią najdzikszych postępków ludzi z ludźmi, sąsiadów z sąsiadami. W jedynej z takich nowoosiedlonych Niemców siedzibie, w jedynem nowoteutońskiem mieście Chełmnie, sądzono w przeciągu roku po siedemnaście morderstw, nie licząc w to spraw załatwionych już to ucieczką zabójcy, już bezspornym układem z rodziną zabitego.

Toż nie bez przyczyny głównem godłem udzielonego nowym osadom prawa magdeburskiego stawała szubienica. Nie była ona przecież ostatnim stopniem srogości obyczajów niemieckich. Szubienica i stos uchodziły jeszcze w niektórych wypadkach za dowód łaski. Wykroczenia przeciwko bezpieczeństwu hanzeatyckich zysków handlowych, jak np. fałszowanie monety, karała Hanza w Nowogrodzie „obyczajem niemieckim" śmiercią winowajcy w kotle przy wolnym ogniu. Tak wymyślne okrucieństwo wymiaru sprawiedliwości przebijało się podobnież we wszystkich sprawach codziennego żywota. I tak np., żartując z kwestarzy franciszkańskich w ziemi krzyżackiej, zaszywali ich chłopi niemieccy w wór ciasny,

i wieszali żywcem w kominie, aby się uczyli „nieść jaja."

Po takich żartownisiach niemieckich, po rozkrzewicielach takiej moralności, takich obyczajów na nowym gruncie, możnaż się spodziewać rozkrzewienia w kraju oświaty? Nic też cały napływ teutonizmu nie uczynił dla niej wistocie. Przybyło z Niemcami nie mało nowych rzemiosł, przybyły mnogie porządki i wyrazy krawieckie, kuchenne, fabryczne i t. p., ale ukształcenie umysłu nic na tem nie zyskało. Najwięcej w tym względzie mógł i powinien był uczynić zakon niemiecki, jeżeli już nie w podbijanej orężem pogańskiej ziemi pruskiej, tedy przynajmniej w wydartem Polsce chrześcijańskiem i bogatem Pomorzu. Tymczasem ani w Prusiech, ani w ziemi pomorskiej nie pozostała po Krzyżakach najmniejsza pamiątka dbałości o podniesienie oświaty, najmniejsza fundacya naukowa wyższego rzędu. Podobni do owych Niemców kronik francuskich, bo wymyślni jedynie w wynajdywaniu środków zadośćuczynienia swoim zamysłom chciwości i panowania, najściślejszego administratorstwa i nadzoru policyjnego, wynaleźli oni tajne pismo cyframi, karty meldunkowe, regestra ekonomiczne i t. p., trwonili sumy krociowe na wystawność „uczt honorowych", ale nie zdobyli się na dostateczne uposażenie akademii projektowanej. Tylko w ułożonym naprzód dokumencie fundacyjnym istniejąc, pozostała ona na zawsze pergaminową fikcyą teutońską.

Natomiast wnikały z przybyszami zachodnimi mnogie żywioły odurzenia umysłowego, zarody zabobonów. Jednym z najszkodliwszych stała się później wiara w astrologię, w gusła, w czary i czarownice. Wykształcona temi czasy na ziemi niemieckiej w potworną teoryę wytępiania czarownic, przeszła ta nieszczęsna nauka ztamtąd do Polski i nanieciła w niej następnemi czasy tyle stosów płomiennych. Nie in-

nej też przyczynie, jak tylko bezpośredniemu zetknięciu się z niemiecczyzną, przypisują niektórzy tę okoliczność, iż w żadnej z ziem całej Polski lud wiejski nie był tak zabobonnym, jak w otoczonej od Niemców Wielkopolsce. Również szkodliwym wpływem groziło z zachodu spokrewnione z wiarą w magię i astrologię zamiłowanie w symbolach, godłach, obrzędach mistycznych, zjawiskach nadprzyrodzonych. Tylko właściwa plemieniu słowiańskiemu trzeźwość i naiwność umysłu potrafiła to sprawić, iż bałwochwalstwo symbolów i ceremonij tajemniczych nie zapuściło dość głęboko swoich niemieckich korzeni na gruncie polskim. Wynikały jednak z napływu podobnych zabobonów teutońskich drażliwe niekiedy zajścia, w których mniemani cywilizatorowie zachodu odbierali niekiedy cierpką naukę od swoich uczniów.

Narzucane temi czasy książętom naszym symbole spółtowarzystwa i pobratymstwa zagranicznego, czczone tam na zachodzie w rozmaitych postaciach „smoków", „orłów srebrnych", „jaszczurek", „haftek ze srebrną gwiazdą" i tym podobnych, znajdowały u naszych książąt bardzo niegościnne przyjęcie. Ograniczano się zwyczajnie na upatrywaniu w nich prostego upominku, bez przywiązania doń najmniejszej myśli braterstwa moralnego. Z sakramentalnych u Niemców misteryów pasowania na rycerzy szydzili książęta nasi, dopełniając tej ceremonii na przysłanych sobie z Niemiec błaznach i trefnisiach nadwornych. Mistyczną cześć onych „honorowych stołów" krzyżackich uważały ówczesne umysły polskie z wszelką słusznością za owoc niepoczesnej próżności. Spotykanych niekiedy w Polsce błędnych rycerzów niemieckich, uganiających po świecie za dopełnieniem jakichś ślubów błazeńskich, jak np. złożonego swym damom ślubu noszenia tak długo plastra na jednem oku, aż póki jakaś przewaga rycerska nie wyzwoli od niego, witało na brzegach Wisły zasłużone urągowisko. Takim np. ślubem związał się był pewien ry-

cerz niemiecki, Izenburg, ujrzeć na własne oczy strasznego dla wyobraźni rycerskiej króla pogańskiej Litwy, i takie też przyjęcie znalazł on wistocie u tego króla, powitany od niego niezrozumiałym, ale bardzo znaczącym wyrazem litewskim: „głupiec!"

Przylgnęła przecież do narodu zaszczepiona teutonizmem wiara w dziwy cudotwórczości, w gusła, czary i czarownice. A gnuśna ufność w łaskawą pomoc cudów otwierała snadnie wrota wszelkim grzechom lenistwa, nieprzystojnym rozrywkom i krotochwilom, nadwornemu trefnisiostwu, włóczącym się niegdyś po naszych stronach rojom hanswursztów, kuglarzów, linoskoczków i tym podobnych rozkrzewicieli oświaty. Obeznanie się z ich niepoczesnemi sztukami zawdzięczamy tak dalece niemieckiemu tylko sąsiedztwu, iż sama polska nazwa człowieka błaznującego „sowizrzał", jest tylko tłómaczeniem nazwiska hanswurszta niemieckiego, nazwiskiem Till Eulenspiegiel, osoby historycznej, zabiegającej w czasach naszej powieści nierzadko do stolicy krakowskiej. Z niezbyt budującemi zaś figlami kuglarskich rzezimieszków napływał jeszcze nierównie niebezpieczniejszy zaród demoralizacyi—pijaństwo.

Obce dawnym Słowianom, chwalonym powszechnie z rzadkiej mierności w jedle i napoju, szpeciło opilstwo z dawien dawna naszych sąsiadów zaodrzańskich, już w Tacytowym opisie „trawiących dnie i noce przy kuflu." Toć u nich „pić", *trinken*, znaczyło „upijać się", ile że pod wyrazem *trunk*, napój, rozumiano zawsze tylko napój gorący, upajający. Historycznego na to dowodu dostarcza nam krzyżacki opis mniemanych okropności oblężenia przez wojska polskie pruskiej twierdzy Sztum, czyli Postolin. „Ci w Sztumie—żali się pisarz teutoński—przyszli nakoniec do strasznej nędzy, marli z głodu i pragnienia, musieli jeść konie i pić wodę, do czego nie byli przyzwyczajeni, przeco też srodze im to szkodzi-

ło." Od tych męczenników wody, od przesiąkłej z dawien dawna feudalizmem i narowami teutońskiemi bojarszczyzny litewskiej, przeniosło się pijaństwo do Polski.

Za pijaństwem szła dalej różna inna rozpusta, bądź to owa gachów krzyżackich po miastach pruskich, której zakon niemiecki zapewne po raz pierwszy prawne w ziemiach słowiańskich otworzył schronienie, bądź to owa szulerska za czasów Kazimierza W., którą osobne paragrafy statutu zakazywać musiały zgrywanym w niemieckie kostki Polakom. Bo i namiętność do gry przynieśli nam wraz z tylu innemi narowami goście niemieccy, od niepamiętnych wieków rozmiłowani w kosterstwie. Jeszcze w lasach przedchrześcijańskiej Germanii srodzy sobie samym grą o wolność i życie, grywali teraz wędrowni szulerowie niemieccy ze szlachtą polską bardzo chętnie na pożyczkę, albo na borg, aby natarczywem później zażądaniem kwoty wygranej zmusić dłużników do odstąpienia im części albo całego majątku rodzinnego. Zdarzało się to tak często, iż osobny ustęp praw wiślickich stanowił: „aby odtychmiast nijeden ziemianin nasz z cudzoziemcem któregokolie stadła kostek nie igrał na pożyczki albo na borg, jeno tylko za gotowe pieniądze."

Wszelkie jednak zakazy okazywały się niedostatecznemi wobec przemocnego nacisku teutoństwa i napływających z niem narowów i zdrożności. Wszystkie stosunki życia społecznego doznawały szkodliwego ich wpływu. Ziemia, mowa, ustawodawstwo, wyobrażenia rodzime, pstrzyły się śladami cudzoziemczyzny. Powszechnie znana jest wielkość krzywdy, jaką magdeburgia zrządziła polskiemu językowi naszych miast i miasteczek. Narzucony im z magdeburgią język teutoński tem boleśniej czuć się dawał krajowi, ile że nawet starodawna ludność miejscowa zniewalana bywała tym sposobem do używania mowy przybyszów zagranicznych.

Skoro bowiem jakiekolwiek miasteczko otrzymało po zwyczaju przywilej prawa magdeburskiego, natychmiast z powodu sądowniczej zawisłości mieszczan od Magdeburga, trwającej, jak wiadomo, długo jeszcze po ustanowieniu najwyższego przez Kazimierza trybunału teutońskiego w Krakowie, stawał się język niemiecki urzędowym w miasteczku, lubo, oprócz pisarza miejscowego mało kto go rozumiał. Szpecił ztąd miasteczka nasze pozór jeszcze większego, niż było wistocie wynarodowienia, zwłaszcza, iż z prawem teutońskiem przybierały one zazwyczaj także nazwy niemieckie. Natrząsając się z włościan krajowych, przezywanych przez Niemców w stylu wyższym „barbarzyńcami", w potocznej zaś mowie „Maćkami", przezywali nowoprzybyli osadnicy miasta polskie najdziwaczniejszym sposobem. I tak np., Wyszogród otrzymał od nich nazwę *Hohenburg*, Ostrzeszowo *Schildberg*, Kęty *Liebenwerde*, Wschowa *Fraustadt*, Odrzykoń *Erenberg* i tym podobnie bez końca...

Równie bez dostatecznej przyczyny zastosowywano do społeczeństwa polskiego kastowe nazwy stanów zachodu. Sądownictwo krajowe skażone zostało przypuszczeniem zachodnich dowodów pięści, pojedynków sądowych. Książęta krajowi wymagali niegdyś od swoich poddanych dopełniania powinności teutońskiego *herschildu*. Na wzór zagranicznych ciężarów ludu, nastały w kraju, według zeudoziemczałości pojedynczych książąt lub panów, jakieś uciążliwe ludowi, bo zresztą niezwykłe danie i obowiązki, jak np. mało gdzie znane „piekarne", narzucone mieszkańcom osad kujawskich, a przypominające podobnyż obowiązek zachodni. Za przykładem lennodawców germańskich, zastrzegali sobie panowie polscy niekiedy w znak najwyższego zwierzchnictwa nad posiadaną przez kogo innego włością pewne należytości feudalne, będące raczej miłym teutonizmowi symbolem władzy zwierzchniczej, niż rzeczywistą korzyścią. Można

tu przypomnieć np. one serca wszystkich bydląt „rogatych i nierogatych, wielkich i małych", rzezanych przez kmieci klasztoru andrzejowskiego, które panowie z Michowa, jako swoją od tegoż ludu należytość, sprzedawali kilkakrotnie opatowi Andrzejowskiemu. W ogólności wszelki ów ucisk ludu, który filantropowie niemieccy wyrzucać lubią Polakom, o wiele dawniej znanym i praktykowanym był w Niemczech, niż w Polsce, i w znacznej nawet części z niemieckich nadużyć tego rodzaju brał sobie przykład.

Jednę z dalszych plam cudzoziemczych, które zwłaszcza pod obecną porę najwyższego wygórowania wpływów teutońskich czyniły nie małą krzywdę obyczajom krajowym, było pojawiające się za czasów Kazimierzowskich rozbójnictwo rycerskie na wzór niemiecki. Niezmierne, jak widzieliśmy, upowszechnienie onego w cesarstwie rzymskiem podniecało także polskich śmiałków szlacheckich do popisów podobnych, których dopuszczali się nawet możniejsi z panów polskich, jak np. wojewoda poznański, Maciek Borkowic, jużci nie z potrzeby, ani z chciwości, lecz jedynie trybem junactwa teutońskiego rozbójnik. Równie jak tego Maćka srogą karą powściągnął król Kazimierz, tak i z resztą podobnych narowów teutońskich musiał on w pierwszych latach swojego panowania walczyć niemiłosiernie „szubienicą, ćwiertowaniem, kołem, topieniem, wyłupianiem oczu, kalectwem i banicyą."

Codzienne w ziemi teutońskiej rozboje i inne gwałty zniewalały „prawo teutońskie" do większej pobłażliwości w karaniu, gdyż inaczej połowa mieszkańców musiałaby zginąć pod mieczem sprawiedliwości. Przeciwnie, rzadkość podobnych zbrodni w Polsce naznaczała im o wiele surowsze, niż w Niemczech kary. Ztąd, gdy z napływem obdarzonego prawem niemieckiem osadnictwa cudzoziemczego zagęściły się w Polsce nawet pomiędzy krajowcami zbrodnie

sąsiednie, szukali winowajcy krajowi zwyczajnie w obrębie pobłażliwszego w tej mierze prawa teutońskiego, w teutońskich wsiach i miastach, przytułku i bezpieczeństwa, a przygnieceni cudzoziemczyzną książęta, widzieli się w konieczności dozwalać im tego do czasu. W ten sposób teutońskie w Polsce osady stawały się kryjówkami występców, mianowicie podpalaczy i gwałcicieli kobiet, dla których prawo polskie nie znało żadnej litości. Chcąc tę magdeburską protekcyę zbrodniarstwa ile możności ukrócić, musiał statut kazimierzowski przepisać, aby wszyscy „pożeżce", t. j. podpalacze i gwałciciele niewiast, acz w teutońskich schronieni miastach, karani byli według prawa polskiego.

Nie było, jednem słowem, żadnego stosunku społecznego, któremuby nie dojmował srodze ucisk Teutonów i teutonizmu. Owładnąwszy kancelaryę królewską, ambonę i przybytki duchowne, dwory i zamki pańskie, ratusz i targi miejskie, nawet pod wiejską wdarłszy się strzechę, spowszedniał on nareszcie w plagę codzienną, która już nie zniewagę i oburzenie, ale czasem tylko żałosny budziła uśmiech. Po owych wielkich, lecz bezskutecznych skargach, któremi, jakeśmy to słyszeli, wszystkie ludy sąsiednie wyrzekały przeciwko teutonizmowi, upowszechniła się nakoniec piosnka szydercza, wyrażająca nie mniej wymownie od onych głosów poważnych, czem teutonizm najboleśniej grasował w życiu codziennem. W osobliwszej zgodności z owem francuskiem o charakterze Niemców świadectwem opiewa on głównie fortelną chciwość Teutonów, jednę zawsze i tęż samą w ziemi Franków i Słowian, w sprawach publicznych i w zabiegach domowych. Oto w przekładzie ze średniowiecznych rymów łacińskich dosłowne brzmienie tej śpiewki:

„Jest to Niemców staraniem, aby dokądkolwiek przybędą, natychmiast pierwszymi tam zostali, nikomu zgoła niepodlegając. Do tego takim oni biorą się

obyczajem, takim nadrabiają sposobem, takim trybem w cudzą łaskę się nęcą. Najpierw korzy się Niemiec, potem u jednego z sąsiadów we wsi bierze córkę w małżeństwo, a za drugiego własną wydaje siostrę. I oto już spokrewniony, już brat. Lecz dzieje się to wszystko w myśli podstępnej. Bo skoro w pierze porośnie, natychmiast dalej macać poczyna. Idzie do pana wsi i ofiaruje mu tysiąc groszy, aby go zrobił włodarzem. Co gdy osiągnie, przemyśliwa we dnie i w nocy, jakby zaliczeniem nowej sumy pieniędzy mógł zostać dziedzicem wsi. I w rzeczy charłak niedawny, staje się panem osady, a dawni dziedzice ziemi za próg wypchnięci. Takim to sposobem zostali oszukani Czechowie, zostali z dóbr swych wyzuci od tych Teutonów."

Spowszedniał teutonizm nakoniec do tego stopnia, że nawet najbardziej narodowe napozór postacie historyczne, nawet mniemani obrońcy narodowości i obyczajów ojczystych, nie uniknęli jego zarazy. Przypomina się w tej mierze osobliwie głośny książę gniewkowski, Władysław Biały, jeden z najburzliwszych charakterów swojego czasu, znany nam już ze swoich wojennych usiłowań o odzyskanie Gniewkowa. Jako przeciwnik zniemczałego króla Ludwika i ofiara najdziwaczniejszych zmian losu, ujmował on zawsze wyobraźnię i współczucie narodu, lecz ileż przytem najszpetniejszych rysów zcudzoziemczenia w jego obliczu, jak mało narodowego wątku w pstrem pasmie jego przygód i włóczęg po całym świecie. Nieprzywiązany to do swego narodu i do ziemi rodzinnej książę, nie wojownik na wzór dawniejszych i późniejszych bohaterów z pod Lignicy lub Warny, lecz znarowiony cudzoziemczyzną miłośnik rycerskich pod obcem niebem awantur, wieczny wędrowca na wzór teutońskich rycerzów błędnych, jedyny błędny rycerz naszej historyi. Dla przekonania się o tem, rozpatrzmy się nieco bliżej w jego obrazie.

Już samem pochodzeniem z młodszej lini książ-

żąt kujawskich, pobratanych i frymarczących ustawicznie z sąsiednimi Krzyżakami Pomorza, nasiąknął młody Władysław obficie żywiołem cudzoziemczym. Utwierdziło go w nim ożenienie się z piękną i ukochaną, ale obcą narodowi księżniczką, córką jednego ze zniemczałych książątek szląskich. Pierwszym zaś pojawem tych cudzoziemczych skłonności było sprzeciwienie się zwierzchnictwu najwyższego książęcia narodowego, opór królowi polskiemu, Kazimierzowi W.

Litując się szczupłej fortuny Władysława, nadał mu był Kazimierz prawem lennem miasto Inowłocław z okręgiem. Warunek lennictwa wymagał uznania w Kazimierzu W. najwyższego sędziego w sporze z każdym sąsiadem inowłocławskim. Owóż był takim sąsiadem sędzia kujawski, Kiwała, z którym Władysław w zatargi wszedł o granicę. Kiwała według prawa pozwał książęcia przed trybunał królewski, lecz książę poczytywał sobie za ubliżenie stawać z nim do sądu, jak równy z równym. Wzgardził więc pozwem królewskim, a gdy wskutek tego miano go siłą mocy przystawić przed trybunał, wolał zrzec się Inowłocławia, niż ukorzyć przed prawem. Żal mu wprawdzie było utraty lenna, i starał się potem wyjednać je z powrotem u króla, lecz nie potrafił przebłagać go żadną miarą.

Wkrótce po tej waśni umarła mu żona kochana. Nieutulony w żalu po zgasłej, żadnem od niej potomstwem nie pocieszony, sprzykrzył sobie do reszty pobyt w ojczyznie. Ani sercu, ani dumie zaspokojenia w niej nie znajdując, postanowił opuścić ją na zawsze. Nawet ojczyste księztwo gniewkowskie straciło wszelką cenę dla bezdzietnego. Sprzedał je za 1000 złotych królowi Kazimierzowi i otoczywszy się garstką podobnych sobie miłośników chwały rycerskiej, puścił się w świat na przygody.

Co mu się tam przydarzyło, stanowi razem zwy-

czają historyę wszystkich rycerzy błędnych. Ileż to rymowanych i nierymowanych powieści napisali o nich poeci średniowieczni, a każda z nich wydaje się istnem powtórzeniem przygód Władysławowych. Należało do takich paladynów poświęcić się całkowicie zwiedzaniu najsławniejszych miejsc świata tamtoczesnego, jakiemi były mianowicie strony grobu Chrystusowego, dwór cesarski w Akwizgranie lub Pradze, stolica papieska w Rzymie lub Awinionie, stołeczny gród kawalerów niemieckich w Prusiech i t. p. Rozrywki pobytu u wesołych dworów królewskich i książęcych godziło się przeplatać krzyżowemi wyprawami w ziemie pogańskie, a po nierzadkiej przygodzie romansowej oddać się na jakiś czas zaciszy w murach klasztornych. Dodajmyż do tego jednę i drugą próbę zbrojnego odzyskania utraconej schedy ojczystej, a będziemy mieli całe pasmo dziejów Władysławowych.

Najpierwej udał się Biały ze swoimi kujawskimi towarzyszami w rycerską wędrówkę do Ziemi Świętej. Po złożeniu pokłonu u grobu Zbawiciela nie było godniejszego celu wędrówce nad dwór cesarza rzymskiego, Karola IV Luksemburczyka. Tam więc do Pragi skierował się od brzegów syryjskich nasz błędny rycerz, i zwiedziwszy następnie „inne kraje ościenne", wybrał się w niezbędną drogę krzyżacką przeciw poganom. Panowie pruscy, jako byłemu pielgrzymowi do Ziemi Świętej, dali mu zapewne miejsce u stołu honorowego, i wzięli go z sobą na wyprawę zbrojną do Litwy, podjętą w zwyczajnej porze zimowej około święta Oczyszczenia, w miesiącu lutym.

Zwiedziwszy tak Palestynę, dwór cesarski, Prusy i Litwę, zapragnął Biały ucieszyć się widokiem stolicy papieskiej w Awinionie. Pożegnał więc czemprędzej kawalerów teutońskich i wyruszył w nową podróż przez Polskę. Śpieszącemu w celach cieka-

wości błędno-rycerskiej nie miała ojczyzna żadnego teraz uroku. Minął bez zatrzymania się ziemię kujawską i spędziwszy święta wielkanocne na dworze cesarskim w Pradze, stanął już w maju u progów stolicy awiniońskiej.

Bawiło tam, jak zwyczajnie, wielu duchownych polskich, pomiędzy którymi i znany nam kronikarz wielkopolski, Janko z Czarnkowa. Nawiedzając się wzajemnie w swoich gospodach, widywali Polacy prawie codziennie książęcia Władysława. Zdawało się wszystkim, iż chce zamieszkać dłużej u dworu papieskiego, na którym wówczas, jak wiadomo, panowało życie bardzo wesołe. Po czternastu atoli dniach znikł książę z Awinionu, żadnej o sobie wieści nie zostawiwszy. Dopiero po niejakim czasie rozeszła się nowina, iż wstąpił do klasztoru szarych mnichów w Cystersie.

Oprócz zwyczajnych pobudek pobożności, mogła jeszcze zapewne inna okoliczność zachęcać do tego kroku. Znajdował się książę właśnie w zupełnem niedostatku pieniędzy. Otrzymana za Gniewków suma do niewielu już groszy zmalała. Kiedy Władysław w jesieni r. 1366 stanął przed cysterskim opatem Janem, i według ustaw zakonu złożyć miał w jego ręce wszystko swe mienie, ograniczało się takowe na kilka sztuk monety. W tymże czasie pociągu do samotności klasztornej musiał Władysław szukać wsparcia pieniężnego u krewnych, mianowicie u małżonki króla Węgier, Ludwika, swojej siostrzenicy Elżbiety. Córka rodzonej siostry Władysławowej, wydanej niegdyś za króla Bośnii Stefana, okazywała ona wiele przywiązania dla swego tułającego się po cudzych stronach wuja, i wraz z mężem Ludwikiem nadsyłała mu często pieniądze do klasztoru.

Sam też opat szarych mnichów w Cystersie niedowierzał duchownemu powołaniu książęcia i tak długo wzbraniał się przyjąć go do zakonu, aż póki Wła-

dysław mu nie przyrzekł, iż nie opuści nigdy klasztoru. Ale już po kilku miesiącach uprzykrzyła się nowicyuszowi surowa reguła szarych mnichów w Cystersie. Nierównie dogodniejsze życie obiecywał sobie książę w klasztorze Benedyktynów, czyli czarnych mnichów w Dyżonie. Niespodziewając się jednak pozwolenia zmiany habitu, umknął bez licencyi z klasztoru, i powędrował do Benedyktynów świętego Benigna w Dyżonie lub z łacińska Divionie.

Tuż za nim puścił się tam opat cysterski Jan, chcąc zapobiedz przyjęciu zbiega w innym klasztorze. Jakoż nim jeszcze Władysław znalazł przytułek u czarnych mnichów, powiodło się opatowi Janowi przytrzymać go w kaplicy zamku książęcego w Dyżonie, gdzie przy wielu świadkach dostojnych sporządzony został akt notaryalny, oświecający nas dowodnie o wypadku. Przemawia w nim opat Jan do Białego w słowach następujących:

„Przed niedawnym czasem przybyłeś do naszego klasztoru w Cystersie i kazałeś sobie przywdziać habit zakonny... Przyniosłeś z sobą nieco pieniędzy, które niedawno temu zostały ci zwrócone... Opuściłeś klasztor bez zezwolenia, co sprzeciwia się regule i statutom zakonu. Wzywam cię więc, abyś wrócił do naszego zakonu i klasztoru w krótkim czasie i dobrowolnie, jak to przystoi przykładnemu zakonnikowi. I gotów jestem przyjąć cię napowrót według przepisów, które nakazują, aby każdy zakonnik, wykraczający przeciw regule, albo zbiegły z klasztoru, poddał się należytej pokucie i otrzymał chłostę trzykrotnie dyscypliną."

Dumny Władysław nie chciał poddać się dyscyplinie, a opatowi Janowi nie pozostało nic innego, jak zrzec się zbiega. Wstąpił więc Władysław do klasztoru czarnych mnichów w Dyżonie i naprzód jako

braciszek, a następnie jako dyakon benedyktyński przemieszkał tam przez lat kilka. W tym czasie umarł w Polsce ostatni z Piastów, Kazimierz, zostawiwszy tron Ludwikowi. Powszechna ku temu niechęć narodu pobudziła niektórych Wielkopolan do powołania Władysława z klasztoru na ojczyste księztwo gniewkowskie. Wybrali się do niego z tem wezwaniem trzej najzawziętsi przeciwnicy króla Ludwika: Przedpełko ze Stanszewa, Stefan z Trlangu i Wyszota z Kurnika. Uradowany ich poselstwem, Władysław udał się czemprędzej do papieża z prośbą o rozwiązanie go ze ślubów zakonnych. Nie mogąc zaś uzyskać dyspensy w Awinionie, umyślił starać się o nią za pomocą samegoż króla Ludwika, do czego okazała się potrzebną podróż do Węgier.

Wyprawił więc książę wysłańców kujawskich przed sobą do Bazylei, a sam potajemnie bez dyspensy umknął za nimi. Z Bazylei ruszyli wszyscy razem o nader szczupłych funduszach do stolicy węgierskiej, gdzie król Ludwik bardzo chłodno przyjął książęcia. Dane mu wprawdzie zostały listy polecające do papieża Grzegorza XI, z któremi Władysław wędrować musiał znowu do Awinionu, ale przychodzi wątpić wielce w ich szczerość. Zamiast pożądanej bowiem dyspensy, dał papież książęciu wyraźne ostrzeżenie, aby wrócił natychmiast do klasztoru, nie myśląc bynajmniej o pojęciu małżonki i rządach księztwa. Przy tak twardych sercach w Węgrzech i Awinionie nie pozostała Białemu inna droga do celu, jak samowolnie porzucić habit i spróbować przygody w Polsce.

Przygoda zwykle sprzyja śmiałkom z początku. Za nagłem pojawieniem się w Wielkopolsce znalazł wracający do swoich tułacz otwarte wszędzie ramiona. W przeciągu jednego dnia powiodło mu się bez dobycia oręża zająć trzy walne grody: Włocławek, Gniew-

ków i Złotoryę. Lecz mało co dłuższy przeciąg czasu zmusił książęcego miłośnika przygód do zwrócenia wszystkich zamków królowi i przebiedowania kilku miesięcy w wielkiem ubóstwie u niemieckiego przyjaciela, Ulryka, w pogranicznem Drezdenku.

Po roku podarzyła się nowa pora do próby losu. Ta dokładniej znana nam pora dziejów Władysławowych przedstawia go w cale rażącem świetle cudzoziemczyzny, jako zupełnie z niemiecka grasującego wśród ludzi gwałtownika. Szczęśliwie znowu opanowawszy Złotoryę, wyciska książę wiadomym obyczajem niemieckim, t. j. „najsurowszą grozą więzienia", ogromną sumę okupu na wziętym w niewolę zgrzybiałym dowódcy twierdzy. Jakoż tylko istne „włóczęgi, hołysze i Niemcy — upewnia nas spółczesny kronikarz wielkopolski — garnęli się do tak niepoczesnego pretendenta ziemi ojczystej. Z nimi zajął on zamek gniewkowski, lecz sromotnie od wojsk królewskich rozbity, a nawet od swoich opuszczony, tylko rozbójniczemi ze Złotoryi wycieczkami przewlekał jeszcze do pewnego czasu tę wojnę.

W jej coraz smutniejszych niepowodzeniach kładzie rozjuszony książę swojego własnego budowniczego machin wojennych, młynarza Hanka, na męki, i dręczy go jarzącemi świecami. W końcu, widząc się do blizkiego poddania zamku zmuszonym, a nie mając na kim wywrzeć swojej wściekłości, każe zbudować ogromny stos przed zamkiem i spalić na nim onego młynarza Hanka wraz z jego zięciem, obwinionych o zdradę. Ta sroga dzikość ukarana została wkrótce przymusem do otworzenia Złotoryi starostom króla Ludwika.

Miało uświetnić klęskę ścisłe zachowanie zwyczajnej w takim razie ceremonii rycerskiej, według której ustępujący z twierdzy dowódca powinien był odbyć pojedynek z dowódcą nieprzyjacielskim. Wyzwał tedy Władysław jednego z wodzów armii królewskiej do skruszenia z nim kopii w obliczu zamku.

Rycerski starosta wojsk królewskich nie mógł odmówić obowiązku kawalerskiego, i owo gonią obaj pod murami zamku na ostre. „Książę Władysław — opowiada świadek współczesny—dawszy rumakowi ostrogi, pomknął z kopią w ręku przeciw staroście, a starosta pomknął z kopią przeciw książęciu i uderzyli w gwałtownym pędzie o siebie." Przyczem książę w domiar nieszczęścia dość ciężką ranę odniósł od kopii starościńskiej.

Chcąc mu to poniekąd wynagrodzić, zaopatrzył go zwycięzca w potrzebne do podróży pieniądze i wyprawił rozbitka do stolicy węgierskiej. Tam z polskiego księztwa a francuskiego kaptura wyzuty mnich ukończyć miał ostatecznie sprawę o Gniewków. Dzięki wstawieniu się życzliwej siostrzenicy Elżbiety, przyzwolił król Ludwik na spłacenie jego pretensyj do tego księztwa. Przyrzeczono mu 10,000 florenów w kilku ratach, a tymczasowie ofiarowane mu zostało bogate opactwo benedyktyńskie w ziemi węgierskiej. Po tylu różnych przygodach i rolach we wszystkich stronach świata przyszło błędnemu książęciu przybrać rolę tytularnego opata, pozwalającą mu przesiadywać swobodnie u dworu swojej królewskiej siostrzenicy i czekać wypłaty okupu gniewkowskiego.

Ale i tym razem nie zdołał Władysław pozostać długo na jednem miejscu. Nieposkromiona żyłka rycerstwa wędrownego w coraz nowe rwała przygody. Nie odebrawszy jeszcze całkowitej sumy wykupnej, wyruszył Biały cichaczem na Węgry i puścił się w strony krzyżackie. Obawiając się nowych ztąd zamieszek w księztwie gniewkowskiem, wyprawił król Ludwik coprędzej dwóch urzędników koronnych z resztą pieniędzy za zbiegłym Władysławem. Dognali go wysłańcy królewscy w Gdańsku i wyliczyli mu w gotowiznie ostatek długu. Aby jednak zostawić sobie jakiś powód do dalszych sporów, zwlekał książę od dnia do dnia pokwitowanie, a nakoniec ujechał

tajemnie do Lubeki. „Tam obecnie mieszkając, nie wiedzieć, co zamyśla" — zamyka o nim rzecz swoją archidyakon, Janko z Czarnkowa.

I my też nie wiele o nim już wiemy, lubo dalsze przygody obfitego zapewne wątku dostarczyłyby jeszcze opowiadaniom. Miał powrócić następnie do klasztoru swego w Dyżonie, aby za lat kilka opuścić go po raz drugi, dla podjęcia nowej próby szczęścia w ojczyźnie. Wypadnie uczynić o tem wzmiankę później osobną, która nas doprowadzi nareszcie do ostatnich kresów błędnej wędrówki Władysławowej. Nie ustała ona nawet ze śmiercią, gdyż oddając Bogu ducha w Strasburgu, nie pozwolił książę pogrzebać się w tem mieście, lecz kazał zawieźć ciało do klasztoru w Dyżonie. Przydany do tego zlecenia zapis 2,500 złotych na rzecz klasztoru zapewnił mu spoczynek w grobach benedyktyńskich w Dyżonie i coroczne egzekwie w ich kościele. Odprawiane do naszych czasów pod nazwą *rocznicy króla Lancelota* są one ostatniem świadectwem zatarcia się wszelkich cech narodowych w Władysławie aż do imienia. Toż nie jako Polak, nie jako książę lub mnich, lecz jako należący do całego świata rycerz wędrowny zjednał sobie Biały najgłośniejszą pamięć w historyi — wprawdzie nie w historyi ojczystej, ani kościelnej, ale w dziejach rycerskości zachodniej, mianowicie w starożytnym jej opisie pod tytułem: „Teatr honoru i szwaleryi" i t. d., i t. d.

Słynie on tam obok innej, całkiem już cudzoziemczej postaci, która w wyższym jeszcze od Władysława stopniu dowieść miała wynarodowienia Polski teutonizmem w wieku XIV. Jest to postać książęcia z krwi teutońskiej, wstępującego teraz po śmierci króla Ludwika na starożytny tron Piastów, t. j. Zygmunta Luksemburczyka. Poznawszy tedy z powodu jego zamierzonej intronizacyi, jakie nasiona cywilizacyjne rozsiewała w Polsce uczoność, rycerskość, handlowość i przemysłowość teutońska, mamy teraz

jeszcze zobaczyć, jakim nakoniec królem posłużył się Polsce teutonizm. Charakter Zygmunta to rzecz zaiste godna poznania.

W obecnej chwili wjeżdżania na posagowe królestwo polskie ma Zygmunt dopiero lat czternaście. Dla okazania wartości jego spodziewanych kiedyś rządów nad Wisłą, musimy przedstawić go takim, jakim go późniejsze malują dzieje. Głośne oświadczanie swego uszanowania dla uczonych i sztuk pięknych, tudzież błyskotny pozór niektórych przedsięwzięć politycznych, skłaniają zwyczajnie do daleko pobłażliwszego ocenienia charakteru i historycznej roli Zygmunta, niż one ze wszech miar zasługują. Nie łudząc się żadnemi pozorami, a z pod maski ceremoniałów, odsłaniając sobie żyjącą twarz człowieka, widzimy w królu Zygmuncie najkrotochwilniejsze zjawisko, jakie tylko wydać mógł zwietrzały już romantyzm XIV stulecia w połączeniu z lichym charakterem indywidualnym i również niepochlebnemi żywiołami narodowości teutońskiej. Niestopiona żadnym ogniem moralnym mieszanina tych różnorodnych cząstek składowych, nadaje historycznemu obrazowi Zygmunta kameleonową zmienność rysów, igrającą tysiącznemi odcieniami próżności, okrucieństwa, rozpusty, tchórzostwa, komicznego zamiłowania w fraszkach, pompie teatralnej i fantastycznych pomysłach.

Przedewszystkiem był Zygmunt pięknym mężczyrną i próżnym z tego aż do śmieszności. Czyhający na to pochlebcy, uszczęśliwiali go wielokrotnem portretowaniem jego oblicza, które we wszystkich miastach, klasztorach i ratuszach widziano malowane już to w jego własnej, już w różnych świętych postaci. Ze słabością dla swojej powierzchowności łączył Zygmunt osobliwszą żądzę przyozdabiania jej nowym co chwila strojem. O wszelkich też przywdziewanych przez niego kostyumach czynią kroniki z tąż samą solennością relacyę, z jaką Zygmunt przystrajał nie-

mi swoją figurę. Mając zwyczaj przybywać umyślnie za późno na każdy zjazd, aby długie oczekiwanie tem większą zwracało na niego uwagę, nie chybił on nigdy stawić się punktualnie na każdą uroczystość, która go upoważniała do wystąpienia w pewnej nowej roli i szacie. I tak np., w Konstancyum, podczas celebrowanej przez papieża mszy świętej, widzimy go w przysługującym mu w takim razie kostyumie dyakona, w czerwonej kapie, w cesarskiej koronie na głowie, z Ewangelią w ręku. W ostatnią nawet rozkosz ziemską przed śmiercią dał umierający Zygmunt ustroić się z przepychem, po cesarsku, we wszystkie ceremonialne ornaty i koronę cesarską, otoczyć skronie wieńcem bluszczowym i kazał w otwartej lektyce obnosić się tak po ulicach stołecznej Pragi.

Wszelkie też chwile, w których z jakiegokolwiek powodu można było figurować publicznie, niewymowną Zygmuntowi sprawiały radość. Choćby tylko dla uspokojenia mieszkańców po ucieczce papieża Jana XXIII ze stolicy soboru konstancyeńskiego, nie waha się cesarz stanąć na czele licznej zgrai heroldów i trębaczów i w teatralnej po ulicach procesyi obwołuje bezpieczeństwo publiczne. Ważniejsze dla siebie ceremonie, jak np. upragnioną koronacyę cesarską w Rzymie, gotów był Zygmunt opłacić najboleśniejszem upokorzeniem. Jakoż padło mu takie obficie przy tejże koronacyi, gdy dopełniający obrzędu papież Eugeniusz IV klęczącemu przed sobą cesarzowi umyślnie krzywo na głowę wsadził koronę, aby potem przed całym ludem nogą ją uprostować. Dzięki tej niezwykłej próżności odbywały się niekiedy ceremonie, które okazywać miały wszechzwierzchnictwo cesarskie, a rzeczywiście tylko skłonność Zygmunta do teatralnych okazują efektów. Cóż wspanialszego naprzykład, jak zasiadać na tronie, jako rozjemca sporu potężnych przeciwników, gotowych może uznać zwierzchniczą władzę rozjemcy!

W takiej myśli zasiadł Zygmunt w Konstancyum jako rozjemca waśni między zakonem krzyżackim a Polakami. Pełnomocnicy obudwu spornych stron stoją z uszanowaniem przed swoim sędzią. Korzystając z dogodnej chwili, rozpoczyna Zygmunt całą sprawę pytaniem, czy obie sporne strony uznają zwierzchność cesarstwa i najprzód od Polaków odpowiedzi na to wymaga. Polacy oświadczają, że królowie polscy jako żywo byli zawsze wolni i niepodlegli nikomu. „Jeśli tak — zdało się cesarzowi — tedy nie masz innego sposobu, jak pozostawić Polaków w tym barbarzyńskim uporze;" i zwrócił się do pełnomocników krzyżackich: „A wy?" — spytał więc Zygmunt Krzyżaków. — „Was pomawiają, jakobyście wykrętami omijali odpowiedź na to pytanie, głosząc przed papieżem uległość dla cesarstwa, a przed cesarzem dla władzy apostolskiej. Odpowiedzcież teraz wyraźnie." —„My—odzywają się pokorni Krzyżacy — my i władzy cesarskiej i władzy apostolskiej wiernymi jesteśmy poddanymi. Obiedwie te potęgi mają nad nami zwierzchnictwo, do obudwóch jesteśmy pełnomocniczemi zaopatrzeni pismami." Uradowany bogdaj jednej strony obłudną uległością, zawołał Zygmunt głosem pochwały: „Otóż rozsądna, mądra, święta odpowiedź. Zaprawdę, spełniliście w tej chwili czyn, który wam więcej pożytku przyniesie, niż gdybyście wielką bitwę wygrali." Nie urosło przecież Krzyżakom nic więcej z tego zwycięztwa, jak tylko życzliwy wyrok Zygmunta, mający tyle znaczenia w rzeczywistości, co ta cała scena komedyi imperyalnej.

Małoduszna zaś gotowość wynagradzania sobie brakującej istoty rzeczy jaskrawo udanym jej pozorem utrzymywała w Zygmuncie gwałtowny pociąg do wszelkich powierzchownostek, do wszelkich znaków zewnętrznych i symbolów bez uroku dla ludzi. Zaważył z tego względu niemało w życiu Zygmunta ustanowiony przezeń order, czyli ówczesnym wyrazem

mówiąc, „liberya smoka". Narzucał Zygmunt tę „liberyę" z bezprzykładną natrętnością wszystkim panom i książętom sąsiednim, lubo żaden z nich nie okazywał mu za to wdzięczności. Owszem, nasz Witold nie chciał jej wcale przyjąć, obdarzeni nią panowie czescy napowrót ją odsyłają, szydzący z niej wojewoda wołoski wielce ją — według słów sekretarza i biografa Zygmuntowego — „zesromocił" w następnych czasach, a jednemu z Husytów czeskich, niejakiemu Senkowi, „tak mało ona pomogła — opowiada tenże biograf — iż skoro powrócił do Husytów, został niestety znów takim łotrem, jak wprzódy, i owszem, jeszcze większym Husytą, niż przed laty!"

W podobnejże czci ceremonialnej napuszystości wyrazu miał Zygmunt, wraz ze swoim biografem, za rzecz wielkiego znaczenia, nie mówić nikomu „ty", lecz wszystkim „on". Potrzeba mu też było wistocie jakiegoś grzeczniejszego dla otaczających go osób frazesu, gdyż miał skłonność do osaczania się towarzystwem, któremu chyba łaskawe względy Zygmunta przysporzyć mogły wartości. Druga jego, po węgierskiej Maryi małżonka, znana nam już Barbara z domu grafów cyllejskich, należy do najpospolitszych nierządnic swojego czasu. Sekretarz i poufnik Zygmuntów, celnik moguncki, Eberhard Windeck, okazuje się z dziwnie rubasznie nakreślonej biografii cesarza jednym z największych gburów piśmiennych, jacy kiedykolwiek porwali się do pióra. Ulubieńcem Zygmunta był błazen, imieniem Worre, którego mu, dla dogodzenia znanemu do takich towarzyszów pociągowi, sprowadzono z dalekich stron Hiszpanii. Posiadł ten Worre do tego stopnia względy swojego pana, że wszyscy książęta, rycerze i mieszczanie, chcąc się przypodobać Zygmuntowi, dostatkami obsypywali trefnisia. „A ktokolwiek temu błaznowi coś podarował— prawi nasz Windeck — tego miał cesarz za własnego przyjaciela".

Uczynił też Zygmunt niejako zasadą swoich

rządów usuwać od dworu mężów wyższego rodu i ukształcenia, zastępując ich ludźmi z pospólstwa. Znajdując w nich najpowolniejsze narzędzia swojej samowolności, ściągał Zygmunt w tejże myśli tłumy cudzoziemców do siebie i utworzonemi z nich zastępami bezwarunkowych służalców zdążał do pognębienia krajowców. Z tak dwuznacznymi towarzyszami poufałą związany zażyłością, objawiał Zygmunt dalej swoją prostaczość najnierozsądniejszem marnotrawstwem dochodów. Jest to jedną z najszkaradniejszych stron charakteru Zygmunta, której nawet jego najgorliwsi wielbiciele ukryć nie mogą. Ona to skłoniła go do otwarcia znowuż granic węgierskich głównym służalcom nierządu i marnotrawstwa, wygnanym z nich przez króla Ludwika żydom. Trwoniąc olbrzymie sumy na zbytkowne festyny, na ustawiczne podróże, na dary dla przyjaciółek i przyjaciół, jak ów błazen hiszpański, upadał Zygmunt pod ciężkiem brzemieniem długów, zaciąganych raz po raz na lichwę i zastawy. Co tylko w oczach lombardów tamtoczesnych mogło mieć wartość fantu, musiało służyć tej żyłce marnotrawstwa. Zaledwie nadeszły jakieś upominki kosztowne od dworów zaprzyjaźnionych, zaledwie np. angielski hrabia Warwick darował Zygmuntowi dwie pozłacane misy, wartości 18 grzywien srebra, a król angielski nadesłał dwie szczerozłote czary, ważące 44 grzywny srebra i złota — „zaraz [król Zygmunt (opowiada biograf) rozkazał mnie, Eberhardowi Windeck, zastawić te dary, wraz z innemi złotemi kosztownościami, we flandryjskiem mieście, Brukseli. Jakoż zastawiłem je za 18,000 złotych".

Gdy upominków i kosztowności zabrakło, musiał sam sekretarz i biograf iść w zastaw. Jednego razu był Zygmunt przymuszonym zastawić swoich własnych synowców, książąt Prokopa i Jodoka. Przy każdym kroku spotykały go nalegania i pogróżki wierzycieli. Podczas swego pobytu w Konstancyum, konno za miasto raz wyjechawszy, zbliżał się Zygmunt nieświado-

mie do czatującej nań zasadzki skrytobójców. Wtem jakiś znajomy i przyjazny mu szlachcic zabiega nagle drogę, wołając: „Stój! Idzie tu o gardło twoje!" Zygmunt przestraszył się niezmiernie, ale nie tajnej mu zasadzki, lecz zbawcy swego, któremu oddawna dłużen był pewną sumę, a w którego niespodziewanem pojawieniu się na gościńcu mniemał widzieć jakiś zamach rozpaczy. Nawet ważniejsze kroki polityki zagranicznej kierowały się widokami ofiarowanego za nie okupu. Płynęło takie myto przekupstwa najobficiej z bogatych skarbców krzyżackich, zwłaszcza, gdy chodziło o zjednanie zakonowi pomocy cesarskiej przeciw Polakom. „Ja, Eberhard Windeck — opowiada nieoszacowany biograf — sam pomagałem liczyć owe pieniądze, razem 40,000 złotych, z wielkiemi liliami, bitych za Ludwika i Ruprechta", któremi panowie pruscy uskarbić sobie chcieli łaskę i posiłki cesarskie w wojnie grunwaldzkiej!

Nie czem innem kierował się także wymiar sprawiedliwości. Za pieniądze kupowała ją z największą łatwością wnet ta, wnet owa strona. Oto np. powiodło się staremu magistratowi miasta Lubeki uzyskać u króla Zygmunta potępienie i banicyę przeciwnej strony mieszczaństwa, która Lubece nowy ze swego łona narzucić chciała magistrat. Atoli potępieni ofiarują królowi 25,000 złotych, a te obalają natychmiast poprzedni wyrok, zamieniony teraz w potępienie i banicyę starego magistratu, czem bynajmniej nie ustraszeni rajcowie staromiejscy składają 16,000 złotych powtórnym królowi darem, który po raz drugi zmieniając wyrok, przywodzi do skutku restauracyę pierwotnego składu zwierzchności miejskiej. Partya młoda, wysiliwszy się poprzednio nazbyt wielkim okupem, nie mogła ponowić daru, przez co rozkołysana szala sprawiedliwości Zygmuntowej poniewolnie chwiać się przestała.

Usychające zaś w takim razie źródło dochodów starał się Luksemburczyk utrzymać w ciągłym biegu

zdzierstwem bez granic. Zewsząd dochodzą nas skargi na drapieżność Zygmunta. Jedną z pamiętniejszych jest skarga rodzonego brata Wacława, który Zygmuntowi w gorzkich wyrzucał pismach, jako raz po raz wyciskał na nim pod różnemi pozorami znaczne sumy pieniędzy. „A przecież nic zato dla nas nie zrobił— uskarża się dalej król czeski — tylko pozdzierał naszych mieszczan, zrabował nasz skarbiec, z którego z dziesięć razy po 100,000 złotych zagarnął. Złupił też naszych żydów, strasząc ich srogiem więzieniem, i zagrabił wszystkie nasze złote i srebrne, stołowe i skarbowe klejnoty i naczynia, które w części zastawił, w części roztrwonił, w części zaś sprzedał." Godny zaiste monarcha owych zdzierczych Teutonów kronik francuskich!

Wyszczególnione tu rysy łakomstwa i marnotrawstwa dałyby się uzupełnić jeszcze tysiącem innych tej samej jaskrawości. Nie pozwalają one wahać się w zdaniu o moralnej wartości króla Zygmunta. Gdybyż przy lichym umyśle i charakterze przynajmniej uczuciowa strona człowieka nastręczała zato niejakie wynagrodzenie! Ale i pod tym względem nie potrafi zbudować nas niczem historya króla Zygmunta. Razi osobliwie barbarzyńska prostaczość serca, rozmiłowana w drobnostkach i pozorach, a niedostępna żadnemu uniesieniu większemu. W codziennem życiu bywał nasz próżny marnotrawca tak dobrotliwym, że gdy służba kuchenna poszturchała raz jakiegoś natręta nieznajomego, który później sam do zamiaru skrytobójstwa się przyznał, on łagodnie upomniał czeladź, ażeby nieznanych ludzi grzecznie za drzwi wyprowadzała. Lecz gdzie chodziło o życie tysięcy osób, tam serce Zygmunta nie znało żadnej litości. Zarównie rozrzutny w rozlewaniu krwi ludzkiej, jak w szafowaniu pieniędzmi, wydawał Zygmunt zwyczajnie gromadne wyroki śmierci. Ginęło na jego rozkaz do razu po 17-tu mieszczan wrzuconych w Elbę w Litomierzycach, po 20-tu obywateli ścię-

tych mieczem katowskim we Wrocławiu, po 32-ch panów węgierskich, ścinanych z kolei w oczach Zygmunta, po 180 panów bośniackich, skaranych ucięciem głów i wrzuceniem ich w rzekę, „aby po całym kraju roznosiły chwałę Zygmunta". Po zadanej Wenecyanom porażce pod Mantuą, musiał pojmany hetman wenecki na rozkaz cesarza 180 jeńcom odrąbać prawą rękę, a potem wszystkie ręce odcięte zanieść pod przysięgą do stolicy weneckiej. Pojmawszy zbuntowanego synowca Prokopa, a szturmując do jednej z jego niezdobytych jeszcze warowni, kazał Zygmunt przywiązać samegoż Prokopa do machin oblężniczych, aby w ten sposób albo zamek się poddał, albo synowiec zginął.

Okraszała to wszystko teatralna obserwancya pozorów ludzkości i łagodności. Dowiadujemy się nawet od cesarskiego biografa i chwalcy, iż Zygmunt „wszystkim swoim nieprzyjaciołom przebaczał". Żałować tylko przychodzi, że według naiwnego dopisku biografii — „nigdy ich nie zapomniał król Zygmunt, lecz wszystkich następnie pozabijał. Ale i to—kończy nieoceniony Eberhard—nie czynił król ze złości, owszem, czynił to wszystko w czasie wojny z poganami, lub w jakiejkolwiek innej wojnie to czynił, rozkazując im nieść chorągiew przed wojskiem, przez co musieli odpokutować swój grzech i ginęli". Zostawiamy każdemu wolny wybór między zemstą doraźną, a tą mściwą pamięcią przebaczania Zygmuntowego.

Toż wzbudzał Zygmunt tym fałszem serca jakąś niesłychanie zaciętą gorycz w swych przeciwnikach. Zdobywszy jeden z ostatnich grodów husyckich, rozkazał Zygmunt przyprowadzić przed siebie pojmanego wodza Husytów, aby mu zapewne „przebaczyć" po swojemu. Przywiedziony w kajdanach Czech wzdragał się spojrzeć na króla i prosił o wyłupienie mu oczu. „Milej mi będzie ponieść męczarnię, niż patrzeć na Zygmunta!" — zawołał wściekle, i poszedł

z obojętnością na śmierć, przygotowaną mu za karę w czerwonej szacie urągowiska, na najwyższej z pomiędzy trzech obok siebie szubienic. Przy ścinaniu onych trzydziestu i dwóch panów węgierskich w obecności Zygmunta widać było małe pacholę rycerskie, zalewające się łzami. Wycisnął mu je widok bohaterskiej śmierci jego pana i dobrodzieja, sławnego Szczepana Kont z Hederwaru, który, nie chcąc nachylić karku pod miecz, z podniesioną głową dał gardło. Miękoduszny nasz Zygmunt, oziębły na krew trzydziestu kilku ofiar, a roztkliwiony łzami chłopięcia, pocieszał je przyrzeczeniem nierównie świetniejszej służby u swego dworu. „Nigdy ja tobie, ty czeska świnio, służyć nie będę!—zawołało oburzone pacholę, a blizki wypoczynku już kat musiał jeszcze i na Węgrzynku dokonać śmierci.

Nie dziw więc, że tak głębokie rozjątrzenie serc ludzkich przeciwko Zygmuntowi podawało go co chwila w niebezpieczeństwo jakiejś zemsty śmiertelnej. Mało komu groziło wszędzie tyle krwawych zasadzek, co naszemu zięciowi króla Ludwika. Słyszeliśmy już o jednej pod Konstancyum, która atoli, na szczęście dla Zygmunta, skończyła się tylko na przestrachu ze spotkania się z wierzycielem. Od drugiej ochroniło go owo wyszturchanie skrytobójcy z kuchni królewskiej. Za granicą towarzyszyła Zygmuntowi powszędy tak niepochlebna sława, iż prawie w każdem ze zwiedzanych przezeń miast obcych, mianowicie we włoskiem mieście Asti, we francuskich miastach Perpignan i Besançon, nawet w zamorskiej stolicy Anglii, podnosiła ludność rokosz przeciw królowi niemieckiemu, prześladując go wszędzie obawą zamordowania. Niekiedy miewał Zygmunt w sobie połkniętą już truciznę. Natenczas średniowieczna sztuka medyczna wprawiała go w położenie wcale nie ceremonialne. Przysłany przez rakuskiego księcia Wilhelma lekarz—opowiada Eberhard Windeck—„zawiesił króla głową ku ziemi tak, że nogi o strop,

a piersi o podścielone na ziemi poduszki się opierały. Trwało to przez dwadzieścia i cztery godziny. Omdlał król z tego tak niebezpiecznie, że wszyscy już za nieboszczyka go mieli, a lekarz surowo zato skarany został... Ale za pomocą Bożą ozdrowiał nareszcie król, i pokazało się, że lekarz dobrze sobie postąpił".

Nakoniec musiał Zygmunt przy każdym kroku drżeć śmiertelną trwogą o życie. „Podczas rozruchu w Londynie ogarnął go — donosi świadek naoczny — tak wielki strach, że mu pot ciurkiem po twarzy płynął". Co tem łatwiej da się zrozumieć, iż lubiąc sam teatralne na drugich sprawiać wrażenie, był nasz Zygmunt wzajemnie bardzo łatwym do przyjmowania wrażeń wszelakich. Po dziś dzień maluje się na kartkach kroniki tamtoczesnej rumieniec zawstydzenia, jakim zapłonął Zygmunt w Konstancyum, gdy skazany na śmierć płomienną Huss wyrzucał mu w oczy złamanie cesarskiego listu bezpieczeństwa. Ten nałóg sprawiania i doznawania niezwykłych wrażeń czynił Zygmunta ustawicznym aktorem scen teatralnych, w których mianowicie entuzyastyczne padanie komuś do nóg powszednią było rzeczą. Czy to błagając głośnego jawnogrzesznika Jana XXIII o naprawę żywota, czy dziękując temuż Janowi za udaną rezygnacyę tyary, czy wybierając się na awanturniczą wyprawę w Pireneje dla zmiękczenia uporu papieża Benedykta, czy nareszcie z ust starej matrony wiadomość o blizkiem uwolnieniu ze swojej turmy węgierskiej słysząc, zawsze gwałtowne wzruszenie rzuca do nóg papiežom i niewiastom.

Łatwo więc wnosić z tego, jak często i gwałtownie musiało tkliwe serce Zygmunta doznawać wrażeń miłości. Uleganie im bez miary i hamulca stanowi drugą z najszpetniejszych plam historyi Zygmuntowej. Osławiona małżonka Barbara tem najwięcej w rozpustę brnęła, iż „przykład równej rozpusty ze strony męża pobłażał jej grzechowi". Mu

sielibyśmy wiele stronic zapisać, gdyby nam przyszło mówić o wszystkich miłostkach Zygmuntowych. Wynikające z nich zelżenie rodzin uczciwych mieniono niemałym powodem częstych buntów przeciwko niemu. Wyrzucano mu w oczy jego rozwiązłość, łając go podłym niewolnikiem sprośności. Gdziekolwiek zdarzył się jaki występek tego rodzaju, jak np. pewnego razu na festynie dworskim w Inspruku, gdzie jedna z zaproszonych panien mieszczańskich ofiarą zbrodni się stała, chwytano się Zygmunta, jako najprawdopodobniejszego sprawcy bezcześci. Hojne też przez Zygmunta udarowanie owej nieszczęśliwej czterema setkami złotych węgierskich stwierdziło słuszność podejrzeń. Nie wynagradzał podobnego zgorszenia romantyczny pozór niektórych przygód miłosnych, między innemi np. owej, której owocem urość miał później sławny rycerz Hunyady. Czyniły owszem te romantyczne przygody tem większą krzywdę Zygmuntowi i jego ludom, iż zbytnia skłonność do nich podsycała w cesarzu trzeci z najszkodliwszych nałogów jego życia.

Była nim skłonność do rycersko błędnych wędrówek, miotająca Zygmunta ustawicznie w dalekie podróże po cudzych krajach, w odwiedziny odległych dworów, w najfantastyczniejsze wyprawy. Podzielał on ją ze wszystkimi wędrownymi rycerzami owego czasu, z naszym wędrownym książęciem gniewkowskim, Władysławem, osobliwie zaś z dziadem swoim a królem czeskim, Janem, pierwowzorem wszelkiego błędnego rycerstwa średnich stuleci. Jak ten pierwszy Luksemburczyk na tronie Przemysławów nader rzadkim gościem bywał we własnem państwie i zwyczajnie dopiero gdzieś w obcych stronach ku załatwieniu bieżących spraw królestwa poszukiwanym być musiał, a nakoniec w najfantastyczniejszem uniesieniu błędno-rycerskiem, jako ślepy starzec w obcej sobie wojnie Francuzów z Anglikami pod Crecy z orężem w ręku zakończył życie, tak i jego nieodrodny

wnuk Zygmunt, lubo rządami kilku państw obarczony, spędzał nieraz całe lata pod obcem niebem i nie miał gorętszego życzenia nad pozyskanie kiedyś chwały błędno-rycerskiej, iż tak dalekim stronom podał echo swego imienia, jak żaden z jego dziadów lub poprzedników.

Toż nie łatwo zaiste o monarchę jakiejkolwiek epoki, któryby w tak różnostronnych kończynach świata pojawiał się zdziwionym oczom ludzkim. W ustawicznej podróży po swoich państwach, w ciągłych przejazdżkach z Budy do Pragi, ze Spiry do Frankfurtu, z Bazylei do Wiednia, zwiedza on nadto Konstantynopol, Rzym, Paryż, Londyn, Kraków, Łuck, Wołoszczyznę, staje całym dworem u szczytu góry św. Bernarda, przebywa „Żelazną bramę" w Bułgaryi, zdąża ku Pirenejom w podróży na dwór antypapieża Benedykta w Walencyi, błądzi w ucieczce z pod Nikopolis po morzach i wyspach greckich. Dla zorjentowania się w ustawicznych zmianach pobytu cesarskiego, muszą dokładniejsi opisywacze jego czynów układać osobne chronologicznie uporządkowane drogoskazy, czyli *itineraria*, jakie np. znajdujemy przy wydanej niedawno historyi cesarza Zygmunta przez jednego z dzisiejszych profesorów niemieckich. Za czasów samegoż Zygmunta nie wiedziano bardzo często w jego królestwach, gdzie monarcha bawi obecnie i dokąd się udać za nim z prośbą lub skargą.

Cóż dziwnego, iż najbliższym skutkiem tych bezprzestannych wędrówek były również nieustające zamieszki w kraju — ogólnym zaś rezultatem wszystkich przytoczonych tu rysów charakteru Zygmuntowego najopłakańszy stan państwa. Jak ten charakter świeci jedynie blichtrem pozorów, tak i półwiekowe rządy Luksemburczyka w Węgrzech, w Czechach i w Niemczech tylko bolesną złudę niosły narodom. Najważniejsza z jego zasług w historyi, udział w zjednoczeniu kościoła na soborze w Konstancyum, oszpecona została zaniedbaniem również potrzebnej

tam reformacyi kościelnej, publicznem wiarołomstwem Zygmunta i wywołaną tem kilkudziesięcioletnią burzą husycką! Dość też przypomnieć straszne klęski tej wojny fanatycznej, aby każdemu z ludów obrzydzić króla, któryby go rządami swemi tak osławił u świata, jak Zygmunt Niemców w tej wojnie. Jedno niemieckie wojsko po drugiem pierzchało wówczas przed garstką Czechów, a „dzieje wojenności teutońskiej — sarkają dzisiejsi dziejopisowie niemieccy — okryły się za Zygmunta plamą hańby wieczystej". Dzięki przykładowi Zygmuntowemu, spodlała tak dalece zwierzchność wszystkich książąt rzeszy niemieckiej, iż tyle razy gromieni od Czechów Niemcy w końcu jedynie pod tym warunkiem przyrzekają podjąć nową wyprawę, jeżeli żaden z panujących książąt dowodzić w niej nie będzie. W ostatniem następstwie rządów Zygmunta wzmogło się bezprzykładne rozprzężenie cesarstwa do tego stopnia, iż „gdyby tylko szło było Czechom husyckim o stałe podboje w Niemczech—upewnia nas jeden z nowszych dziejopisów niemieckich — i gdyby połączonemi siłami uderzyli byli na książąt rzeszy niemieckiej, byliby z pewnością jednego po drugim wygnali z kraju".

Wyobraźmyż sobie młodego Luksemburczyka królem Polski bez Litwy — Polski zagrożonej natenczas pospołu od Krzyżaków i Witolda — a pojmiemy łatwo zbawienność rządów i rządcy, jakiemi teutonizm obdarzył Polskę w osobie zięcia Ludwikowego. Zanosiło się przecież wistocie na jego intronizacyę i potrzeba było tylko zgodzić się narodowi z tym tokiem spraw publicznych, jaki one wzięły pod koniec jednego z poprzednich rozdziałów powieści naszej, aby mu się najsmutniejsza pod Zygmuntem ziściła przyszłość. Zostawiliśmy wówczas młodzieńca luksemburskiego pomiędzy tłumem wielkopolskiej braci szlachetnej, w pół drogi do zabezpieczonej mu posagiem korony Piastów, w pół drogi do ostatecznego tem zwycięztwa teutonizmu w stronach nadwiślańskich

i dalszych. Teraz podnieśmy opuszczone tam pasmo opowiadania i przypomniawszy sobie wzgardzoną przez Zygmunta prośbę Wielkopolan o usunięcie znienawidzonego Domarata od wielkorządów, wróćmy z Zygmuntem do owej poufnej rozmowy z Wielkim mistrzem krzyżackim u granic polskich, która na tak długo od stron ojczystych ku bijącym w nie falom i niebezpieczeństwom obczyzny skierowała naszą uwagę.

Niepośledniejsza od innych teutońskich wróżb tego czasu, dawała i owa poufna rozmowa jaknajlepszą otuchę teutonizmowi. Toć nic nie mogło cieszyć go bardziej jak wczesne porozumienie się dwóch nowych władców, z których każdy pracował nad rozszerzeniem cudzoziemczyzny w tych nowych stronach. Jak Krzyżacy na Pomorzu i w Prusiech, tak młody margrabia Zygmunt czynił to w Polsce, w Wielkiej i Małej. On, książę rzeszy niemieckiej, urzędnik św. państwa rzymskiego, syn cesarski a rodzony brat panującego teraz króla niemieckiego Wacława, uchylał teutonizmowi ostatnią przeszkodę zalania Polski. Chcąc niechcąc wchodziła Polska pod swoim władcą teutońskim w powinowactwo z rzeszą niemiecką, a przy swojej szczupłej podówczas objętości, przy niewielkiej sile odporu, przy odosobnieniu na zewnątrz a rozdwojeniu wewnętrznem, prawdopodobnie niebawem i w polityczny skład państw niemieckich. Zteutońszczenie zaś Polski pociągało za sobą rozrost niemieckiego państwa Krzyżaków bez żadnej już zawady w ogromną potęgę niemiecką, obejmującą całe wybrzeże wschodnio-baltyckie i Litwę aż poza Dźwinę i Dniepr. Cały wschód Europy, nakształt nadelbiańskiej dziedziny Słowian, stawał się ziemią teutońską...

W radosnem uczuciu podobnej przyszłości układali się z sobą na owym zjeździe obaj książęta niemieccy, nasz Luksemburczyk Zygmunt, syn „króla polskiego" Jana, który Krzyżaków dokumentem sprze-

daży umocnił w posiadaniu Pomorza, i „W. książę niemiecki" Konrad Czolner, szanujący w Zygmuncie potomka tak znakomitego dobroczyńcy zakonu. Nie znalazły się żadne ślady piśmienne o tych układach. Mamy przecież dość powodów do mniemania, że one tylko niemczyźnie korzyść przyniosły, Wszelkie kroki Zygmuntowe w tej porze mają teutonizm głównie na pieczy. Używany teraz przezeń tytuł „pana królestwa polskiego" związany został z tytułem „arcypodkomorzego św. państwa rzymskiego." Ten rzymsko-niemiecki „pan Polski" dbał w Poznaniu przedewszystkiem o zwierzchnicze pojednanie sporów między niemieckiemi miastami Berlinem a Kolonią. Podczas swego pobytu w Brześciu potwierdził on posiadanie starodawnego grodu polskiego Drezdenka niemieckim bratankom Von Der Ost, jako nie królestwa polskiego, lecz margrabstwa brandenburskiego hołdownikom...

Temci niechętniejszą barwę przybrało wzmiankowane niezadowolenie narodu z hardego przez Zygmunta odrzucenia trzykrotnej prośby Wielkopolan o złożenie Domarata z starostwa. Skutki te stały się pierwszym krokiem do wcale nowego porządku rzeczy. Podkopał on naprzód sprawę Zygmunta w Polsce, a następnie całą potęgę teutonizmu nad Wisłą. Aby ujrzeć jak się to stało, musimy wrócić teraz do Wielko-Polski, brzmiącej coraz niesforniejszym gwarem niechęci przeciwko znienawidzonemu Grzymalicie Domaratowi, przeciwko młodemu margrabi, przeciwko całemu teutonizmowi.

KONIEC CZĘŚCI DRUGIEJ.

Od Nowego Roku 1892.

każdy prenumerator

„GAZETY POLSKIEJ"

otrzymuje w zeszytach

Wielkie 4-o tomowe dzieło

wspaniale ilustrowane p. t.

„HISTORYA SZTUK"

A. SPRINGERA,

w przekładzie Kazimierza Broniewskiego,

zawierające

1,500 reprodukcyi arcydzieł, malarstwa, rzeźby i architektury,

wartości 20 rubli

jako premium bezpłatne.

CENA „Gazety Polskiej" wraz z „Historyą Sztuki" i „Historyą XIX stulecia" **w Warszawie:** rocznie rb. 9,60, półrocznie 4,80, kwartalnie 2,40, miesięcznie kop. 80; **z przesyłką pocztową:** rocznie rb. 12, półrocznie rb. 6, kwartalnie rb. 3.

Adres Redakcyi i Administracyi: Warszawa, Warecka 14.

APTEKA NAR